Z KSIĘGOZBIORU
Dra WACŁAWA ROSZKOWSKIEGO

WŚRÓD POLONII W AMERYCE.

K. 617

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

WŚRÓD POLONII W AMERYCE.

DRUGA SERYA „LISTÓW Z AMERYKI“

SKREŚLIŁ

DR. EMIL HABDANK DUNIKOWSKI

PROFESOR UNIWERSYTETU LWOWSKIEGO.

PAŃSTWOWE
MUZEUM ZOOLOGICZNE
BIBLJOTEKA
Inw. Nr. K.617.

Z KSIĘGOZBIORU
Dra WACŁAWA ROSZKOWSKIEGO

WE LWOWIE.
GŁÓWNY SKŁAD W KSIĘGARNI P. STARZYKA.
Z DRUKARNI WŁ. ŁOZIŃSKIEGO (ZARZĄDCA WŁ. J. WEBER).
1893.

http://rcin.org.pl

(30 3F)

http://rcin.org.pl

Wielce Czcigodnemu

Mieczysławowi hr. Reyowi

POSŁOWI NA SEJM KRAJOWY
I INICYATOROWI KOMITETU ZAJMUJĄCEGO SIĘ LOSEM WYCHODŹCÓW
POLSKICH

w dowód wysokiego szacunku poświęca

AUTOR.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

SPIS ROZDZIAŁÓW.

		Str.
Przedmowa		III
I.	Z pokładu Normanii	1
II.	Catskill	19
III.	Nowy Jork	31
IV.	Buffalo	41
V.	Detroit	52
VI.	Chicago	58
VII.	Chicago	69
VIII.	Stevenspoint	75
IX.	Milwaukee	81
X.	St. Louis	91
XI.	Chicago	96
XII.	Pittsburg	101
XIII.	Baltimore	112
XIV.	Filadelfia	131
XV.	Nowy Jork	145
XVI.	Brooklyn	157
XVII.	Na pokładzie Augusty Wiktoryi	164

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Z KSIĘGOZBIORU
Dra WACŁAWA ROSZKOWSKIEGO

PRZEDMOWA.

Społeczeństwo polskie przywykło już od dawna — bo od czasu powstania Kościuszki i wojen napoleońskich — do emigracyi politycznej, która tak wielkie miała znaczenie w dziejach i literaturze Polski porozbiorowej.

Od niedawnego atoli czasu wzrasta emigracya, której przyczyn należy szukać nie tyle w politycznych ile w naszych opłakanych ekonomicznych stosunkach. W dziwny sposób patrzyliśmy do niedawna na ten ostatni rodzaj emigracyi całkiem obojętnie, nie przypisywaliśmy mu żadnego znaczenia, uważając wychodźców za awanturników lub za ofiary niesumiennych agentów. Nawet fakt, że na drugiej półkuli powstają liczne polskie parafie a nawet całe gminy, nie wywarł na nas żadnego wrażenia, dość wspomnieć, że nasza prasa z nielicznymi tylko wyjątkami traktowała a nawet w części traktuje do dzisiejszego dnia całą sprawę ze stanowiska humorystycznego, cytując np. z polskich amerykańskich gazet tylko ustępy dosadne i zabawne pod względem dykcyi lub formy.

Dopiero wypadki ostatnich lat, a mianowicie proces wadowicki, tłumna emigracya w roku 1890, a po części także II. Zjazd Prawników i ekonomistów polskich w roku 1889 i podróże nasze do Ameryki zbudziły społeczeństwo polskie z apatyi.

http://rcin.org.pl

Grono poważnych mężów w łonie Sejmu galicyjskiego zapatrujące się zdrowo na kwestyę wychodźtwa, studyuje ją od lat kilku, zwłaszcza, że prawie na każdą sesyę sejmową nadchodzą od Polaków ze Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej zbiorowe podania, proszące o pomoc w sprawach oświaty, kościelnych i t. p.

Grono to postanowiło więc zająć się sprawą wychodźtwa, uważając je za objaw naturalny, niejako za strumień, którego wprawdzie nie można zatrzymać w biegu, ale który da się ująć w groble i poprowadzić rozumnie. Chodzi więc nie o popieranie wychodźtwa, — gdyż to zawsze jest klęską kraju, w którym nie ma przeludnienia — ale o opiekę nad tymi, którzy już wyszli lub wyjść muszą, o pomoc dla tych, którzy na drugiej półkuli chcą utrzymać swą narodowość i którzy pragną sobie i swej rodzinie zabezpieczyć tam przyszłość.

Przedewszystkiem zwrócono uwagę na Stany Zjednoczone Półn. Ameryki, gdyż tam żyje $1^1/_2$ miliona Polaków, z których większa część powracać do ojczyzny nie może, lub nie chce.

Zaproszony do udziału w pracach tego grona otrzymałem zaszczytną misyę, aby udać się na miejsce, zbadać tam stosunki naszego wychodźtwa i przekonać się, czy potrzebną i wskazaną jest nasza pomoc moralna i duchowa, ażeby ludzi tych ratować od wynarodowienia się i pomódz im w uzyskaniu oświaty.

To było jedynym celem mej podróży, jeżeli więc niektóre angielsko-amerykańskie gazety, zdziwione tem nadzwyczajnem zajęciem, jakie bytność moja tam wywołała, wysilały się na kombinacye o politycznych celach mej misyi, to każdy rozsądny człowiek mógł poznać, że to są bajki, na które zdobyć się mógł tylko amerykański dziennikarz nie mający pojęcia o naszych europejskich stosunkach.

http://rcin.org.pl

Objechałem wszystkie najważniejsze polskie osady Ameryki Północnej i doznałem wszędzie entuzyastycznego prawdziwie królewskiego przyjęcia, więc już podczas pobytu mego na drugiej półkuli zapragnąłem podzielić się z wrażeniami podróży mojej z rodakami w „starym kraju“.

Taka więc była geneza następnych listów pisanych dorywczo w chwilach, które od snu i spoczynku urwałem, a publikowanych w *Gazecie Lwowskiej* i w *Przeglądzie*. Nie pora jeszcze, aby ogłaszać większe naukowe dzieło o Polonii amerykańskiej — puszczam więc na razie w świat osobiste wrażenia, zebrane wśród naszych braci na drugiej półkuli, których losem powinniśmy się zająć.

Mógłby mię zarzut spotkać, że lekka, fejletonowa forma myśl listów nie jest stosowna dla tak poważnego przedmiotu, — ale na to ja odpowiem, że zamiarem moim było sprawą tą zainteresować jak najszerszy ogół — chciałem więc, aby listy me czytali i tacy, którzy niechętnie tylko biorą naukową książkę do rąk. Sądząc po dotychczasowem ogólnem zajęciu spowodowanem publikacyą mych listów w wspomnianych czasopismach pochlebiam sobie, że zamiar swój osiągnąłem.

We Lwowie, w styczniu 1893 r.

Dr. Emil Habdank Dunikowski.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

I.

Z POKŁADU NORMANII NA ATLANTYKU

od 29 lipca do 5 sierpnia 1892.

Thou glorious mirror, where the Almighty's form
Glasses itself in tempests; in all time
Calm or convulsed — in breeze, or gale, or storm,
Icing the pole, or in the torrid clime
Dark heaving; boundless, endless, sublime
The image of eternity, the throne
Of the Invisible; even from out thy slime
The monsters of the deep are made; each zone
Obeys thee, thou goest forth, dread; fathomless, alone.

Byron.

W niewysłowionej rozkoszy spoglądam rozmarzonem okiem dokoła siebie!... Otacza mnie szafirowy, nieskończony Atlantyk; moje skronie owiewa wiatr z dalekich stron przybyły, moje uszy pieści czarowny szum fal bijących o ściany statku, a nerwy upajają się pod działaniem tego silnego, boskiego powietrza.

Zdaje mi się, że uwolniony od więzów ziemskich, bujam w jakichś niebiańskich sferach, myśl moja biegnie z falami i obejmuje całą kulę ziemską, a moja istota staje się nieoddzielną cząstką tej nieskończoności światła nieba i oceanu, która mnie otacza...

Przemieniam się więc sam w nieskończoność i czuję, że jeden błysk myśli mojej ogarnia światy całe, że jedno drgnienie mego

http://rcin.org.pl

nerwu wzbudza jak gdyby prąd galwaniczny, przebiegający nieograniczone przestwory...

Więc w zachwycie, z przyspieszonem biciem serca i ze łzami w oczach, wyciągam drżące ręce i witam cię znowu ty potężny, piękny oceanie!... Witam cię całym ogniem serca mojego, bądźże mi pozdrowion o *thalatta*, o *thalatta!*

Łaskawy czytelnik, który w tak zaszczytny dla mnie sposób znajduje upodobanie w słabem mem piórze, musi mi tu mimowolnie, przy największej dla mnie pobłażliwości, wytknąć, że się powtarzam. Ilekrotnie bowiem znajdę się na środku oceanu, wyciągam ręce, palę odę i kończę po grecku wykrzyknikiem: *thalatta, thalatta*!

Nie bądź tak srogi dla mnie łaskawy czytelniku! Nie odbieraj mi ozdobnego piórka, do którego przyszedłem ciężką sześcioletnią pracą.

Wszakżeż to greckie słowo, wzięte podwójnie jest wszystko, — co mi pozostało z sześcioletniej nauki greckiego języka w gimnazyum, mimo, że pracowałem szczerze, i że postęp był zawsze wcale niezły. Rzeczywiście z całej greki pamiętam tylko tyle, że raz Xenofon powracał z armią z wielkiego „Uibungsmarszu“, a ponieważ podówczas „furwezy“ były bardzo liche, przeto chłopaki przez kilka dni nie dostali ani „menaży“ ani „komiśniaka“. Gdy więc stanęli już nad morzem i zobaczyli taką mnogość homarów, ostryg, ryb etc., to się tak ucieszyli, że czemprędzej poustawiali Manlichery dawnego systemu w kozły i na komendę: „Auseinander“ zaczęli biegać nad morzem i krzyczeć po grecku: *thalatta, thalatta!*

Oto moje cała znajomość greckiego języka, — więc obecnie pytam się po co tyle czasu traciłem na ten przedmiot?

Lecz tu muszę sam siebie wezwać do porządku, bo widzę, że gorąca, niesforna krew moja, która niegdyś pomagała sejmy zrywać, burzyć się zaczyna. Tak jakby zadaniem filologii w gimnazyum było nauczanie języków klasycznych, wszak nikomu się nigdy o tem i nie śniło, wszak tu chodzi jedynie o gimnastykę umysłową.

Prawda, że z tego wynikają rozmaite niedogodności, prawda, że w skutek tylu godzin przeznaczonych na klasyczną filologię, zaniedbuje się przedmioty o wiele ważniejsze i bardziej każdego człowieka obchodzące, niż starożytna literatura jak n. p. nauki

http://rcin.org.pl

przyrodnicze, nowoczesną historyę, nowoczesne języki i t. p., ale cóż to wszystko znaczy w obec gimnastyki umysłowej.

Wprawdzie niejednemu niefilologowi zdaje się, że są na świecie języki o wiele ważniejsze od greckiego n. p. angielski, że w angielskiej literaturze jest olbrzym, którego tragedye z pewnością zawierają nie mniej myśli i piękna estetycznego, aniżeli Elektry i Antygony z dodatkiem niemieckich komentarzy, podsuwających staremu Sofoklesowi myśli, o jakich mu się nigdy i nie śniło, ale to trzeba rzeczywiście być tylko niefilologiem, aby popełnić chociażby jeno w myśli takie świętokradztwo.

Wprawdzie Mr. Pumpkin, z którym zawarłem ściślejszą przyjaźń twierdzi, że ja jako światowiec i będący na stanowisku profesora uniwersytetu, powinienbym lepiej i to znacznie lepiej umieć po angielsku, ale trzeba widzieć, jakim wzrokiem pogardy i bezgranicznej wyższości ja go mierzę, bo co taki nieuk angielski wie o grece i o gimnastyce umysłowej!

Otóż na złość Mr. Pumpkinowi cały dzień trzepię po angielsku. Siedzę na prezydyalnem krześle w salonie do palenia i popijam bawara, obok mnie liczne audytoryum, które z ciekawością słucha mego wykładu, mimo, że Mr. Pumpkin ciągle mnie poprawia.

Opowiadam im naturalnie o naszym drogim, kochanym Lwowie, o naszych porządkach, i trzeba widzieć, jak wszyscy otwierają szeroko usta. Opowiadam im, jak się u nas na pierwszorzędnych ulicach n. p. Chorążczyźnie brukuje: — oto zwozi się łupany kamień i ustawia kilkadziesiąt kamieniarzy z kilofami. Ci walą cały dzień z wściekłością; — na wszystkie strony lecą okruchy wybijając okna, kalecząc twarze i oczy, wzbijając kurz i pył, który rani piersi. Zdziwieni słuchacze twierdzą, że to nonsens, raz, że już najprostsza zasada ekonomii poucza, iż transport surowego materyału jest znacznie droższy, aniżeli przerobionego, powtóre że łupiąc za miastem oszczędziło by się kurzu i pyłu, potrzecie, że w wielkiem mieście potrzeba by mieć wzgląd na mieszkańców, po czwarte... ale tu ja przerywam, aby się nie mięszali do rzeczy, których nie rozumieją, bo co oni wiedzą o naszym magistracie, i o naszej Radzie miejskiej? Opowiadam im dalej, jacy u nas przemyślni i dowcipni są ludzi. Oto niedaleko gmachu chemii i mineralogii, w którym przesiaduję cały dzień, i w którym praca umysłowa byłaby bardzo przyjemna, gdyż dokoła same ogrody

http://rcin.org.pl

i sady, jest właścicielka kamienicy, która w bardzo sprytny sposób oszczędza sobie wydatku na porządki. Na podwórzu bowiem ustawiła beczkę, do której lokatorowie muszą zlewać wszystkie możliwości i niemożliwości, a stróż kamieniczny ma obowiązek wylewać to wszystko codziennie o 9 rano na ulicę. Płynie więc taki dantejski strumień (zob. I część Boskiej Komedyi) po pod moje okna i nabawia mnie mdłości — apeluję w dziennikach do urzędu budowniczego, do Rady miejskiej, ale głos mój jest głosem wołającego na puszczy. Z krwiożerczem więc uczuciem godnem Ravachola, czytam codziennie wieści o zbliżaniu się azyatyckiej cholery, i o cudo! dowiaduję się, że magistrat i Rada podzieliła się na komisye, które chodzą teraz po domach i wtykają wszędzie nosy, niewątpliwie, że wetkną i we wspomnianą beczkę.

Na taką opowieść Mr. Pumpkin poszedł prędko do okrętowej biblioteki i powrócił wkrótce z atlasem, aby wyszukać gdzie Lwów leży. Zauważano, że położenie naszego grodu jest zanadto na zachodzie w obec tego, co opowiadałem. Na to ja odpowiadam, że to widocznie tylko pomyłka ze strony geografów w Gotha, gdyż właściwie rzecz biorąc, prawie widać z Wysokiego Zamku Teheran a wiatr kałmucki wieje codzień, tak, że jeśli nie cholera, to przynajmniej tyfus, ospa i t. p. nagminne azyatyckie choroby obrały sobie u nas stałe siedlisko.

Tu na Atlantyku powietrze inne, niż we Lwowie, więc nie ma obawy mikrobów — ale za to podróżnikowi z wrażliwem sercem grozi inne niebezpieczeństwo. Oto — jak się tego spodziewałem — przyszły na pokład w Southampton śliczne jasnookie córy Albionu, których ja używam jako gramatyki angielskiego języka. — Tylko bez komentarzy piękna czytelniczko, mogę cię zapewnić, że już na tyle postąpiłem w języku angielskim, iż dawno „braliśmy“ odmianę czasownika *I love*, jakkolwiek trzeba przyznać, że mikroby miłosne grasują na okręcie straszliwie.

W każdym salonie, w każdym zakątku flirt kwitnie w całej pełni; jakoż posłuchajcie mnie, kochające i zakochane istoty, — idźcie na morze! Słusznie nasza piosnka wzywa: „Chodź kochanko, chodź na morze, wietrzyk w żagle dmie“ i t. d., bo rzeczywiście nigdzie serce nie jest bardziej wrażliwe na sentymentalne uczucia, jak na morzu. To odosobnienie od świata, ten potężny ocean, który miota statkiem jak łupiną orzecha na wszystkie strony, ta trwoga człowieka przed grozą majestatu straszliwego żywiołu, spra-

http://rcin.org.pl

wia, że piękna, słaba płeć tuli się serdecznie do piersi mężczyzny — szukając bezpieczeństwa i opieki. A któżby z nas był obojętny, czując bicie serduszka przelęknionej gołębicy, któżby zdołał się oprzeć.... lecz.... idźcie na morze zakochani — na morze — ale starajcie się nie popaść w morską chorobę — bo licho weźmie całą miłość.

Już to podróż przez ocean nietylko na zakochanych sprawia nadzwyczajne wrażenie. Jeżeli się przekroczy tę potężną wodę światową, to zda się, że przez umysł, przez życie człowieka przepłynęła wielka rzeka letejska, w której zatarły się dawne wrażenia. Zaczyna się jak gdyby nowy rozdział w życiu; odświeżony umysł z zapałem bierze się do pracy, nowy ogień, nowe życie tryska z każdego nerwu.

Dlatego na morze! na morze! łaskawy czytelniku. Wystawa światowa w Chicago w następnym roku daje ci najlepszą sposobność do tego. Tylko nie wierz pewnym naszym dziennikom, które nie mając pojęcia ani o podróży morskiej, ani o Ameryce, obliczyły, że koszta podróży na wystawę do Chicago, wraz z pobytem tamże, wyniosą około 800 marek niemieckich. Ani słowa — całkiem słusznie, za tę cenę pojedzie i powróci nasz wieśniak lub żydek. Ale w takim razie możnaby jeszcze dalej pójść, i obliczyć tylko podróż tam, — na miejscu, w Ameryce, o żebranym chlebie, a powrót *per Schub*, to jeszcze będzie taniej. Nie daj się w pole wyprowadzić, łaskawy czytelniku. Trzecia klasa na okręcie, to nie jest bynajmniej to samo, co trzecia klasa w kolei żelaznej. Tylko pospólstwo, a nie człowiek inteligentny, może wytrzymać na spodzie okrętu, w brudzie i zadusze, traktowany jak bydło, zamknięty w Nowym Jorku parę dni, nim go puszczą na wolność, po rozmaitych indagacyach. Nawet drugą nie radzę płynąć, — bo musisz ograniczyć się na małą tylną część okrętu, i tylko spoglądać z zawiścią na szczęśliwców, którzy się bawią na przodzie, a to także nie należy do przyjemności. Nie radzę dalej puszczać się malutkimi statkami, które płyną 14—17 dni do Ameryki, — gdyż dla chorego, a $^{9}/_{10}$ z pewnością musi chorować, nie wszystko jedno, czy on choruje 8 dni, czy 17. Tylko więc pierwszą kajutą i pospiesznym wielkim parowcem możesz się puścić w drogę, a to kosztuje tam i napowrót conajmniej około 1000 marek.

PAŃSTWOWE
MUZEUM ZOOLOGICZNE
BIBLIOTEKA
http://rcin.org.pl

Co się zaś tyczy Ameryki, to dla podróżnego jest absolutnie niemożliwą rzeczą, aby dziennie wydawał mniej niż 10 dolarów (25 zł. w. a.), kolej do Chicago i na powrót kosztuje 60 dolarów (150 zł.), — a w końcu skromna uwaga, że jadąc tak daleko, i wydając tyle, aby zobaczyć tylko Nowy Jork, Chicago i wystawę, i nie oglądnąć więcej niczego, to rzeczywiście szaleństwo.

Sens moralny: Jeżeli łaskawy czytelniku nie chcesz lub nie możesz na ten cel poświęcić 1500—2000 zł. a. w., to jedź lepiej do Brzuchowic, a oszczędzisz sobie zgryzoty, złego humoru i choroby morskiej.

Zarówno dla tych wybrańców fortuny, którzy popłyną na drugi rok ze mną do Ameryki, jakoteż i dla nieszczęśliwców, którzy będą musieli zostać w domu, kreślę następujące słowa.

Niech ci ostatni wyjadą na staw grodecki, niech czytają moje listy, i wołają ze mną: Thalatta! Thalatta! — niech myślą przeniosą się za ocean, — to jest bezpłatne, — innej rady dla nich nie mam.

Więc pozwólcie mi z całem zamiłowaniem poświęcić kilka wierszów opisowi podróży przez ocean, — podróży tak mi drogiej — pełnej zachwytu i wrażeń, podróży — stanowiącej zawsze jasny punkt w pasmie dni życia mego! Jeżeli chcecie wyrazić obfitość rozkoszy, to nie używajcie więcej utartych ludowych porównań, jak mucha w miodzie, — „jak ryba w wodzie“ tylko „jak geolog lwowski na oceanie“.

Dobrze mi tu, rozkosznie i błogo! jestem na pokładzie i spoglądam na ocean; — właśnie w tej chwili stado wielorybów wyrzuca w pobliżu Normanii wodotryski w powietrze, a ja siedzę, a raczej leżę w poręczowem, wygodnem krześle, w lewej ręce cybuch, w prawej pióro, tuż koło mnie puhar *cock-tailu* *). Popijając i paląc, kreślę do was ten list, snując przez to czarowną nić łączącą mnie przez ocean — przez ląd z wami.

Wprawdzie moje missy krzywią się, że je zaniedbuję, ale ja mówię, że jestem sławnym poetą i obecnie dosiaduję pegaza, aby na ich cześć ułożyć odę. Zwracam więc oczy do góry i przybieram nieskończenie natchnioną minę, — jakoż rzeczywiście nie

---

*) *Cock tail* (koguci ogon). Mięszanina rumu, lodu, cytryny i eterycznych olejków.

http://rcin.org.pl

wiele brakuje abym nie popełnił tomika poezyi ze swym portretem na okładce.

Więc puhar się pieni i lira już gędzi!... Wprawdzie nie lira, ale muzyka okrętowa, która rznie od ucha, tak, że delfiny kozły wywracają.

Więc piszę.... Poranne słońce zaglądające ciekawie do mej kajuty, zbudziło mnie dziś około 5 godziny rano. Drżenie i kołysanie okrętu a może i wczorajsze napitki morskie (rozumie się, że nie woda) sprawiły mi słodki spoczynek i rozkoszne sny. Śniło mi się, że byłem Neptunem, otoczony Najadami, można więc sobie wystawić, jak gospodarowałem. Chciałem zasnąć po raz wtóry, aby to wszystko powtórzyć, ale nieubłagany *steward* kąpielowy przychodzi po mnie, mówiąc, że moja godzina kąpielowa wybiła. Więc szybko do wanny ze świeżą wodą morską, potem na pokład. Dokoła ocean spokojny, w lekkie tylko ułożony fale. Niebo czyste, pogodne, a poranne słońce leje drugi ocean, — ocean światła. Silny wietrzyk (breeze) pieści moje nerwy, — płuca się rozdymają, — tak mi lekko i zdrowo, — jak nigdy jeszcze. Poczucie, że jestem daleko od lądu, — że dziś nie dojdzie mnie żaden list nieprzyjemny, żadna depesza zastraszająca, napełnia mnie błogim spokojem. *Carpe diem!* oto moje hasło.

Spaceruję po pokładzie, — a jest gdzie spacerować, — gdyż podróż dokoła Normanii wynosi około 500 kroków, i każę sobie wynieść szklankę gorącej herbaty, która po zimnej kąpieli smakuje mi wyśmienicie.

Za chwilę dźwięki tamtamu wzywają na pierwsze śniadanie, dopiero 8 godzina, więc sala jadalna jest w połowie pusta. Nie przywykli do wczesnych obfitych śniadań, pojąć nie zdołamy, jak można tak wcześnie konsumować takie masy ryb, jaj, mięsiwa świeżego wszelkiego rodzaju, szynki, serów i t. p. Nie ma przy śniadaniu większego towarzystwa, więc czemprędzej na pokład. Damy wychodzą zwolna jedna po drugiej ze swej kryjówki, więc oficyalne „*How do you do to day*“ rozbrzmiewają dokoła, poczem następuje wspólne podziwianie morza. A jest co podziwiać, jest się czem zachwycać. Trudno sobie wyobrazić, jeżeli ktoś tego jeszcze nie widział, jak cudownie wygląda ocean w promieniach przedpołudniowego słońca. To jak gdyby olbrzymia płyta szafiru, na której w kierunku do słońca są rozsypane brylanty, lub z której

http://rcin.org.pl

krocie błędnych wybuchają ogników. Szybka Normania przecinając w szalonym pędzie szafirowe nurty, tworzy smugę śnieżno-białej piany, która w postaci wału rozchodzi się po obu stronach statku. Wesołe stadko delfinów towarzyszy nam popisując się komicznymi skokami i koziami. Czasami ukaże się zabłąkany jakiś ptak morski, dla którego obojętną jest odległość kilku tysięcy km. od brzegów, zatoczy szerokie koło obok nas i zniknie w sinej dali. Niekiedy i statek pokaże się na horyzoncie; cóż to za znikomy punkcik na oceanie, prawie wierzyć się nie chce, że tam są ludzie, którzy podobnie jak my pędzą od lądu do lądu na przekór straszliwemu żywiołowi, tworzącemu przepaść i na pozór nieprzebytą granicę pomiędzy światami.

Człowiek cudownem upaja się powietrzem, patrzy i patrzy, i nie może oderwać oczu od tego widoku, o którym szczury lądowe sądzą, że jest jednostajnym. Czuje nieprzeparty pociąg do słodkiego *far niente*, — jakoż rzeczywiście nigdzie się tak przyjemnie nie próżnuje, jak na okręcie. Zawsze przygotowuję się do jakiejś pracy, aby nie stracić 8 dni, i zawsze nic nie robię. Nawet pisanie tego listu, co właściwie jest dla mnie przyjemnością, gdyż według niemieckiego przysłowia „podzielona przyjemność jest podwójną przyjemnością“, kosztuje mnię wiele przezwyciężenia się. Siadam więc na pokładzie w krzesełko z pulpitem, patrzę na ocean i od czasu do czasu rzucam parę słów na papier.

Pokład coraz to bardziej się zapełnia, muzyka rozpoczyna koncert, towarzystwo dzieli się na grupy i rozpoczyna rozmaite gry towarzyskie. Czy też przed 30 laty śniło się komu, że podróże przez ocean będą podobne do jakiejś odświętnej wycieczki!

Lecz już 10 godzina rano, czas więc wstąpić do salonu do palenia. Naturalnie powietrze morskie wymaga tego, aby się posilić sporym kielichem koniaku i przekąsić kanapkami, które leżą tu całymi stosami; oczywiście, że nikt nie pogardzi i szklanką bawara, gdyż rozpoczęto świeżą beczkę. Tak posilony mogę rozpocząć oficyalny flirt z mojemi missami, które już dwa razy posyłały po mnie. Gniewają się na mnie bardzo za koniak i piwo, ja im tłómaczę, że to u nas w modzie, iż każdy pisarz, który jest rzeczywiście zdolnym, lub ma się za zdolnego, łyka cały dzień i całą noc napoje alkoholiczne, gdyż to ma oznaczać genialność. W słodkiej pogadance ani się spostrzegliśmy, kiedyśmy minęli

http://rcin.org.pl

południk; wydzwaniają 12 godzinę, cofamy zegarki wstecz, cieszymy się, iż według oficyalnego biuletynu przepłynęliśmy w ostatnich 24 godzinach 486 mil (mila morska = 1856 metr.) i posłuszni dźwiękom tamtamu idziemy na lunch. Wszystkie stoły pełne, bo z powodu ślicznej pogody prawie nie ma choroby morskiej na okręcie. Przy stole głównym siedzą obok kapitana okrętowego „*honoratiores*", więc przedewszystkiem sługa wasz, raz, że kapitan mój stary znajomy, powtóre, że kompania poleciła mnie szczególniejszym jego względom z wdzięczności, żem Normanię tak pięknie opisał („Od Atlantyku po za Góry Skaliste"); więc obok mnie dyrektor niemieckiego teatru z Chicago, konsul amerykański w Palermo z żoną i zamerykanizowany Niemiec z Cincinati, widocznie milioner, bo z prawdziwą przyjemnością płaci codzień szampana. W ogóle wszystkie wina znakomite i tanie, dość powiedzieć, że mała flaszka bardzo dobrego wina reńskiego kosztuje 1 markę 25 fen. (= około 70 ct. w. a.), więc humor wyborny. Zajadamy zupę, rybę, rostbeef, pieczystę, legominę, etc. i to się nazywa śniadanie. Kapitan p. Hebich bardzo przyjemny człowiek, opowiada historye ze swego żeglarskiego życia, dyrektor teatru widocznie komik z zawodu, dowcipuje, lub składa rymy którychby mu niejeden polski malarz pozazdrościł. Więc naprzykład, nawiązując do nazwiska kapitana C. Hebich i do jego tuszy improwizuje:

O Capitän C. Hebich
Wie bist denn Du B. Hebich (behäbig)!...

Ja opowiadam historye o żydach i Węgrach, o magistracie i Radzie miejskiej, konsul milczy, missy kręcąc nosami szepcząc: shoking, niemiecki Yankes milczy także, ale płaci szampana, więc bawimy się wyśmienicie.

Już to można się ubawić samą tylko naiwnością podróżnych, którzy po raz pierwszy płyną przez Atlantyk. Trudno sobie wyobrazić jak wielkiej dozy świętej cierpliwości potrzebują kapitan i oficerowie, aby odpowiadać na te wszystkie naiwne pytania, które słyszą po raz tysiączny. Wielką zasługę oddałby społeczeństwu ten, ktoby się postarał o nowe wydanie gramatyki Ollendorfa. Już się bowiem przestarzały te genialne zdania: Czy dzieci kapitana mają chleb? Nie, ale grzeczne dzieci ogrodnika mają

http://rcin.org.pl

masło; — lepiej by więc było i praktyczniej, ze względu na przysłą możliwą podróż uczącego się, umieścić pytania zwrócone do kapitana w pierwszej podróży morskiej jak n. p.:

1. Panie kapitanie czy nie będzie burzy? 2. Czy nie ma obawy rozbicia się okrętu? 3. Czy nie zetkniemy się z jakim statkiem po drodze? 4. Czy pan zna dobrze drogę do Ameryki? 5. Czy pan sobie przypomina moją ciotkę, która przed 8 laty z panem płynęła do Ameryki? i t. p.

Na własne uszy słyszałem następującą rozmowę:

„Panie kapitanie czy nie spóźnimy się do Nowego Jorku“?

„Nie! bo dla czegoż mielibyśmy się spóźnić“?

„A jak będzie mgła na ławicy nowo-fundlandzkiej“?

„Z powodu mgły tylko w pobliżu portów, w kanale i cieśninach zmniejsza się chyżość okrętu, ale nie na oceanie“.

„A jeżeli zetkniemy się podczas mgły z innym statkiem“?

„Na to trąbi się co minuty, ażeby się mieć wzajemnie na ostrożności“.

„Ba a jeżeli nadpłynie góra lodowa z Grönlandyi — przecież tam trąby nie ma“?

Tu opuszcza nieco cierpliwość kapitana, więc mówi:

„Ależ mój panie, wszak na każdej górze lodowej siedzą białe niedźwiedzie, które ryczą — gdy się statek zbliży — a ryk ten dalej słychać aniżeli trąbę mglistą“.

Zdumienie — a potem zadowolnienie maluje się na twarzy pytającego, teraz jest zupełnie spokojnym o bezpieczeństwo dalszej podróży.

Tymczasem lunch się skończył, więc znów spacer po pokładzie, lub słodki spoczynek na krzesełku z cygarem w ustach z okiem zwróconem na ocean. Missy drzemią w swych poręczowych chairs; Mr. Pumpkin zapala cygaro jedno po drugiem i rzuca je w morze, twierdząc, że nie może znaleźć takiego, któreby smakowało; Niemcy poszli do salonu do palenia i grają skata — druga kajuta na tyle okrętu hałasuje, bo się bawią w kotka i myszkę, całują się przy tem jak z pistoletu. tam nie ma tego delikatnego tonu pierwszej kajuty. My młodsi przysłuchujemy się chwilkę, lecz wreszcie nie możemy wytrzymać, i korzystając

http://rcin.org.pl

z tego, że nasze missy spią, wykradamy się chyłkiem dalej na tył okrętu, i naturalnie, że za chwilę tam rej wodzimy.

Lecz kiedy jestem w najlepszej zabawie i wiążąc bukiet, czy coś podobnego, tak zaplątałem się w suknię jakiejś tłustej rzeźniczki z Chicago, że nie mogę się rozplątać, zjawiają się w sąsiedztwie moje missy i mierzą mie straszliwym wzrokiem, pełnym oburzenia.

Oczywiście, że gniewamy się całe popołudniu, dla braku więc innego zajęcia, przypatruję się morzu. Jeszcze nigdy nie widziałem takiego spokojnego oceanu; powierzchnia gładka jak szkło, tylko że nie równa jak zwierciadło, lecz miejscami jakgdyby się nadymała *(Dünung)*. Natomiast piękna szafirowa barwa znikła zupełnie, zdaje się, że to gęsto-płynna masa, podobna do roztopionego ołowiu, wypełnia nieskończone przestwory.

Ciepłota cudowna, bo w słońcu 15° R. w cieniu 14°, najniższa, jaką w nocy się ma, jest $12^1/_2$°. Można więc sobie wyobrazić, że o przeziębieniu mowy nie ma, i że ustrój ludzki czuje się znakomicie w takich stosunkach.

Z ciekawości zaglądam i do 3-ej kajuty, rozmawiam z wychodźcami polskimi, częstuję dzieciaki łakociami z naszego stołu, i dowiaduję się niejednej rzeczy, z którą jeszcze będę miał sposobność podzielić się z tobą łaskawy czytelniku w jednym z następnych listów.

Prędko więc czas schodzi, i człowiek ani się spostrzeże, jak przyjdzie piąta godzina, a z nią i dźwięki tamtamu, wołające nas na obiad. Jest to ujemna strona życia na okręcie, że tyle jeść dają. Jest się prawie zupełnie nasyconym, a tu znowu przychodzi na stół żółwiowa zupa, poncz rzymski, ragout w muszelkach, turbot z masłem, sweatbreast z truflami, jagnię z kalafiorami, kapłon z kompotem, lody i ciastka, ananas i banany, etc. etc. Jakże tu nie jeść, kiedy wszyscy jedzą, kiedy się bawią w najlepsze, kiedy myzyka przygrywa do tego „Cavallerię“, dodając apetytu. Wychodzi więc człowiek na pokład, zapala cygaro, a popijając czarną kawę, wyobraża sobie, że jest wężem boa, który połknął wołu.

Nie śmiej się łaskawy czytelniku, za moich czasów, kiedy nauki przyrodnicze jeszczej bardziej kwitły w szkołach, niż obecnie, uczono nas całkiem na seryo, że w ciepłych krajach są węże, zwane boa, połykające na śniadane woły.

http://rcin.org.pl

Słońce zniża się ku zachodowi, na morzu taki spokój, że gdyby nie szum fal, spowodowany ruchem „Normanii“, to zdawałoby się, że się gdzieś pływa w cichych powietrznych przestworach. Na pokładzie gwarno i rojno, bo wszystko oczekuje zachodu słońca Jakoż za chwilę ognista kula topi się w chłodnych nurtach, już skryła się do połowy, już półkula spłaszczyła się jak gdyby rozmiażdżona, już nie ma tylko świecący punkcik na powierzchni fal, wreszcie i to znika, i tylko fioletowe światło rozlewa się po zachodniej części oceanu.

Jeszcze nie koniec zjawiska. Oto widocznie w miejscu, gdzie się słońce schowało, kończy się morze, i jest jakaś wyspa dotychczas nieodkryta, na której wznosi się potężny wulkan, lejący ze swego wnętrza strumienie rozpalonej lawy. Wyraźnie widać, jak ta lawa płynie zwolna naprzód, rozlewa się, kłębi, przewraca.

Wreszcie i to znika, a mrok wieczorny zalega, zda się świat cały.

Na okręcie zapłonęły elektryczne światła, płynie więc Normania po czarnych nurtach morskich jak gdyby olbrzymi fosforyzujący lewiatan. Słońce elektryczne sprawia wielkie przeciwieństwo pomiędzy światłem a cieniem — mimo więc oświetlenia jest na pokładzie pełno rozkosznych, zacisznych kącików. I dziwna — jak ciała w płynie układają się podług ciężkości, tak tu na okręcie grupują się ludzie według światła i wieku. Na przodzie pokładu w pełnem świetle widać samych starców i same matrony, — młódź poznikała w kącikach, i tylko ciche szepty, westchnienia zdradzają, że tam w cieniu są żyjące istoty.

Więc i ja znikłem w kąciku, i przepraszam się z amissami lecz... jestto nonsens flirtować z dwoma naraz, bo jedna kontroluje drugą. Do tego widoczna, że to nie samodzielne Amerykanki, lecz córy Europy pod skrzydłami starej ciotki w okularach, która zawzięcie nas pilnuje. Że też te ciotki zawsze muszą psuć człowiekowi najlepszą zabawę.

Jestem więc zły, i nawet nie odprowadzam pań na herbatę. Zaglądam do salonu do palenia, lecz i tu mnie dzisiaj ani zakłady co do chyżości okrętu, ani karty, — ani świeżo nadpoczęta beczka bawara nie sprawiają przyjemności.

Idę więc na przód okrętu, wpatruję się w nocny tajemniczy obraz, i dumam. Księżyc w pierwszej ćwierci raz po raz wygląda

http://rcin.org.pl

z poza chmur i oblewa wszystko jakiemś dziwnem, strasznem światłem. Białe wentylatory okrętu wyglądają jak duchy, które pędzą przez ocean, — a gdy się księżyc schowa za czarną chmurę, — natenczas tysiące iskier i ogników błyszczy na morzu. Nauka poucza mnie, że to meduzy i inne stworzenia, — ja temu nie wierzę — to są duchy morskie.

Myśl moja błądzi po nieskończonych przestworach, — uszy me pieści ten tajemniczy głos przyrody, który cudny język nasz tak ślicznie, tak wiernie, onomatopoetycznie oddaje wyrazem „szum“.

Rzeczywiście fale szumią, wciąż szumią i szumią, coś gwarzą ze sobą, a łącząc swój szum z ogólną harmonią przyrody spiewają wielką pieśń istnienia.

Zdaje mi się, że cofnąłem się kilkaset lat wstecz, — więc cudowne zjawisko odsłania się przed oczyma mej duszy.

Na południu zabłyska fosforyczne światło.... Płyną i walczą z falami trzy liche okręty, tak nikłe, tak słabe, że dziś rybak w porcie lepszych używa. Załoga w rozpaczy, liczne tygodni upłynęły od czasu opuszczenia brzegów Europy, a tu ciągle ocean i ocean straszny, tajemniczy.... pełen niebezpieczeństw.... bez końca.

Załoga się buntuje, niechcąc płynąć na śmierć pewną, domaga się powrotu do domu. Lecz na przednim statku stoi szlachetna postać, z okiem wlepionem w daleki zachód, z umysłem przepełnionym szczytnymi zamiarami, z wiarą w siebie, w swoje wyższe posłannictwo.

Płyń śmiały żeglarzu! .. Cudowny wynik ukoronuje twe przedsięwzięcie, miliony ludzi będą błogosławić pamięć twoją! Tak miliony, bo matka ziemia nie ma już dla swych dzieci miejsca! Oto na dole pod pokładem spoczywają rodacy moji — ta piękna ojczyzna nad Wisłą, Wartą, Niemnem i Dniestrem niema dla nich, — dla dzieci swoich miejsca!... Płyną więc, wielki mężu, w światy, które tyś im odkrył, płyną, aby szukać chleba!

Oto leży senna biedna matka, schorzała, w łachmanach, do tego cierpiąca na chorobę morską i dobywa ostatnich sił swoich, aby tulić do piersi niewinną, spłakaną dziecinę. „Zkąd ty jesteś biedna kobieto?“ „My z Tarnowskiego Panie, mąż chory,

http://rcin.org.pl

leży na dole w szpitalu okrętowym, jedziemy do Ameryki szukać roboty, bo w domu giniemy z głodu".

„A macie pieniądze? do Ameryki nie puszczają teraz tak łatwo",

„Papiery i pieniądze odebrali nam na granicy i zawrócili do domu, na szczęście ja miałam trochę zaszytych w koszuli pieniędzy, z tem przekradliśmy się przez granicę i jedziemy na wolę bożą". Biedna ty matko ojczyzno, ty się patrzysz na to, jak twoje dzieci na twem własnem łonie giną z głodu.

O głupie to serce ludzkie, głupie! Cóż ciebie człecze obchodzi nędza bliźnich?... Wszakże płyniesz pierwszą kajutą, spoczywasz na aksamitach, dla ciebie ten przepych od złota i adamaszków, dla ciebie te stoły uginające się od łakoci, dla ciebie pieni się szampan i gra muzyka, — w kieszeni masz czeki na pierwszorzędne banki w Ameryce, co cię obchodzi kobieta w łachmanach i schorzałe jej dziecko?...

A przecież nietylko mnie jednego, ale nas wszystkich powinien obchodzić los wychodźców!... Nieszczęsny chłopaczku, gdybyś ty jeden tylko, łatwoby ci pomódz, ale tu spi was pokotem cały szereg. Biedne dzieciaki!... wydziedziczone płyniecie ku niepewnej przyszłości. Anioł snu pozamykał wam teraz oczka, wy śnicie o jutrze i uśmiechacie się. Tak, bo wiecie, że jutro znów przyjdzie „z góry ten polski pan" i przyniesie pełne kieszenie łakoci, ale o pojutrze nie myślicie, a to pojutrze jest straszne!...

Spijcie dziatki, płyńcie szczęśliwie! Niech ta przybrana matka, do której teraz spieszycie, przyciśnie was z całą miłością do swego potężnego łona, niech was obsypie dostatkami, w które tak obfituje. Lecz na drugiej półkuli nie złorzeczcie, nie zapomnijcie o swej biednej pierwszej matce. Nieszczęsna i pożałowania godna ta matka, która dla swych dzieci nie ma chleba. Niech wam ta grudka ziemi ojczystej, którą rodzice wasi noszą w woreczkach na piersiach będzie najdroższą spuścizną, bo to ziemia zwilżona krwią bohaterów.

* * *

I cóż wam więcej napiszę piękne czytelniczki? Nie krótkiego listu, ale tomów by potrzeba, — aby opisać wszystko, co się przeżyje i przemarzy na okręcie!

http://rcin.org.pl

Przedwczoraj, byliśmy nad ławicą nowofundlandzką, więc przez 24 godzin prześladowała nas straszliwa mgła, ten najgorszy wróg żeglugi. Co to za ciekawe wieczory, — kiedy okręt przedziera się przez okiem nieprzebite ciemności, ryzykując, że lada chwila zetknie się z drugim statkiem, lub rozbije się o którą z gór lodowych, płynących z zimnym prądem z dalekiej północy! Jakie wrażenie robią podczas takich długich a groźnych wieczorów opowieści żeglarzy o straszliwych wypadkach na morzu, ten tylko zrozumie, kto je słyszał przy towarzyszeniu przeraźliwej trąby mglistej.

Wczoraj był koncert, z którego dochód przeznaczyliśmy dla nowonarodzonego obywatela na pokładzie Normanii. Przed dwoma dniami powiła bowiem jakaś biedna wychodczyni chłopczyka, którego kapitan ochrzcił, dając mu imię Normana, — więc na nas podróżnych cięży obowiązek osłodzenia mu bodaj pierwszych chwil jego życia.

Dziś już zawijamy do Nowego Świata. W oddali wznosi się potężny posąg Wolnośsi, — czerwieni się w gorących promieniach słońca całe morze gmachów milionowego miasta. Muszę się więc spieszyć, jeżeli chcę, aby ten list jeszcze z przystani zaraz jutro popłynął do Europy, dlatego kończę i zasyłam wam w daleki wschód, serdeczne pozdrowienie.

---

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

II.

CATSKILL NAD HUDSONEM

10 sierpnia 1892.

A więc jestem już w Ameryce!

Siedzę nad brzegiem potężnej rzeki, którą odkrył Henryk Hudson przed blisko 300 laty (1609), po której płynął sądząc zrazu, że to jest cieśnina morska, i że tędy znajdzie przejście północno-zachodnie. Siedzę i myślę nad tem, że obraz ten, na który spoglądam, uchodziłby za utwór żywej wyobraźni, gdyby jakiś zdolny malarz, rozumiejący przyrodę, schwycił go na płótnie.

Jakżeż wam opisać ten uroczy widok? Cóż pomoże mi wyliczenie poszczególnych części obrazu? Zrazu Hudson, za nim lesiste wzgórza, w dali prześliczne zarysy gór Catskill i t. d. i t. d., to tak, jak gdybym z luźnych rupieci chciał złożyć model wielkiej i sztucznej maszyny.

Siedzę, podziwiam i rozpływam się w czarownym widoku.

„Od razu z oceanu w zacisze górskie?“ spyta łaskawy czytelnik, a gdzież „*empiry city*,“ gdzie te potężne fale życia i działania ludzkiego w milionowem mieście?

Cierpliwości, a opowiem wszystko.

Więc w przepyszny poranek zawinąłem do przystani Nowojorskiej, którą podziwiałem z zachwytem, jak gdybym ją pierwszy raz oglądał, łaskawi czytelnicy znają ją już z moich dawniejszych opisów.

Na doku hamburskim, spotkał mnie miły i niespodziewany zaszczyt. Oto Polacy tutejsi dowiedziawszy się z dzienników o mojem nastąpić mającem przybyciu, wybrali komitet, który mnie powitał na ziemi amerykańskiej. Prezes komitetu Piotr hr. Wodzicki

http://rcin.org.pl

w towarzystwie pp. Koziełły, J. Chrzanowskiego, dr. Grünberga, J. Misiewicza, T. Knapczyńskiego i dr. J. Reinera, powitał mnie staropolskim zwyczajem chlebem i solą na srebrnej, mnie dedykowanej tacy, z tą całą ciepłą serdecznością, która naszemu narodowi jest właściwą. Muszę przyznać, że byłem rozczulony i zdobyłem się zaledwie na kilka nic nie znaczących frazesów.

Przyjmijcież więc zacni rodacy moją najczulszą podziękę: to przywitanie na obcej ziemi, za oceanem, będzie mi najpiękniejszem wspomnieniem z wędrówek moich po świecie, zachętą w mej pracy, będzie mi zawsze zapewnieniem, że składając moje siły na ołtarzu ojczyzny, czynię to dla rodaków, jakimi się żaden inny naród nie może poszczycić.

Wielce szanowny dr. Jan M. Reiner, mąż głębokiej wiedzy, — autor licznych prac katolicko-teologicznej i filozoficznej treści, ogłaszanych w niemieckim i angielskim języku, nie dał mi ani jednej nocy przepędzić w N. Jorku, tylko zabrał do swojej posiadłości nad Hudsonem, — motywując, że przedewszystkiem muszę odpocząć, — a potem, że jako geolog będę w górach Catskill od razu między swojemi ulubionemi skałami. Pobyt w jego prześlicznie położonej „*Ebenezer Farm*“ jest miłym i pięknym nad wszelki opis. Zarówno mój gospodarz, jak jego zacna małżonka, podejmują mnie z całą serdecznością, tak, że tu pomiędzy antypodami czuję się jak u siebie w domu. Przedewszystkiem mile mię uderzają dźwięki mowy polskiej, bo dr. Reiner, jakkolwiek już kilkadziesiąt lat w Ameryce, nie zapomniał, że pochodzi z rodziców Warszawiaków i czuje się całem sercem Polakiem, służąc naszej sprawie w znakomity sposób. W najnowszym czasie nabył *Kuryera Nowojorskiego* na własność i nie szczędzi ani kosztów, ani pracy, ażeby pismo to uczynić godnym i poważnym organem polskim w Ameryce. Z ostatnich numerów, które macie i we Lwowie, możecie się przekonać, że artykuły nie są bynajmniej w stylu amerykańskim.

Nawet służba jego jest polska. „Antoś zaprzęgaj konie, pojedziemy do Catskill Mountains z panem doktorem ze Lwowa“, brzmi mi dziwnie w uszach, i mimowolnie zadaję sobie pytanie, czy to Wisła czy Hudson, co płynie pod mojemi oknami?

Długie wieczory spędzamy na pogadance o tutejszej Polonii, której nikt lepiej nie zna od dr. Reinera, więc czas mi schodzi

http://rcin.org.pl

zarówno pożytecznie jak przyjemnie. A do tego co za przyroda! co za przyroda!...

Wszakżeż to najładniejsza okolica państwa nowojorskiego — wszakżeż to klasyczna ziemia, opromieniona powieściami i baśniami, które tak po mistrzowsku przedstawił Washington Irving.

Pędzimy koleją nad Hudsonem. Zwolna zamilka gwar wielkiego miasta, zwolna odsłania się przyroda urocza, majestatyczna. Po lewej stronie płynie poważny Hudson, wznoszą się potargane „palisady“ — skrzepła lawa z dawno zamierzchłej geologicznej epoki — po prawej liczne miejscowości wśród uroczych lasów i sadów.

Tarry Town zagrzmiał głos konduktora. O nieba! Tarry Town, wszak ta dolina, którą widzę przed sobą to *Sleepy Hollow*, po której co nocy pędzi jeździec bez głowy. On jest głównym upiorem *ghost en chief* jak go Irving nazywa — ale ileż to jeszcze oprócz niego duchów i upiorów w tej uroczej i tajemniczej dolinie!*)

Okolice coraz to bardziej urocze, mijamy Highlands, w oddali zarysowują się Catskill Mts., nareszcie i stacya tej samej nazwy. Noc zapadła, księżyc w pełni oblewa swem srebrnem światłem potężny Hudson i pełne tajemnic wzgórza nad jego brzegami, więc kąpiąc się w jego łagodnych promieniach, wciągając chciwie świeże wonne powietrze do płuc naszych, zdążamy z moim uprzejmym gospodarzem do jego willi położonej na wzgórzu, u brzegu rzeki, tuż nad koleją żelazną.

Już teraz w nocy rozglądając się ciekawie dokoła, mam w przybliżeniu pojęcie, co to za prześliczna okolica, na którą spoglądam, lecz cóż dopiero powiedzieć o wrażeniu, które odebrałem, kiedy rano z balkonu willi zdziwionem okiem powiodłem dokoła.

Lesiste stoki wzgórza, na których stoi willa, szemrzą pieśń poranną, bo lekki wietrzyk igra z liśćmi platanów i sykomorów, bo pieści wiotkie gałęzie hikory, lub przedrzeźnia się poważnym tujom, któreby chciały stać cicho i spokojnie, jak przystoi na drzewo tak ulubione na mogiłach.

Głęboko u stóp moich płynie majestastyczny Hudson, tutaj właściwie jeszcze nie rzeka, tylko zatoka morska — jakkolwiek około 200 km. od Nowego Jorku oddalona — bo okazuje regularny przypływ i odpływ morza.

---

*) W. Irving. The legende of Sleepy Hollow.

http://rcin.org.pl

Olbrzymie, lśniące i wytworne statki, prawdziwe pływające pałace, przecinają mętne nurty Hudsonu spiesząc do Albany lub Nowego Jorku. Na jego prawym brzegu, trochę dalej ku północy, rozściela się miastecko Catskill, w którem wpada w oczy wielki hotel, tak zwany „Prospectpark-Hotel“, położony wśród uroczego parku, na terasie nad samą rzeką.

A wprost przedemną śmieją się lesiste wzgórza, na pozór bezludne, bo farmy i miejscowości skryły się w dolinach i lasach. Oko biegnie z rozkoszą po nich, aż wreszcie spoczywa na prześlicznem paśmie gór Catskill, które w odległości 12—15 km. zamykają cały obraz od wschodu. Cóż to za śliczne góry!.... gdyby nie troszkę za śmiały ich profil, zarysowujący się na jasnem tle niebios, mógłbym myśleć, że to lesiste pasmo naszych Karpat zjawiło się jak fata morgana na drugiej półkuli przed tęsknem okiem podróżnika.

Więc z prawdziwą rozkoszą oddaję się badaniom i podziwianiu okolicy.

Wczesnym rankiem wyjeżdżam w towarzystwie gospodarza a często i jego małżonki; zapuszczamy się w lasy i debry, pomiędzy skały i paprocie, lub też mkniemy po znakomitych drogach, wśród uroczo położonych, schludnych miejscowości, po tej krainie, płynącej mlekiem i miodem.

Co chwila wille i hotele,— gdyż w tej okolicy przynajmniej 100.000 obcych spędza letnie miesiące, — wszędzie tak ładnie, że rzeczywiście wybór jest bardzo trudny. Nieraz pytam siebie, które miejsce by mi się najbardziej podobało jako letnie mieszkanie, i do tej pory nie mogę się jeszcze zdecydować.

Jedziemy przez miasteczko Hudson, tu przeprawiamy się parowym promem przez rzekę, mijamy Ateny (tak podobne do starożytnej greckiej metropolii, jak Lwów do porządnego miasta) i wśród uroczych lesistych wzgórzy przybywamy nad maleńkie jeziorko Green Lake, gdzie w skromnym hoteliku spożywamy nasz obiad. Więc ztamtąd dalej, wśród skał tryjasowego piaskowca do Jefferson, gdzie podziwiamy wielki, ślicznie położony i wytworny hotel, nad brzegiem lesistej przepaści, w głębi której płynie poboczny dopływ Hudsonu. Więc dalej do Catskill, miasteczka, które widuję z okien naszej Ebenezer farmy. Domki schludne, porządne, — we środku olbrzymi elegancki hotel, w prześlicznym parku, a jak położony! Z jednej strony Hudson, z drugiej dopływ jego w głę-

http://rcin.org.pl

bokim jarze, dookoła żyzne, wesołe okolice, z lasami, polami, farmami, pełne życia, bo tu warczy pociąg kolei żelaznej po wysokim moście, tam mknie po Hudsonie parowiec, ówdzie szumi i huczy fabryka żelaza.

W najbliższem naszem sąsiedztwie znajduje się kopalnia rud żelaznych i manganowych „Burden Mins“, ciekawa dla mnie podwójnie, — raz ze względów geologicznych, powtóre i dla tego, że w niej pracuje sto kilkadziesiąt polskich robotników. Ilekrotnie wychodzę z głębi amerykańskiej kopalni na boży piękny świat, tylokrotnie dziwię się memu szczególniejszemu szczęściu, że nie skręciłem karku, i zarzekam się niepójść do żadnej więcej. Wszystko urządzone bowiem po amerykańsku, — a jeszcze lepiej powiedzieć po borysławsku, i nasi komisarze górniczy mieliby tu długie komisye, bo musieliby pozamykać wszystkie kopalnie. O bezpieczeństwie zdrowia i życia nie ma i mowy, — to są rzeczy podrzędne w Ameryce. Lecz próżne zarzekania się, — geologiczna ciekawość silniejsza, aniżeli obawa śmierci.

Budowa geologiczna bardzo prosta. W piaskowcu i łupku tryjasowym są wtrącone rudy, mianowicie syderyt, limonit, — a przedewszystkiem znaczne pokłady manganitu, tego tak ważnego minerału, używanego przy wyrobie stali bessemerowskiej.

Koło psów (wózków górniczych) manipuluje na górze robotnik. Na pierwszy rzut oka poznaję polską prawdziwą facyatę. „*How do you do*, Wojtek, a zkąd ty“. Dziękuję, *very well*, ja z Nowego Targu“. „Dużo tu zarabiasz?“ „Za robotę na dni płacą dolara i kwotr, (quarter), na wózki można zarobić dwa dolary“. „Dobrze ci tu, nie wrócisz do domu?“ „Dobrze mi, ale jak uskładam trochę pieniędzy to powrócę do domu“.

Zwiedzamy więc obszerną kopalnię. Gdybym był pierwszy raz pod ziemią, miałbym piękny temat do opisu tego ciekawego świata z błędnemi ognikami, z duchami podziemia, z zaczarowanemi grotami itp. Ponieważ atoli do tego już przywykłem, więc podziwiam tylko nieporządek. Sam kierownik kopalni, oprowadzający nas, zdaje się nie wiedzieć, w jaki sposób wymijać ma brzemienne w ciężką rudę psy, — które pędzą, jak ich wściekłe imienniki, z turkotem i grzmotem we wszystkich kierunkach przewracając się i rozbijając jedne o drugie.

Tu wali się powała, — tam wybucha nam przed nosem ni ztąd ni z owąd nabój dynamitu, obrzucając nas prądem kamieni

http://rcin.org.pl

ówdzie z trudnością tylko uciekamy przed psem, który tylko co nas nie zmiażdżył.

Dostawszy raz po głowie jakąś liną, która nagle zaczęła się poruszać nademną, a kilka razy po karku jakąś maszyną, uciekam z przyjemnością na gorący ale miły świat, przyrzekając sobie, już nie wiem po raz który, że kopalnie amerykańskie będę oglądał tylko z zewnątrz.

A więc dalej dziarskiemi konikami w dół Hudsonem na oglądanie rozkosznych farm, ślicznych pałaców i wesołych miejscowości. Spędzam więc czas na pouczających i miłych wycieczkach.

Koroną wszystkich moich wycieczek była wczorajsza podróż do gór Catskill. Cieszyłem się nią, jak za czasów chłopięcych wycieczką w nasze Karpaty, bo byłem zarówno ciekawy geologicznej budowy tych gór, które zeszłego roku tylko z daleka widziałem, jak też chciałem oglądnąć to miejsce, gdzie Rip von Winkle odbywał swój sen dwudziestoletni.

Ślicznie opisuje to podanie Irving. Naturalnie, że znasz je łaskawa czytelniczko, a więc posłuchaj jeszcze raz bodaj w streszczeniu *).

Za dawnych czasów, bo jeszcze przed ogłoszeniem niepodległości Stanów Zjednoczonych, żył sobie u stóp gór Catskill poczciwy Holenderczyk, Rip van Winkle. Byłby sobie pędził szczęśliwy żywot w tak ślicznej okolicy, gdyby nie.... powiedzmy otwarcie, gdyby nie jego zacna połowica, która go cały dzień łajała, nazywając nicponiem, próżniakiem i t. p.

Cóż więc dziwnego, że poczciwina przewiesił strzelbę przez plecy i w towarzystwie wiernego psa, którego magnifika także znieść nie mogła, szedł sobie zawsze w góry, — gdzie się zabawiał całymi dniami strzelaniem wiewiórek.

Pewnego razu, kiedy widząc, że słońce zniża się ku zachodowi, ze ścieśnionem sercem zabierał się do domu, spostrzegł na drodze dziwnego człowieka w starożytnym stroju, który dźwigał baryłeczkę. Ponieważ Rip van Winkle miał dobre serce, przeto nie wahał się ani chwili na skinienie obcego, pomódz mu w niesieniu tejże. Za chwilę przybyli do uroczej dolinki, gdzie całe towarzystwo ludzi podobnych do przewodnika Ripa, zabawiało się w milczeniu grą w kręgle. Obaczywszy towarzysza z baryłką,

*) W. Irving. Rip von Winkle.

http://rcin.org.pl

poczęli sączyć z niej do kieliszków jakiś gęsto-płynny napój, nie zwracając na biednego Ripa najmniejszej uwagi. Cóż więc dziwnego, że Rip van Winkle uważał za stosowne także pokosztować nieco tego napoju. Był to wyśmienity likier holenderski, tak, że powtórzenie drugiego i trzeciego kieliszeczka, było rzeczą całkiem naturalną. Zdrzemnął się więc nasz bohater i obudził dopiero, kiedy już słońce wysoko stało na niebie.

Dookoła szumiał głuchy bór, z obcych ludzi ani śladu, toż samo i pies zniknął, a zamiast nowej strzelby, leżała obok niego stara zardzewiała rusznica o spróchniałem łożu. „To mnie ubrali“ pomyślał Rip, „ukradli mi psa i strzelbę, a zamiast tego, jakby na szyderstwo, zostawili mi jakieś stare rupiecie“. Ale cóż robić, trzeba wracać do miasta, będzie to dopiero od żony kazanie.

Lecz cóż to za dziwo? Miasteczko przez jedną noc zmienione do niepoznania, mnóstwo nowych domów, natomiast stary, w którym Rip mieszkał, stoi pustką jako wpół zawalona ruina. Obcy ludzie zwijają się po mieście, wszystko pod bronią, na ustach każdego „Wolność“, nikt na nieszczęsnego Ripa nie zwraca najmniejszej uwagi. Pyta się biedaczysko tego i owego, lecz każdy go ma za półgłówka. Nareszcie jakiś starszy go zaczyna indagować, ktoby on był zacz. „Wierny poddany króla Jerzego“ odpowiada Rip. „Tak? a więc zdrajca“, — i nie wiele brakowało, żeby najpoczciwszego człeka pod słońcem nie byli zamordowali. Nareszcie po długich pytaniach i odpowiedziach wyjaśnia się, że on po tym holenderskim napoju spał nie jedną noc, jak sądził, lecz lat 20. Jakoż rzeczywiście dorosła, już zamężna jego córka, którą był niegdyś zostawił dziecięciem, przybiegła, poznała go i potwierdziła mu ten fakt. Jedno tylko miał jeszcze na sercu, więc z wahaniem i drżącym głosem zapytał: „A cóż z moją zacną małżonką?“ „Umarła dawno“ była odpowiedź. „Ha, to niech w Bogu spoczywa, szanując jej pamięć drugi raz się już nie ożenię“.

Na tem kończy się historya, — jedynie lud tylko dodaje do tego po dziś dzień swoje komentarze. Mianowicie, że to był Henryk Hudson ze swojemi ofiarami, że oni zawsze grywają w Catskill Mountains w kręgle, że każdemu i dziś to się przytrafić może, że i t. d., ale któżby tam słuchał tego, co lud opowiada!...

Ja jednak słucham, i święcie w to wierzę, — więc z niewypowiedzianą radością spieszę do Catskill, — ażeby oglądnąć

http://rcin.org.pl

dolinkę, w której spał Rip van Winkle, i aby może.... może spotkać Holenderczyków z ich likierami.

Jedziemy więc w gorący, ale cudny poranek na zachód. Przeprawiamy się przez Hudson, mijamy miasteczko Catskill i dalej w góry. Okolica prześliczna, pagórkowata, lesista, mało zaludniona, bo zaledwie tu i owdzie jakaś mała wioska, jakaś farma, — jakaś willa wyziera z bujnej zieleni lasów. Ach te lasy amerykańskie!... Nigdy nie mogę się nasycić nimi, — bo cóż to za różnica od naszych, z powodu tej dziwnej i prześlicznej mieszaniny drzew. Nie ma tej naszej jednostajności, — gdzie tylko sosna koło sosny, tylko dąb koło dęba stoją jak żołnierz w uniformie. Mknąc drogą leśną, wykrzykuję ciągle jak uradowane dziecko, a wszak to czarna sosna, — jakiż to śliczny orzech, — ot i sykomory, — ależ to platany, — to świerki prześliczne, patrzcie to amerykańskie hikory, przecież to znane i u nas jasiony i jawory, — cóż to za przepyszne nieznane mi drzewa i tak bez końca.

Ślicznie, ciepło, — więc sosna i świerk pocą się wonną żywicą, — a kwiaty leśne zapachem swym wabią pszczoły. Prześliczne, dotychczas mi zupełnie nieznane motyle bujają wśród soczystych łąk, pełnych porannej świeżości.

Tu i owdzie wystawia osuszony łeb swój skała piaskowca tryjasowego, spozierając ze zdziwieniem i gniewem na obcego przybysza, który ją rozbija młotkiem. Potężne pasmo gór Catskill pokryte od dołu do góry lasem dziewiczym, zbliża się coraz to wyraźniej w postaci zielonego muru. Na szczycie bieleje wielki gmach, to hotel, do którego obecnie zdążamy, — lecz nie elektryczną górską koleją, widną z daleka, ale romantyczną drożyną, wijącą się wśród lasów i skał w linii wężowej.

Przenoszę się myślą do ojczyzny swojej, i porównywam okolicę, którą podziwiam z naszemi Karpatami, albowiem porównanie takie jest najlepszą podwaliną do gruntownego poznania i znajomości przedmiotu. Catskill są niższe aniżeli nasze Karpaty, bo pasmo to, które widzę przed sobą wznosi się zaledwie do 1000 m. wysokości, — ale strome stoki, dalej okoliczność, że dolina Hudsonu niewiele się tylko wznosi nad morze, sprawia przyjemne złudzenie, przecenia się bowiem skutkiem tego wysokość. Nie ma tej romantycznej dzikości, co w naszych Karpatach, nie ma tych kryształowych rzek, które tak ozdabiają je, — bo zalewie kilka nieznacznych potoczków toczy swe mętne nurty do Hudsonu, — ale za to las

http://rcin.org.pl

cudowny, strome, śmiałe, skaliste stoki, a nadewszystko jakiś przyjemny tajemniczy urok, na którego naukowe określenie brak w ludzkiej mowie wyrazów.

Na zakręcie drożyny leśnej wznosi się skromny dworek z napisem: „Rip von Winkles Hotel“, po nad nim na stromej ścianie skała, znów z napisem „Rips rock“. Tu więc spał nieszczęsny Rip snem dwudziestoletnim — tu w tej dolinie grali Holendrzy w kręgle.

Setki turystów drapią się z nabożeństwem do góry, ażeby oglądnąć tak ciekawą skałę, bo trzeba wiedzieć, że Catskill Mts. to nie nasze odludne Karpaty, lecz góry, w których roi się od ludzi spieszących konno, pieszo lub wozami w głębię ślicznej przyrody.

W hotelu poświęcamy pamięci Ripa kilka sporych puharów i dalej w drogę po stromej spadzistości. Skały sterczące wszędzie pouczają nas, że to formacye paleozoiczne, — a mianowicie sylur i dewon, a po części i kamienno-węglowe w postaci piaskowców i łupków. Uderza mnie fakt, że jeszcze w znacznej wysokości, bo przeszło 2000 stóp spotykam resztki epoki lodowej, — mianowicie głazy błędne i szlify lodnikowe.

Stoimy na szczycie pasma, gdzie się wznosi pyszny hotel wśród dziewiczych lasów. Z frontowej terasy hotelowej śliczny widok na całą okolicę. Tu spada pasmo stromym stokiem jak gdyby murem zielonym ku dolinie Hudsonu, i to tak stromo, że już w długości kilku kroków od terasy hotelowej przychodzimy nad brzeg przepaści.

Stoimy więc jak gdyby na wierzchołku jakiejś olbrzymiej wieży, — jak gdyby w łódce balonu i podziwiamy w niemym zachwycie rozległy krajobraz u stóp naszych. Głęboko w dole zielenią się samotne bory, — dzikie, — spokojne, prawie odludne, tak iż wierzyć się niechce, że to już blisko 300 lat upływa od czasu, kiedy biały człowiek wyrugował ztąd Indyan. Dalej lśni potężna wstęga Hudsonu nad którą bieleją liczne osady i pałace, — za nim uśmiechają się urocze wzgórza, na horyzoncie sinieją długie pasma górskie Nowej Anglii.

A więc to potężna Ameryka spoczywa u stóp moich!... Szeroki ocean oddziela mnie od mojej ojczyzny, — gdzie się także piętrzą góry, uśmiechają lasy i szumią strumienie. Pięknie tu.... cudownie, lecz szczęśliwy jestem, że tu jako gość tylko przebywam,

http://rcin.org.pl

i że będę mógł jeszcze oddychać ojczystem powietrzem i napawać się widokiem ojczystych okolic.

Jednak w tej wzniosłej chwili przychodzi mi na myśl kwestya bardzo realistyczna. Przypominam sobie, że ojczyste krajobrazy podziwiam zawsze o głodzie, bo albo wcale niczego nie ma, czem by można zaspokoić głód, który niestety nie ma względu, ani na poezyę ani na zachwyt, — albo też — jeżeli przypadkiem w pobliżu znajduje się krajowe miejsce kąpielowe — zaspakajam w taki sposób, że mam dość przynajmniej na dwa tygodnie. Tutaj inaczej, w hotelu spożywamy świetny obiad za jednego dolara od osoby, cenę stosunkowo jak na Amerykę bardzo mierną, jeżeli się uwzględni, że wszystkie artykuły spożywcze itd. trzeba wieźć tak daleko i tak wysoko.

Po obiedzie błądzimy po lasach szumiących dokoła. Jestto puszcza prawdziwa z tajemniczemi jeziorkami, gęstwinami i przepaściami. Zdaje się, jakgdyby tu kończył się świat cywilizowany, — a zaczynała Ameryka w swej pierwotnej dzikości, — zdaje się, że za chwilę rozlegnie się okrzyk wojenny Indyan, i że tomahawki warkną w powietrzu.

Lecz cicho i głucho!... Tylko odwieczne drzewa szemrzą coś o dawnych, zamierzchłych czasach, tylko orzeł spłoszony w swej drzemce poobiedniej zatrzepocze skrzydłami — a wznosząc się do góry roztopi się w gorącem, balsamicznem powietrzu.

* * *

Lecz czas powracać do Nowego Jorku. Polonia tutejsza tak dla mnie łaskawa, że przyjmuje mnie tak, jak nigdy i nie marzyłem. Z tutejszych gazet musieliście już wyczytać, że jutro odbędzie się na cześć moją bankiet składkowy, — a w sobotę ogólny meeting wszystkich polskich Towarzystw, jak też w ogóle wszystkich tutejszych Polaków. Dzienniki angielskie rozpisują się szeroko o przyjęciu mnie na doku chlebem i solą, bo naturalnie, zwyczaj ten jest im nowy. Redakcye starają się o moją fotografię i mój życiorys. Natura ludzka jest słaba, chcąc niechcąc wzbijam się w pychę, i odurzony zaszczytami, na które nie zasłużyłem, wyobrażam sobie chwilami, że jestem radnym miasta Lwowa.

Więc jutro rano odjeżdżam.

http://rcin.org.pl

Niechże choć jeszcze nacieszę się widokiem tej przyrody, która mnię otacza, niechże się pożegnam z okolicą, która takie zrobiła na mnie wrażenie!..

Noc gorąca sierpniowa, jasna, bo księżyc w pełni. W gałęziach platanów skrzeczą cykady, tak mile, tak dźwięcznie, że zdaje mi się, jakobym słyszał boską muzykę, — w lesie i na murawie połyskują świecące owady, jakgdyby błędne ogniki, a w oddali na górach Catskill wstają duchy, które zwykły śmiertelnik nazwałby mgłą.

Majestatyczny Hudson połyskuje fosforycznem światłem, — na jego nurtach zjawia się statek, — zapewne parowiec do Albany. Nie! to nie parowiec, takich okrętów nie ma już dzisiaj na świecie. Ciężki, starożytny, żaglowy, zbliża się zwolna do brzegu, na którym stoję. Cóż to za marynarze? Poważni, milczący, w średniowiecznych strojach. Ha! to Holendrzy, z Hudsonem na czele. Jakgdyby nadprzyrodzoną porwany siłą, pędzę na pokład, i za chwilę jesteśmy na drugiej stronie.

Idziemy w góry i lasy, niosąc małą baryłkę z sobą. W zacisznej dolinie rozpoczynają Holendrzy grę w kręgle, a ja kosztuję nieco cudownego likieru.

Zasypiam, — a kiedy po ciężkim śnie bez marzeń otwieram oczy, widzę, że już słońce wysoko na niebie. Biegnę więc do mych przyjaciół do farmy Ebenezer, lecz niestety! z farmy i z mych przyjaciół nie ma i śladu. Obcy świat, obcy ludzie otaczają mnie dookoła, spoglądają ze zdziwieniem na mnię, i ja sam zdziwiony spostrzegam, że przez jedną noc urosła mi długa, siwa broda. Po Hudsonie pędzą elektryczne statki tak zgrabne, tak szybkie, że moja ulubiona Normania wyglądałaby w obec nich jak stary niezgrabny prom.

Kilka pytań — a rzecz się wyjaśnia: przespałem 100 lat! Nieszczęsny! — nie dla mnie już świat, — gdyż wszyscy bliscy memu sercu w grobie! — Witam więc z radością Lemurów, którzy z rydlami w ręku zbliżają się kopać mój grób, bo czas mej ziemskiej pielgrzymki dawno upłynął. Nagle przychodzi mi jak błyskawica myśl, — więc proszę tylko o chwilkę zwłoki, pędzę do stolicy i chciwie przezieram dzienniki, aby się dowiedzieć, co się dzieje z mą ojczyzną na dalekim Wschodzie.

Ogarnia mię rozkosz! A więc sny mej młodości ziszczone, a więc żmudna wytrwała praca nasza nie była nadaremną!

http://rcin.org.pl

Olśniewa mnie cudowne światło przychodzące z dalekiego Wschodu, i kiedy Lemury grób mi kopią, kiedy już czuję, że za chwilę istota moja w proch się rozsypie, w ostatniem tchnieniu ulatują słowa: Zostań!... ach zostań dłużej boska chwilo, tak jesteś piękną! Ślad ziemskich dni naszych nie zginie w eonach.

---

http://rcin.org.pl

III.

NOWY JORK

16 sierpnia 1892.

Jest to niezwykły objaw energii i żelaznej siły woli z mej strony, — jeżeli w ogóle teraz piszę list do was, bo wśród tak straszliwych upałów, jakie tu panują, a o jakich wy tam w naszej chłodnej ojczyźnie i pojęcia nie macie, — najchętniej próżnuje się cały dzień, paląc papierosy i nie myśląc o niczem.

Umyślnie kupiłem sobie w Europie termometr z podziałką Réeaumura, bo podług tutaj używanego Farenheita nie mogę się jeszcze zoryentować; odciągaj 32, mnóż przez 4, dziel przez 9, to troszkę zanadto zawiła historya, wolę więc pocić się i piec według Réaumura. Obecnie odczytuję 28° w cieniu, — jest to wielkie gorąco, a jeżeli się uwzględni ten znaczny procent wilgoci zawarty w powietrzu, człowiek ma cały dzień uczucie, że jest w parni na najwyższym stopniu.

O porządnym śnie nie ma i mowy, — jest to tylko przewracanie się z jednej strony na drugą, ciągłe ziewanie i gorączkowe majaczenie, nikt mi więc za złe nie weźmie, że taką noc staram się o ile możności skrócić przychodząc do domu, kiedy już jutrzenka poranna złoci stronę, w której leży droga ojczyzna moja.

Kąpię się więc o 7 godzinie rano w zimnej wodzie, ale to ochłoda tylko na chwilę, gdyż wkrótce jeszcze goręciej, — potem ubieram jedwabną lub wełnianą koszulkę, — gdyż inaczej trzebaby zmieniać bieliznę ze cztery razy dziennie i idę do wiedeńskiej kawiarni na śniadanie.

Nowy Jork zaczyna się zwolna europiezować (ładne słowo!), bo kawiarnie powstają jedna za drugą, jak grzyby po deszczu,

http://rcin.org.pl

jednak usługa jak wszędzie w Ameryce jest haniebna, — a filiżanka kawy kosztuje na naszą monetę 62 ct.

Potem ubieram hełm z dwoma daszkami kupiony za 1 zł. 50 ct. we Lwowie u Chlebownika (tutaj myślą, że to prawdziwy angielski), otwieram parasolkę od Korkesa za ośm szóstaków, i drwiąc sobie z afrykańskiego gorąca, idę i jadę w okolice miasta, badając prześliczne pokłady lodnikowe. To mię troszkę ochładza, bo widząc resztki z tych olbrzymich lądolodów, które podczas dyluwialnej formacyi pokrywały tutejszą okolicę, wyobrażam sobie jak tu niegdyś musiało być zimno.

Gdy mi gorąco zanadto dokuczy, wracam około 2 lub 3 po południu do mego hotelu. Mieszkam w hotelu „Colorado“ na Broadway, na 4 piętrze na froncie. Za skromną cenę 5 dolarów dziennie (12 zł. 50 ct.) mam parloar (salon), sypialnię i gabinet do kąpieli. Głęboko u stóp moich wre życie milionowego miasta w tej głównej nowojorskiej arteryi, — długa lina przyczepiona na haku tuż obok okna przypomina mi znikomość wszystkich ziemskich rzeczy, i wskazuje mi drogę, którą mogę umykać w razie pożaru z błyskawiczną szybkością.

Całe popołudniu schodzi mi na przyjmowaniu drogich mych rodaków, lub reporterów gazet nowojorskich, — którzy wypisują o mnie niestworzone rzeczy. Każdego takiego Jankesa przepraszam przedewszystkiem za mą angielszczyznę, proponując mu, czyby nie wolał ze mną rozmawiać po łacinie lub po grecku, gdyż — motywuję — jako były uczeń gimnazyalny celuję przedewszystkiem w tych językach. Naturalnie, Jankes się krzywi i powiada, że woli, abym mówił chociażby najgorszą angielszczyzną, — bo nie zna tych klasycznych języków.

Wieczorem po obiedzie idę jako gość do którego z polskich towarzystw, lub też do prześlicznego gmachu nowego na Madison Square — coś w guście wiedeńskiego Ronachera, lub też wreszcie do teatru. Teatrów jest tu mnóstwo, wszystkie nieszczególne, — ale dobre mi i te, — jeżeli sobie wspomnę, co mię czeka we Lwowie. Albowiem o budowie nowego teatru nie ma i mowy, — nasze prawnuki dożyją może za sto lat, że Rada miejska „wysadzi“ nową komisyę do przygotowania przedwstępnych kroków co się tyczy namyślenia się względem wyboru miejsca, — a co do starej budy, to — (tak przynajmniej stała sprawa podczas mego wyjazdu) nikt nie chce zdecydować się dać monety

http://rcin.org.pl

na jej połatanie. Niewątpliwie więc ten przybytek polskiej Melpomeny i Talii i włoskiej Terpsychory będzie musiał się wynieść w komorne „pod Srokę“, jeżeli dyrektor narodowego żydowskiego teatru, maestro Pimpel, na to raczy się zgodzić.

Wyobrażam więc sobie, że gdy późną jesienią powrócę do kochanego Lwowa, to zobaczę na rogach ulic teatralne ogłoszenia mniej więcej następującej treści: Teatr pod Sroką. Dziś: Dyrekcya Schmitt. Halka, opera narodowa Moniuszki Jutro: Dyrekcya Pimpel. Ni be ni me ni kukuriku, wielka żydowska narodowa opera w 5 aktach.

O Lwowie kochany! *Difficile satiram non scribere!*

Lecz widzę teraz dopiero jak straszna to choroba ta nostalgia (fatalny „polski“ wyraz, bo mi przypomina zawsze nosaciznę...) Czy mnie potrzeba myśleć i mówić o Lwowie? Wszakżeż jestem nad Hudsonem w milionowej stolicy Nowego Świata, — wszakżeż otacza mnię życie, ruch, bogactwo i przepych!

Nowy Jork nie zmienił się wcale od zeszłego roku. To samo ciekawe, potężne, imponujące, ale nie ładne miasto. Nie opisuję go, — gdyż uczyniłem to już w mych pierwszych publikacyach o Ameryce, do których więc ciekawych czytelników odsełam.

Obecnie przybyłem na sam żywy ruch wyborczy, — albowiem już 4 listopada odbędzie się wybór prezydenta i wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych. Główna agitacya wre w Nowym Jorku, bo ten najludniejszy Stan rozstrzyga zwykle głosami swymi o wyniku wyborów, więc obie przeciwne partye wysilają się i skupiają swą działalność tutaj. Nie przywykły do tutejszych stosunków pojąć nie może, że tu wydaje się na ten cel tak olbrzymie sumy. Sam lokal n. p. wynajęty przez partyę republikańską na 3 miesiące jako siedziba centralnego komitetu „headquarters“ kosztuje 85.000 dollarów (przeszło 200.000 zł. a. w.), — a na agitacyę, na zgromadzenia przedwyborcze, na dzienniki i t. p. idą miliony. To nie tak jak w naszej poczciwej Galicyi, — gdzie kilka kilometrów kiełbasy z czosnkiem i parę kuf gorzałki wystarczają na wybory.

Przez ulicę na poprzek wiszą olbrzymie tablice z portretami Harrisona lub Clevelanda i z napisami: Wybierajcie Harrisona! Wybierajcie Clevelanda! Właściwie muszę się przyznać, że mimo mych studyów w tym kierunku nie mogę się dopatrzeć zasadniczej różnicy pomiędzy partyą republikańską a demokratyczną. Republi-

http://rcin.org.pl

kanie, chcący Harrisona obiecują zatrzymanie billu Mac Kinleya (cła ochronnego), złotą walutę, — partya demokratyczna zaś popierająca Clevelanda zamierza znieść cło ochronne a zaprowadzić natomiast wolny handel, i dozwolić na nieograniczone bicie srebrnych dollarów, t. j. na srebrną walutę. To jest najgłówniejsza różnica pomiędzy jedną partyą a drugą, — bo inne zasady i hasła tak są nieistotne, że trudno mi powiedzieć, aby stanowiły zasadniczą różnicę pomiędzy jedną partyą a drugą.

Zdaje mi się więc, że przy tej zaciętej walce chodzi przedewszystkiem nie o zasady, lecz oto, która partya ma się dostać do władzy, a więc przytem do urzędów i monety państwowej.

Polacy nowojorscy należą przeważnie do partyi republikańskiej, oba tutejsze dzienniki *Kuryer* i *Postęp* wyznają zasady i popierają partyę republikańską. W samym Nowym Jorku jest około 20.000 Polaków, trudno jest jednak podać wierną cyfrę chociażby i w przybliżeniu, raz, że wielu jest takich, którzy żyją w cichości na uboczu tak, że nikt o nich nie wie, powtóre że statystyki oficyalnej Stanów Zjednoczonych nie można się niczego dowiedzieć, gdyż tylko wychodźcy z Królestwa zapisani są jako Polacy, podczas gdy Poznańczycy figurują w rubryce Niemców a Galicyanie jako Austro-Węgrzy.

W Nowym Jorku, jakoteż w sąsiednim Brooklynie i N. Jersey jest przeszło 40 Towarzystw polskich. Są to Towarzystwa polityczne, dobroczynności, muzyczne i t. p. Między niemi wpadają obcemu przedewszystkiem w oczy korporacye o charakterze wojskowym, mające swoje mundury i swoją broń. I tak n. p. poznałem tu: Batalion wolnych strzelców, legion wolnych polskich Krakusów i t. p.

W Nowym Jorku jest stosunkowo do innych miast amerykańskich znaczna ilość polskiej inteligencyi, — gdyż ta ugrzęza tutaj, szukając zajęcia umysłowego — i boi się udawać dalej na Zachód, gdzie ją czeka tylko ciężka praca rąk. Nie trzeba atoli sądzić, że tu tak łatwo o zajęcie umysłowe, i uważam za swój obowiązek przestrzedz lekkomyślnych młodych ludzi, którzy sądząc, że tu dolary leżą po ulicach, opuszczają ojczyznę. Spotyka ich zawsze gorzkie rozczarowanie: — przedewszystkiem bez gruntownej znajomości języka angielskiego nie ma i mowy o otrzymaniu jakiejś posady. Nawet dyplomy uniwersyteckie tutaj nie popłacają, — bo jak słusznie humorystyczna tutejsza piosnka powiada,

http://rcin.org.pl

„że gdy będziesz miał dyplomy aż dwóch fakultetów, dostaniesz posadę przy dojeniu krów“. Nie świetny rytm i rym, ale za to święta prawda. Jako przykład przytoczę życiorys dwóch wychodźców z kraju, których właśnie przed chwilą poznałem. Pan K. przyszedł tu ze świadectwem gimnazyalnem dojrzałości i był po kolei robotnikiem przy brukowaniu ulic, pomywaczem naczynia w garkuchni, — malarzem pokojowym, woźnicą, tapicerem, obecnie małym agentem. Pan A. ukończył dwa lata politechniki lwowskiej i był tu zrazu pomocnikiem fryzyerskim, pisarzem u adwokata, notaryuszem (rozumie się, że notaryusz tu a u nas, to nie jedno i to samo, — gdyż tu nie ma ani *numerus clausus*, ani takich studyów przygotowawczych jak u nas) — a obecnie wreszcie urzędnikiem przy kompanii gazowej za 75 dolarów miesięcznie. Oba te przykłady są autentyczne, — a mógłbym przytoczyć cały szereg podobnych. Tożsamo ta nasza nie inteligentna emigracya, która bez celu, bez planu i pieniędzy przychodzi i ugrzęza w Nowym Jorku cierpi nędzę i staje się z czasem ciężarem, a nawet niestety i zakałą dla polskich obywateli w Stanach Zjednoczonych.

Tutejszy proboszcz przy jedynym nowojorskim polskim kościele św. Stanisława ks. Fremel, był tak łaskaw, że mnie odwiedził i niejedno o tutejszych stosunkach opowiedział. Parafia jego jest znaczna, ale w obec tego, że parafianie mieszkają w rozmaitych częściach tak olbrzymiego miasta, nie można jej porównywać ze 20—30-tysięczną parafią u nas. Przy kościele jest polska szkółka, do której uczęszczało w upłynionym roku szkolnym 70 dzieci.

Łączności pomiędzy Polakami Nowego Jorku nie ma prawie żadnej, owszem wodzą się za łby, aż przykro patrzeć, najgorzej, że wyciągają na jaw rozmaite, nie wiem, czy rzeczywiste, czy tylko urojone brudy i opisują je nie tylko w polskich, ale nawet i angielskich dziennikach, — co, jak się rozumie samo przez się, nie przyczynia się wcale do zdobycia nam dobrej opinii u Yankesów. Naturalnie, że przeważna większość jest zacna, pełna godności, ale niestety jeden krzykacz i awanturnik więcej popsuje, aniżeli stu porządnych ludzi zdoła naprawić. Kochani moi rodacy obsypują mnie tu zaszczytami; w sobotę urządzili oni bankiet w przepysznych salach „ColumbieHouse“, — w poniedziałek zaprosili mnie na liczne zebranie w sali „Germania“, ażeby mi dać sposobność poznania jak największej ilości naszych wychodźców.

http://rcin.org.pl

Najmilsze jednak wrażenie sprawiło na mnie serdeczne przyjęcie, — jakiego doznałem w Newarku. Jest to wielkie miasto (przeszło 300.000 mieszkańców), pół godziny drogi od N. Jorku, w stanie New-Jersey. Kolonia polska w Newarku, składająca się prawie wyłącznie z klasy rzemieślniczej, jest nieliczna (2000—3000 osób), ale słynie jako spokojna, zacna i pracowita. Otóż Newarczanie, dowiedziawszy się o przybyciu profesora ze Lwowa, wysłali natychmiast deputacyę z prośbą, ażebym ich odwiedził. Oczywiście, że z wdzięcznością przyjąłem to serdeczne zaproszenie, i w niedzielę rano udałem się do Newarku. Na dworcu oczekiwał mnie komitet, z p. Konopnickim na czele, składający się z prezesów wszystkich tamtejszych towarzystw polskich, — przyczem oficerowie wystąpili w swych strojnych uniformach. Przedewszystkiem pojechaliśmy do polskiego kościółka, zbudowanego ze składek zacnych parafian; — ci biedni rzemieślnicy odrywają sobie od ust krwawo zapracowany grosz, aby wznieść przybytek pański, w którymby mogli usłyszeć słowo Boże w ojczystym języku. A teraz łaskawy czytelniku powiedz, czybyś się nierozpłakał na mojem miejscu, choćbyś miał i spiżowe serce. Wchodzisz do kościoła ze świadomością, że jesteś na drugiej półkuli za Oceanem, tysiące mil od kraju, — a tu słyszysz jak rozbrzmiewa pieśń: „Święty, Święty, zawsze Święty“, widzisz polskie dzieweczki i polskich chłopaków, widzisz poczciwych naszych wąsaczy, z twardą spracowaną ręką, ale szlachetnem sercem....

Po sumie, zabrawszy ze sobą zacnego proboszcza, ks. Łobazińskiego, który się krząta około założenia szkółki polskiej, udaliśmy się do restauracyi p. Bulsiewicza na obfity polski obiadek, który spożyliśmy w serdecznym nastroju. Po obiedzie, o godzinie 3-ej, zaproszono mnie na publiczne zebranie. Wchodzę więc do sali udekorowanej, gdy w tem rozlega się gromka komenda: „Krakusy baczność! kanonierzy baczność! W prawo patrz!“

Czy umarli wstają z grobów?.... Łzawem okiem spoglądam dookoła, wszakżeż tu lśnią mundury, błyszczą rabaty, które niegdyś lśniły pod Stoczkiem!

Chłopcy, jak dąbczaki, stoją w zwartym szeregu, z oczu tryska odwaga i energia, — a jaka karność, jaki szereg równy, niepowstydziłby się tego żołnierz, — przecież ja, stary oficer, potrafię to osądzić.

http://rcin.org.pl

4-ty oddział legionu wolnych Krakusów, pod dowództwem poważanego kapitana Stawskiego, i baterya polskich kanonierów, która wystąpiła ze swą armatą, pod dowództwem dziarskiego kapitana Bulsiewicza, wita swego gościa z za Oceanu.

Wita mnie serdecznem, ciepłem słowem prezes Konopnicki, — a kiedy wzruszony zabieram głos, natenczas powiew z ojczystych stron zaszumiał po sali, — starzy, zahartowani i niezłamani w twardej szkole życia rycerze pracy zaszlochali jak dzieci głośnym płaczem.

Lecz przyszła i na mnie kolej. Witają mnie po koleji prezesi Towarzystw: im. Jana Sobieskiego p. Jechelski, Lutni p. Paszek, Krakusów p. Stawski, Kanonierów p. Bulsiewicz, i t. d. a kiedy wreszcie dziewczątka w bieli podają mi bukiety i deklamują wierszyki, — kiedy nieszczęśliwy ciemny synek porucznika Majnerta wygłasza prześliczną odę, zastosowaną do okoliczności, natenczas i ja nie mogłem się od łez powstrzymać, więc zabeczeliśmy wszyscy jak barany.

Kapitan Bulsiewicz miał jednakże na tyle przytomności, że położył koniec tej łzawej scenie zapraszając mnie na musztrę kanonierów. Ależ to wyćwiczył swoich chłopaków! Trzeba było widzieć z jaką szybkością i precyzyą manipulowali ze swoją armatką. „Kieruj w prawo! kieruj w lewo! cel! pal! Rozbierz, złóż armatkę! Naprzód, wtył — w bok!“ Niedarmo służył kilka lat przy milicyi tutejszej, poznać wytrawnego komendanta.

Te towarzystwa z charakterem wojskowym są tu tem samem, czem u nas Sokoły, tylko, że równocześnie mają zadanie wzajemnej pomocy. Wspierają więc chorych, wypłacają wdowom i sierotom zapomogi i t. p.

Szanowny prezes wręcza mi upominek od Towarzystw, mianowicie fotogramy tychże w artystycznych ramach, poczem następują spiewy i serdeczna pogadanka, która się przeciąga późno w noc.

Komitet odprowadza mnie na dworzec, w uszach mi dźwięczą pożegnalne słowa p. Bulsiewicza: „O przywieź mi Panie, gdy zawitasz do nas na drugi rok, cały worek ojczystej ziemi, będę sypiał na niej zamiast poduszki“.

Cześć wam i dzięki zacni Newarczanie! Wy jako dobrzy obywatele nowej waszej ojczyzny, nie zapominacie o starej Matce waszej, — wy pracujący od świtu do ciemnej nocy, potraficie zna-

http://rcin.org.pl

leźć jeszcze na tyle czasu, aby uczyć dzieci wasze ojczystej mowy, ojczystych dziejów!

Ten upominek, którym mnie uczciliście, będzie mi drogą pamiątką, będzie mi zawsze przypominał, że i za Oceanem biją serca polskie!..

Zarobek naszych rękodzielników w Newarku nie jest bardzo świetny, 10—16 dolarów tygodniowo, — przy pracy od sztuki nieco więcej. Ceny pomieszkań i żywności takie same jak w Nowym Jorku. Mieszkanie z 3 pokoików kosztuje 6—9 dolarów miesięcznie, funt mięsa 7—16 cnt. i t. p. W Nowym Jorku zarabiają rzemieślnicy tak samo, jednak trudno o robotę. Praca zaś wyrobnika dziennego nie popłaca wcale, raz, że trudno o nią, powtóre, że przy tym ciągłym napływie wychodźców powstaje konkurencya, tak, że w ogóle ludzie sobie poczytują za szczęście, jeżeli mogą za swą ciężką pracę otrzymać choćby kilkadziesiąt centów dziennie.

Zwiedziłem także i mieszkania, położone daleko na przedmieściu. Wprawdzie to jeszcze ciągle Nowy Jork, — ale w odległości 12—15 mil od głównego punktu Broadwayu. Łączę więc przyjemne z pożytecznem, — bo chodzę po kamieniołomach, których naturalnie mnóstwo na przedmieściu, i odwiedzam wychodźców z kraju, którzy tu mieszkają dla świeżego powietrza, a przedewszystkiem dla dzieci, żeby się nie potrzebowały włóczyć po ulicach nowojorskich. Są tu same maleńkie, drewniane wille, z kawałkiem ogródka, na dole są dwa lub trzy pokoiki i kuchenka, na piętrze, czyli po naszemu „na stryszku“ jeden lub 2 gabineciki. W ogródku jest parę kwiatków, trochę rzodkiewki i ogórków, parę słoneczników, i tu bawią się cały dzień dziatki nieszczęsnego wychodźcy, — tu biedny ojciec siada po ciężkiej pracy dziennej, a spoglądając na zieloną trawkę, na nikłe kwiatki, marzy o ojczystych stronach, gdzie tyle powietrza, tyle zieleni, tyle kwiecia!....

Willa taka kosztuje miesięcznie około 15 dolarów, — mięso i wszystkie inne artykuły żywności dowożą codzień pod sam dom, po cenach nowojorskich, — a cena biletów kolejowych w abonamencie jest bardzo mała, tak, że wydatek na podróż codzień do miasta, gdzie ojciec rodziny ma zajęcie, nie powiększa zbytnio kosztów willegiatury.

Oczywiście, że na taki luksus może sobie pozwolić tylko ten, który zarabia miesięcznie conajmniej 60—80 dolarów, — gdyż jeżeli ma mniej, to musi mieszkać w dwóch lub 3 komórkach

http://rcin.org.pl

w mieście, za 8—10 dolarów miesięcznie, a wówczas dzieci siedzą cały dzień na ulicy. Jest to tutaj w zwyczaju, i nikogo nie razi, że na wszystkich ulicach, z wyjątkiem głównych arteryj, bawią się, uczą i hałasują dzieciaki, — jak u nas w jakim parku, lub na boisku gimnastycznem.

W ogóle, czas mi tu prędko schodzi, bo jeżeli jestem sam i wolny wieczorem po całodziennych wędrówkach po okolicy, to błądzę po Broadwayu i gapię się na wszystko. A jest się na co gapić, — bo tu wiele jest niezwykłych rzeczy. Tu są sklepy, które wypełniają olbrzymią kamienicę, bo zajmują cały blok, a więc o 4 frontach, z których każdy ma 60 wielkich okien. Od dołu aż do 5 piętra na górze, wszystko jest jednym handlem. W każdym oddziele co innego, — liczne elewatory łączą dół z górą, literalnie można zabłądzić, bo taki zgiełk, taki ruch, jak na jarmarku. Po drodze w gmachu są tu i owdzie cukiernie, — gdzie się można ochłodzić lodami, są salony, gdzie na miękkich fotelach można spocząć. Natomiast towary nie przedstawiają nic ciekawego, bo pochodzą przeważnie z Europy, — bill Mac-Kinleya nie spowodował w tym względzie najmniejszej zmiany; z wysokiego ochronnego cła kupiec sobie nic nie robi, bo konsumenci muszą je płacić.

Są tu dalej handle jubilerskie, w których sama wystawa zajmuje kilkanaście olbrzymich okien, — znawcy oceniają wartość towaru, który jest tylko na wystawie, na $1^1/_2$ miliona dolarów.

Zbliża się wieczór, więc czas na obiad. Wyjątkowo można sobie pozwolić na skromny obiadek u Delmonika za $2^1/_2$ dolara, — przecież musimy poznać nowojorskiego Sachera. Potem idziemy do pysznej kawiarni w hotelu Hoffmann-House, w sąsiednim handlu tytoniu dostajemy najtańsze możliwe cygaro za naszych 25 centów, ale za to dwa wystrojone, czarne jak smoki murzyńskie chłopaki, podają nam z gracyą ogień, — gdyż to ich jedyna tu funkcya.

Idziemy jeszcze dalej. Na rogu 39 ulicy wpada nam w oczy dziwny, wysoki gmach niby w maurytańskim stylu z napisem „Casino“. Liczne kolorowe światła zwracają naszą uwagę, więc chętnie płacimy $^1/_2$ dolara i wstępujemy do środka. Jestto operetka, której możemy się przysłuchać z góry, popijając piwo, gdyż to co u nas jest paradyzem, zamieniło się tu na salę restauracyjną. Pod nami są krzesła i loże, — ale za nie trzeba osobno dopłacać. Sprzykrzyła się nam operetka, więc każemy się wyciągać na dach, bo tu jest „największa osobliwość całego świata“, (w Ameryce

http://rcin.org.pl

wszystko jest *the greatest*, *the best*, *the finest in the world)* mianowicie *Roof Garden*.

Jest to ogród założony na dachu pod niebem, oświetlony „w czarowny sposób“ i w pierwszej chwili sądziłem, że to spostrzegalnia astronomiczna, — lecz wkrótce przekonałem się że to — tingl-tangl. Wyciągają nam znowu $^1/_2$ dolara z kieszeni za bliskie krzesło, — gdyż daleko z tyłu nie będę siedział, kiedy właśnie tańczy śliczna, czarnooka Hiszpanka. Wreszcie i to nam się przykrzy, więc idziemy niby do domu. Po drodze jednakże wstępujemy przez ciekawość do *Madison - Square - Garden*, — gdyż tam jest sala balowa, która może pomieścić 15.000 osób, — wynajęcie jej na 1 wieczór kosztuje 1500 dolarów. Rzeczywiście przepyszna! Wyobrażam sobie jakby tu cudownie nasz znany komedyopisarz aranżował, coby to były za figury złożone z kilku tysięcy par!

Błądzę jeszcze jakiś czas po ulicach, podziwiam prześliczne kobiety tutejsze, zgrabne, smukłe a przytem pięknie zbudowane, nareszcie lżejszy o kilkanaście dolarów idę na spoczynek, — a gwar i zgiełk na Broadwayu, trwający całą noc, ukołysze mnie prędko do słodkiego snu.

Jutro wyjeżdżam do Buffalo nad jeziorem Erie. Znów więc będę nad potężną Niagarą, znów będę patrzał w oczy zdradliwej *maid of mist*, w jej więc objęciach napiszę następny — a jak się spodziewam — prześliczny list.

---

http://rcin.org.pl

IV.

BUFFALO

22 sierpnia 1892.

Pisząc ten list spoglądam raz po raz to na mapę Stanów Zjednoczonych, to na ulice i ludzi przez okienka mej willi; pierwsze poucza mnie, że jestem w Ameryce nad jeziorem Erie, kilka tysięcy mil od kraju, — ale widok z okna, głosy dochodzące do mych uszu zadają kłam temu.

Ej, to nie Ameryka! To Tarnów, Stanisławów, lub coś podobnego! Wszakże na ulicy hałasują polskie chłopaki, — gdzie spojrzę, polskie napisy, jak n. p. „Hurtowny skład kawy i cukru, Handel żelazny, Handel taki i owaki Sawickiego, Wiszniewskiego, Bilskiego i t. p., Pani X. Y. praktyczna akuszerka. — Tutaj wyrywają zęby i t. p.“ A wszakżeż i sam mieszkam w polskim hoteliku „Kościuszko-Hall“ własności p. Nowaka z Poznania, — ba, nawet z wyjątkiem głównego „Broadwayu“ i ulice mają polskie nazwy: ulica Sobieskiego, ulica Kościuszki i t. p.

Z okien mych widzę cztery polskie okazałe kościoły, przy nich cztery imponujące gmachy: to są polskie szkoły, — jakżeż więc mam wierzyć, że jestem na drugiej półkuli? Tak! jestem w samym środku polskiego miasta, liczącego 40.000 do 50.000 mieszkańców, we środku zdrowego, pełnego życia i siły odpornej ludu, — który nietylko, że sam się nie wynaradawia, ale jeszcze i assymiluje! Śmiejcie się z tego, a jednak to jest faktem, — Yankesi i Niemcy, którzy się dostali pomiędzy to polskie mrowisko, spolonizowali się częścią z musu, częścią dla interesu.

I cóż mnie przeto obchodzi, że tam dalej ciągnie się wielkie amerykańskie Buffalo liczące wszystkich razem przeszło 270.000

http://rcin.org.pl

mieszkańców. Ta polska część, stanowiąca $^1/_5$ całości jest silną, istniejącą sama dla siebie; tutaj wszystko co widzimy, kościoły, szkoły i zakłady, powstały bez wszelkich subwencyj sejmowych, jedynie z centów, które robotnik od ust sobie odejmuje!...

Lecz wśród zachwytu straciłem wątek historyczny. Że zaś żywe słowo nie jest martwym obrazem, tylko potrzebuje ruchu i czasu, — przeto pozwólcie, że gawędce swej nadam odpowiednią formę.

Słońce stało już wysoko na niebie, — gdy murzyn mój, posługacz wozu Wagnerowskiego (Wagner, konkurent Pullmana), zbudził mnie mówiąc, że wyjeżdżamy do Buffallo. Szybko więc ubieram się i wyglądam przez okno. O nieba, cóż widzę? To mają być wolne Stany Zjednoczone?... Wszakżeż to stan oblężenia, a może wojna jaka?...

Wzdłuż toru kolejowego połyskują bagnety, sinieją uniformy, — co krok żołnierz na warcie, co kilkadziesiąt mały obóz. Cały olbrzymi dworzec roi się od żołnierzy, wagony pozamieniano na koszary, szopy kolejowe na twierdze.

Przyjeżdżam do Buffallo w bardzo ciekawy czas, mianowicie na strejk zwrotniczych kolejowych, bo też w ogóle obecnie strejki, zamachy anarchistyczne i t. p. są w Stanach Zjednoczonych na porządku dziennym.

Nasi teoretyczni socyaliści i anarchiści, którzy popierają „dla zasady“ ten nowoczesny ruch, mogliby się niejednego nauczyć i dostaliby taki tusz z zimnej wody, że swoje poglądy zmodyfikowaliby znacznie. Przypomina mi się właśnie zdanie, wypowiedziane przez pewnego menera „lwowskiej partyi robotniczej“ w sprawie budowy tanich pomieszkań dla robotników. Otóż zacny ten mener protestował najuroczyściej przeciwko szlachetnym zamiarom komisyi miejskiej motywując, „że my przewodnicy nie możemy do tego dopuścić, aby robotnik był zadowolony!“

Oczywista panie przewodniku, — bo wtenczas skończyłaby się wasza rola i wtenczas, zamiast wygodnego stanowiska generała, dostałby się wam w udziale los prostego żołnierza i zamiast pisać manifesty, musielibyście sami wziąć w rękę młot lub hybel.

Zupełnie w podobny sposób wyraził się i przywódca partyi anarchistycznej w Homstead, Irlandczyk O'Donell. Wiadomo wam z gazet o zamachu żyda Bergmanna na życie superintendenta Fricka w Homstead. Otóż O'Donell publikuje obecnie „manifest“,

http://rcin.org.pl

w którym między innemi znajduje się także następujące ciekawe zdanie:

„Teraz dopiero odebrałem nagrodę za moje zajmowanie się i kierownictwo partyi robotniczej, bo gdy dotychczas byłem prostym robotnikiem za $7^1/_2$ dolarów (przeszło 18 złr. w. a.) dziennie, to teraz jestem wielkim człowiekiem, odbieram bowiem listy z całego świata. Mogę więc zapewnić wszystkich przyjaciół mych, że nie dopuszczę nigdy do zgody pomiędzy robotnikiem a chlebodawcą!“

I rozwiązujże więc w obec tego kwestye socyalistyczne.

Sprawa tutejszego strejku zwrotniczych przedstawia się w sposób następujący:

Na tych olbrzymich dworcach kolejowych w Buffalo, gdzie ruch pociągów towarowych jest nadzwyczajny, pobiera zwrotniczy 21 do 23 cnt. od godziny i jest obowiązany pracować 12 godzin dziennie, tak, że zarobek jego wynosi przeszło $2^1/_2$ dolara na dzień. W tutejszych stosunkach, biorąc na uwagę znaczną taniość pomieszkań i produktów żywności, jestto dla człowieka takiego jak zwrotniczy, wcale ładny zarobek; byłoby to samo, tłómacząc na nasze stosunki, jak gdyby nasz „budnik“ otrzymywał około 120 złr. w. a. miesięcznie.

Jednakowoż zwrotniczy przy kolei Nowy York central i Hudson R. Reibrood poczęli strejk, żądając: po pierwsze zapłaty za 12 godzin, a roboty tylko 10, — powtóre od godziny 25 cnt. Przyłączyli się do nich zwrotniczy reszty sześciu kolei, skutkiem czego ruch towarowy w Buffalo ustał zupełnie, — a ruch osobowy tylko z trudnością daje się utrzymać, — dość powiedzieć, że pociąg nasz stracił przeszło godzinę czasu, nim zdołał zajechać przed dworzec.

Ponieważ strejkujący spalili kilka wagonów i zajęli dość groźną postawę, przeto koleje i magistrat buffalowski zażądały od rządu pomocy wojskowej. Jakoż rzeczywiście gubernator z Albany zmobilizował przeszło 10.000 milicyi, i przysłał na tutejsze dworce. Kosztuje to ogromne pieniądze, gdyż każdy członek milicyi otrzymuje trzy dolary dziennie i zupełne utrzymanie. Właśnie wczoraj wybuchł w tem improwizowanem wojsku mały bunt: dzielni synowie Marsa nie dostali przypadkiem na obiad paji (pie), a bez tej leguminy prawdziwy Amerykanin się nie obejdzie, zwłaszcza teraz, kiedy są brzoskwinie, a więc sezon na „piczes paje (peaches pie)“.

http://rcin.org.pl

Byłaby więc milicya rozeszła się do domu, — na szczęście, paję upieczono, i dzielni żołnierze spiewają i piją dalej na swych wartach.

Na dworcu wygląda naturalnie bardzo chaotycznie, towary leżą całemi górami, czekając na transport; niewprawni jeszcze ludzie, przyjęci na prędce do pomocy, kręcą się i hałasują więcej, aniżeli robią, do tego świst lokomotyw, wymijających się z trudnością, krzyk urzędników, — spiewy milicyi, tak, że człowiek rzeczywiście tumanieje.

Jakżeż więc miłe wrażenie odniosłem, — gdy u wychodnych drzwi spostrzegłem grupę ludzi, odświętnie ubranych, — po których twarzach poznałem od razu, że to Polacy. Poznaliśmy się wzajemnie, — to komitet, który imieniem rodaków witał mnie w murach Buffalo. Na czele jego dwaj koledzy po piórze: M. J. Sadowski, znany i u nas w Europie publicysta amerykański, były redaktor „Echa“, głównego pisma tutejszego, teraz urzędnik państwowy, i pan Dewojna, Litwin, obecny redaktor „Echa“. Oprócz tego reprezentanci tutejszej czytelni, rozmaitych stowarzyszeń i korporacyj.

Zacni ziomkowie tak są ucieszeni mem przybyciem w strony przez nich zamieszkane, że podają sobie telegraficznie wiadomości o mym wyjeździe z każdej miejscowości, ażeby tylko powitać mnie na dworcu i ofiarować swą pomoc w mych naukowych i społecznych studyach.

Mogę więc wygodnie pod takiem kierownictwem rozpocząć od zwiedzania miasta, — bo tam ani śladu nie widać z tych niepokojów na dworcu. Naturalnie, że zaczynam od tego, co mnie najwięcej interesuje, t. j. od części polskiej. Z małym tylko wyjątkiem mieszkają wszyscy Polacy buffalowscy razem, — wschodnia część głównej arteryi miasta t. j. Broadwayu, jak też wszystkie poprzeczne ulice ją przecinające, są wyłącznie polskie. Dość powiedzieć, że magistrat miasta widział się zmuszonym otworzyć tu osobną targowicę polską.

Tu więc nasze kumoszki gwarzą i targują jak na Kleparzu, — z pełnymi koszami jarzyn i mięsiwa wracają do domu, — bo trzeba wiedzieć, że nasz chłopek lub wyrobnik, który u nas w domu mięso jada chyba od wielkiego święta, ma tutaj trzy razy dziennie swą pieczeń lub befsteak.

http://rcin.org.pl

Idę ulicą, spozieram dookoła, słucham objaśnień mych przewodników i niechcę wierzyć. Te domki drewniane, z ogródkami, schludne — w guście naszych lepszych dworków mało-miasteczkowych, to własność naszych ludzi i to nietylko lepszych rzemieślników lecz prostych robotników dziennych. Przeważna bowiem część ludności polskiej należy do tej ostatniej kategoryi, — pracują przy budowie dróg, kanałów, wodociągów i t. d. i zarabiają $1^1/_2$ dollara dziennie. Rzemieśinik tęgi w swym fachu, może liczyć na — co najmniej — 60 dollarów miesięcznie stale, lepsi rękodzielnicy, zwłaszcza w przemyśle żelaznym, zarabiają i więcej. Prawdziwem błogosławieństwem takiego człowieka jest liczna rodzina, — bo każde dziecko, które ze szkół wyjdzie, zarabia także kilka dollarów tygodniowo, — nie są więc rzadkie wypadki, w których rodzina ma miesięcznie 150 a nawet więcej dollarów dochodu,— to też więc Polaczki nie tracą czasu i mnożą się jak króliki.

W obec tutejszej taniości dochód taki prowadzi przy oszczędności do dobrobytu. Funt mięsa kosztuje 6 — 12 cnt., wielki bochenek chleba 5 cnt., funt cukru 5 cnt., funt najdroższej kawy 35 cnt. funt najlepszej herbaty dollara, ubiór męzki 12 dollarów pomieszkanie dwa pokoiki z kuchenką 3 — 4 dollarów.

Dążeniem każdego jest nabycie własnego domku, kupuje więc sobie *lot* (grunt pod budowę) i stawia domek na wypłat. Loty idą więc ogromnie w górę. W miejscu, gdzie przed 10 laty na Broadwayu kosztowała stopa (przez stopę rozumie się tu jedną stopę frontu a 200 stóp w głąb) 15 — 20 dollarów kosztuje dziś 100 — 200. W bocznych ulicach jest taniej, tak że lot wraz z domkiem wyniesie 1200 — 1800 dollarów, nabywca więc na raty odnajmuje jedną część domu i w przeciągu kilku lub kilkunastu lat staje się właścicielem tegoż.

Mieszkania są porządne i schludne, — wyjątek stanowią pomieszkania naszych braci Galicyanów, — którzy w ogóle między Polonią tutejszą najgorszą mają reputacyę. Zwiedzałem kilka takich galicyjskich domów i muszę przyznać, że większego brudu, nędzy i nieporządku nie znaleźć i w kraju. Na moje zapytanie, dlaczego nam wstyd robią i nie mieszkają po ludzku, odpowiadali stereotypowo, że nie urządzają się tu wcale, — gdyż nie myślą pozostać w Ameryce, lecz skoro tylko trochę grosza złożą, powrócą do kraju.

Ze czterech, a właściwie z 5 tutejszych parafij (licząc do tego i nową tworzącą się przy nieskończonym jeszcze kościele św. Jana

http://rcin.org.pl

Kantego) największą jest parafia św. Stanisława, — gdzie proboszczem jest ks. Pitass, rodem ze Szlązka pruskiego, przebywający w Buffalo od lat blisko 20. Parafia ta licząca obecnie 27.000 dusz a przynosząca według zapewnienia ks. proboszcza 40.000 dolarów dochodu rocznego *brutto*, założona jest właśnie przez ks. Pitassa, który zbudował ładny kościół, pyszną szkołę, i dom dla sióstr Felicyanek i t. p. Najwięcej interesowałem się naturalnie szkołami, i z żalem muszę wyznać, że ich wewnętrzne wyglądanie, przypominające nawet nasze gmachy lwowskie dla szkół średnich, nie odpowiada bynajmniej wewnętrznej treści. Egzaminowałem chłopców, którzy szkołę ukończyli, — ci jednak nie tylko po angielsku, ale nawet po polsku i w ogóle nic nie umieją. Głównemi nauczycielkami są siostry Felicyanki, które jak widać, najmniejszej do tego kwalifikacyi nie mają, — o nauczyciela dobrego jest trudno, — gdyż któż z kandydatów lepszych, posiadających kwalifikacyą będzie starał się o posadę, na której jest po prostu służącym proboszcza z widokiem utraty służby każdej chwili. Reforma szkół parafialnych jest kwestyą ogromnej wagi i obecnie bardzo piekącą, zwłaszcza jeżeli się zważy, że do takiej szkółki uczęszcza przeszło 2.600 dzieci.

Towarzystw i korporacyi polskich jest tu mnóstwo. Dziwna, że pomiędzy Polakami w Ameryce objawia się tak silny duch separatystyczny. Dość, żeby jakieś większe towarzystwo istniało dłuższy czas, a już znajdzie się kilku malkontentów, którzy występują i zakładają osobne towarzystwo dla siebie, co naturalnie ogółowi przynosi ujmę.

Najważniejsze towarzystwa należą do „Związku narodowego towarzystw polskich“, o którym jednakże więcej się dowiemy, gdy będziemy w głównej jego siedzibie t. j. w Chicago. Oprócz tego jest tu „Unia katolicka“, na której czele stoją księża, licząca dotychczas około 500 członków, przeważnie z Buffalo. Nie trzeba jednakże myśleć, żeby „Związek“ obejmował masonów lub miał jakie tendencye antikatolickie, członkowie bowiem tegoż pokazują mi nieraz swe książeczki, z których wypływa, — że biedny taki zarobnik należący do Związku, płaci na kościół około 20 dolarów rocznie. Bardzo poważną instytucyą jest tutejsza „Czytelnia polska“ mająca swój lokal w Kościuszko - Hall“. Popyt za książkami jest wielki, z kilkuset tomów zostało w domu tylko kilkanaście, reszta rozpożyczona.

http://rcin.org.pl

Najliczniejsze są towarzystwa kościelne. Towarzystwo np. św. Wojciecha, św. Krzyża i t. p. liczą po kilkaset członków i mają po parę tysięcy dolarów majątku. Wypłacają one swym członkom po 4 dolary tygodniowo w razie choroby, a wdowa dostaje odprawy od każdego członka po 1 dolarze, co stanowi ładny kapitalik po kilkaset dolarów. Właśnie, gdy to piszę, przechodzi po pod me okna orszak pogrzebowy, mianowicie Towarzystwa św. Krzyża, oddający swemu członkowi ostatnią przysługę. Jako odznaki mają wszyscy szkarłatne szarfy ze złotym krzyżem, na czele kroczy polska kapela, gdyż i ta tu istnieje, a proboszcz od św. Wojciecha ks. Zaręczny krząta się około założenia drugiej.

Nawet panny polskie mają swe stowarzyszenia i odznaki, mianowicie ładne pelerynki, w których im bardzo do twarzy.

Ujemną stroną tutejszej polskiej kolonii są nadzwyczaj liczne polskie „salony“, czyli po naszemu karczmy, które się spotyka na każdym kroku. Skoro tylko Polak poczuje paręset dolarów w kieszeni, zakłada zaraz salon, bo mu się wydaje przyjemniejszą rzeczą siedzieć za szynkwasem i sprzedawać wódkę, aniżeli walić przez cały dzień młotem i byłoby bardzo pożądaną rzeczą, aby magistraty miejskie nie były tak liberalne w udzielaniu licencyi na salony.

Nie brak wreszcie i prawdziwej nędzy. Lekarz tutejszej polskiej kolonii dr. Schroeter, Warszawiak, znający stosunki dokładnie, mówił mi, że zwykle pomiędzy nowoprzybyłymi t. zw. greenhornami panuje nędza straszliwa. Przybywają tu bez centa, bez znajomości języka i stosunków, przybywają z żonami i dziećmi, a nie mogąc znaleźć roboty, giną literalnie z głodu. Nie należąc do żadnego towarzystwa, nie mogą otrzymać wsparcia, a instytucyi, któraby się zajęła świeżo przybyłymi wychodźcami, nie ma tu wcale.

Co się tyczy prasy tutejszej, to oprócz „Echa“, redagowanego bardzo dobrze i zacnie przez p. Dowojnę, jest jeszcze „Polak w Ameryce“, organ ks. Pitassa, wychodzący dwa razy na tydzień pod redakcyą p. Ślisza, „Wiek“ p. Łobarzewskiego i kilka po mniejszych, powstałych przed, a mających zniknąć po wyborach.

Wszystko byłoby bardzo ładnie, — gdyż jest rzeczą naturalną, że jeden dziennik broni tych zasad, drugi owych, — gdyby tylko pp. redaktorowie tak się nie wyzywali ostatniemi słowami.

http://rcin.org.pl

Oglądnąwszy „Polish City“ możemy się przyjrzeć i reszcie miasta. Grzeczny p. Makowski ofiaruje się za przewodnika i zaprzęga w tym celu swego wyścigowca do lekkiego buggy o dwóch siedzeniach. Przekonywam się, że taki rączy rumak jest tu bardzo potrzebnym, gdyż Buffalo jest, podobnie jak wszystkie młode miasta amerykańskie, nadzwyczajnie rozległe. Stosownie do naszych europejskich pojęć pomieścilibyśmy całkiem wygodnie na przestrzeni zajętej przez Buffalo, Wiedeń lub Berlin. Dość powiedzieć, że w Buffalo jest 125 mil asfaltowanych ulic. Po gładkim więc asfalcie pędzimy przedewszystkiem przez Filmore-Avenue do parku, który także sposobem amerykańskim jest bardzo wielki; końca jego nie widziałem mimo, żeśmy przyjechali kilka mil. Do parku wchodzi zatoka z jeziora Erie mająca odpływ do Niagary, — naturalnie więc, że wodę tę wyzyskano do ozdoby, jak się tylko dało, — więc mostki, pawilony nad wodą, gondole i t. p.

Po drodze zwiedzamy cmentarz bardzo pięknie utrzymany. Amerykańskie cmentarze mają dla Europejczyka szczególniejszy wygląd z powodu, że tu nie ma zwyczaju sypania mogił, — pomniki stoją więc na gładkiej murawie. Wszędzie liczne gazony z kwiatami, lub też po prostu lejki blaszane, w które ludzie, czcząc pamięć swych umarłych, wtykają codzień świeże bukiety, — więc cały cmentarz wygląda jak ogród kwiatowy. Ładnych pomników nie wiele, — natomiast niejeden bardzo ciekawy. Tuż przy wejściu wielki bronzowy Indyanin wskazuje miejsce spoczynku potężnego wodza Irokezów, który szedł zawsze ręka w rękę z białymi, — więc w nagrodę otrzymał po śmierci pomnik.

Tuż obok wpada w oczy szczególniejsze mauzoleum. Niezgrabna, ciężka kaplica z granitu, opatrzona dookoła wielkiemi taflami szklanemi, przez które widać marmurową grupę: zmarłego młodzieńca, spoczywającego na posłaniu, nad nim w powietrzu anioła, a po obu stronach stroskanego ojca i matkę. Pomysł niezły, rzeźba dość dobra, ale wykonanie amerykańskie. Tożsamo uderza obcego, że bardzo rzadko znajdziemy napis objaśniający nam nazwisko zmarłego, zwykle widzimy tylko „Father“, „Mother“ i t. p.

Z cmentarza zbaczamy tuż obok całej grupy wielkich gmachów, zawierających zakład dla umysłowo chorych, na pyszną Delaware-Avenue. Tu mieszkają milionerzy, — więc zgrabne, eleganckie wille, — przed niemi śliczne trawniki, ulice asfaltowane, czyste i świecące jak posadzka. Tu panuje cisza i spokój, natomiast

http://rcin.org.pl

pobliska Main-Street okazuje ruch wielko-miejski, gdyż tu znajdują się główne handle, domy bankowe, kantory i t. p.

Przez Lafayette Square, na którym wznosi się wcale piękny pomnik „Soldiers and Sailors Monument“ w kształcie wysokiej kolumny z posągiem sławy na wierzchu, dostajemy się w pobliże nowego gmachu kasy oszczędności o niemożliwym stylu: — pomyślcie sobie bowiem kilka obok siebie stojących granitowych baszt połączonych wielkiemi oknami; — dalej pod ratusz czyli City-Hall, niezgrabny *renesans* o dwu skrzydłach z niską wieżą we środku. Ażeby poznać szopki amerykańskie wstępujemy do Robinsons Muzeum. Tu płacąc 10 cnt., możemy widzieć zaraz przedstawienie teatralne — przedstawienia idą bowiem jedno po drugiem mimo, że dopiero 4 godzina po południu, — muzykę murzyńską, węże w klatce, prezydenta Harrisona wraz z jego gabinetem z wosku, dalej sławnego rozbójnika kolejowego, okolice włoskie, chłopczyka albinosa, spiewających Indyan i t. p., w ogóle wszystko, czego tylko tkliwa amerykańska dusza zapragnąć może.

Zasłużyliśmy sobie na posiłek, więc w sąsiednim pysznym hotelu „Iroquois“ pijemy po dwa *cocq-taile*, i spieszymy na „Foir“. Foir jestto rodzaj kiermaszu połączonego z wystawą bydła, produktów rolniczych i wyrobów przemysłowych. Gmach wystawowy olbrzymi, drewniany, przypomina swą architekturą nasze ruskie cerkwie. Pełno amerykańskich szopek, — tu oddział o zasłoniętych oknach w którym lśnią różnokolorowe ognie elektryczne Edisona, dalej wystawa kwiatów, jeszcze lepsza niż nasza lwowska, dalej podyum, na którem się produkuje w spiewie murzynka zwana „czarną Patti“ (pożal się Boże!), — jeszcze dalej zabawki dziecinne obok worków z mąką, — maszyny szyjące w 5 minutach koszulę podług miary itp.

W oddziale fortepianów spotkała mię miła niespodzianka, oto poznałem sędziwego rodaka p. Antoniego Kontskiego, — który tu codzień koncertuje przez jedną godzinę. Któż z nas nie zna „Przebudzenia się lwa“? Wszakże dźwięki tego utworu łączą się ze wspomnieniami mej najwcześniejszej młodości. Ucieszyłem się bardzo, żem poznał kompozytora, — a i staruszek był mi bardzo rad. A jak on ślicznie gra! Trzeba widzieć ten ogień, ten zapał młodzieńczy, z jakim siada do fortepianu. Na moją cześć zagrał kilka naszych melodyj, — więc skoczne dźwięki mazura i tęskne nuty dumki zmieszały się z warczeniem maszyn i gwarem ciżby,

http://rcin.org.pl

zwiedzającej wystawę. Dookoła obstąpili nas ciekawi i spoglądają z otwartemi ustami, — bo tablica zapowiada, że gra słynny fortepianista, ale poczucie piękna jest im obce. Dobrze Pismo powiada: Nie rzucajcie pereł przed... Amerykanów...

Wystawa gospodarska ma być bardzo ładna. Ale co ja się na tem rozumiem. Widziałem tylko tyle, że były buhaje jak lokomotywy i koguty jak indyki. Południowcy wystawili bawełnę, — począwszy od krzaczka bawełnianego aż do wszelkich możliwych przeróbek, i to z murzynami, plantacyami i wszystkiemi możliwemi szopkami.

Na placu wystawy jest także tor wyścigowy. Więc rozmaite biegi, więc i totalizator. Nie dałem jednakże ani centa, — gdyż chowam to na wyścigi lwowskie.

* * *

Lecz dość miasta! Teraz geologia: — skały i jary! oto moje hasło! Chwytam więc za młotek i za torbę na kamienie i dalej za miasto. Naturalnie, że Polonia towarzyszy mi wszędzie, — dźwigając za mną mapy, młotki, kamienie, tak że Yankesi ledwo oczu nie wypatrzą, zastanawiając się nad tem, co to za dziwna a wesoła wyprawa. Nie tak bezpiecznie wyjeżdżać teraz z Buffalo, jakby się na pozór wydawało. Strejk trwa dalej, a strajkerzy przestawiwszy wczoraj potajemnie jedną zwrotnicę, spowodowali wykolejenie pociągu, przyczem zginęło kilka osób. Przedewszystkiem ubezpieczam się od wypadku w sposób bardzo prosty. Na każdym dworcu amerykańskim znajduje się skrzynka automatyczna, gdy się więc rzuci 5 ct. do otworu to wychodzi polica na 500 dolarów na 24 godzin. Potrzeba tylko napisać swe nazwisko i godzinę otrzymania policy. Rzucam więc piątakami dolara ubezpieczając się w taki sposób na 10 000 dolarów. Naturalnie, że pierwsza wycieczka poświęcona Niagarze, odległej ztąd o godzinę jazdy. Opuszczamy więc miasto i pędzimy nad jeziorem Erie. Co za szkoda, że Amerykanie nie wiele sobie robią z piękności przyrody. Jakie to śliczne byłyby skwery i ulice nad jeziorem! Tu jednakże nie ma nic, tylko kolej, brud śmiecie, magazyny i elewatory. Jedziemy nad Zieloną Niagarę, — później przez wielkie sady w Tonawenda i La Salle. Nareszcie i „grzmiąca woda“ czyli po indyjsku Niagara, taka sama śliczna, potężna jak ją widziałem i opisałem zeszłego roku.

http://rcin.org.pl

Popod spód niemam już gustu iść, — ale za to inna ekscentryczność opanowuje nas. Oto po stronie kanadyjskiej schodzimy starą, zgniłą, obecnie zamkniętą klatką schodową, na dół w pobliże spadu wielkiego, (*horse shoe fall*) ztąd bowiem prowadzi świeżo wykonany tunel pod sam spód, — gdyż chcą tu umieścić koło, ażeby siłę spodu przenieść drogą elektryczną aż do Buffalo. Idziemy więc po omacku ciemnym wilgotnym tunelem nie wiedząc, czy lada chwila nie zlecimy gdzieś w przepaść, nareszcie robi się jasno, — a przed nami jak srebrna zasłona potężny spad ogłuszający nas. Widok boski, ale rozstrajający nerwy.

Wróciwszy na górę, jedziemy powozem do Whirlpoolu. Po stromej pochyłości spuszczamy się karkołomnym elewatorem nad samą rzekę, gdzie prowadzi chodnik tuż koło straszliwych szypotów. Widok nadzwyczajny! Jesteśmy w głębokim kenionie, którego ściany pokryte tu i owdzie krzaczkami jeżyn, wznoszą się pionowo, — a tuż obok wściska się Whirlpool, wyrzucając spienione fale na kilka i kilkanaście metrów w górę; zdaje się że lada chwila który z tych szalonych bałwanów zmiecie i nas. Ogarnia nas pusty polski humor, — korzystając więc z tego, że niema nikogo obcego w pobliżu, rozbieramy pawilon zbudowany dla widoku nad szypotami, więc drzwi, okna i ławki lecą z hukiem w rozkiełznaną wodę, — gdzie się kruszą na kawałki. Zadowoleni z tego dzieła zniszczenia wracamy do Suspension-bridge, gdzie — człowiek godzinami stoi, nie mogąc oderwać oczu od tego nadzwyczajnego zjawiska przyrody.

Dziewicy z mgły, *the maid of mist*, nie widziałem wcale, — zanadto wielkie i wesołe towarzystwo na sentymenta, — zresztą ja każdą dziewicę czy to z mgły czy z czego innego najlepiej lubię we cztery oczy, więc lukulusową ucztą w *International hotelu* zakończyliśmy naszą geologiczną wycieczkę do ślicznej i potężnej Niagary.

---

http://rcin.org.pl

V.

DETROIT (MICHIGAN)

29 sierpnia 1892.

Stan oblężenia na kolejach buffalowskich skończył się klęską strejkerów, z których większa część utraciła swe posady, — waleczni członkowie milicyi powrócili do swych spokojnych obywatelskich zajęć, więc bez obawy mogłem opuścić miasto koleją „Michigan central“ udając się dalej na zachód.

W przeciągu godziny byłem już na Suspension-Bridge nad Niagarą, więc po raz ostatni spojrzałem na gwałtowny Whirlpool po prawej, na szumiące spady po lewej stronie.

Jednakowoż nie po raz ostatni. Tor kolejowy „Michigan central“ biegnie lewym brzegiem rzeki tuż po nad wodospadami, — więc każdy pociąg zatrzymuje się w polu przez 10 minut, aby dać sposobność podróżnym podziwiać to piękne zjawisko przyrody. Amerykanie są dumni ze swego Niagara-falls, chcą więc dać możność podziwiania „grzmiącej wody“ nawet tym podróżnym, którzy nie mogą tu zatrzymać się dłużej.

Okolica Kanady, przez którą teraz pędzimy, jest dość przyjemna. Wielkie lasy, schludne miasteczka, — zielone łąki, uprawne pola, przesuwają się w szybkiej zmianie przed okiem podróżnego. Wieczorem przyjeżdżamy nad wielką cieśninę, a raczej rzekę, Detroit-River, która łączy jezioro Hurońskie z Erie. Wielkim parowym promem, na który wchodzi cały pociąg podzielony na trzy części, przeprawiamy się na drugą stronę do miasta Detroit. Tysiączne światła odbijają się w wodzie, — a nad miastem świecą jak gdyby wielkie, jasne meteory. Detroit ma bowiem szczególniejsze oświetlenie, — które zresztą tylko w Denwer widziałem, mia-

http://rcin.org.pl

nowicie wielkie, około 140 stóp wysokie żelazne wieże, a raczej rusztowania mające na szczycie po cztery elektryczne słońca. Widok jest prześliczny, — bo oczywiście, że w nocy nie można dojrzeć wieży, więc zdaje mi się, iż nad miastem zawisły liczne a wielkie ciała niebieskie.

Już na pierwszym kroku czuję się jak gdyby w domu. Na dworcu oczekuje mnie bowiem całe grono Polaków z dr. Iłowieckim, lekarzem z Poznańskiego, na czele. Rodacy na każdym kroku uprzyjemniają mi pobyt i pomagają w mych studyach; ich uprzejmości a szczególnie gościnności kochanego dr. Iłowieckiego, który się formalnie dla mnie poświęca, mam wiele do zawdzięczenia.

Detroit jest ślicznem miastem, — jednem z najpiękniejszych, które widziałem w Stanach Zjednoczonych, — a widziałem ich sporo. Ulice szerokie, asfaltowane lub brukowane drewnianemi kostkami, czyste i porządne, — domy eleganckie w guście europejskim, a przytem nie widać amerykańskiego zgiełku i wrzawy, mimo, że miasto liczy około 220.000 mieszkańców.

Główny środek miasta jest w pobliżu rzeki, w miejscu, gdzie się zaczyna Woodward Avenue, najpiękniejsza ulica miasta. Z tego to miejsca rozchodzą się we wszystkich kierunkach Streety i Avenues, tak że rozkład ulic podobny jest do gwiazdy uciętej z jednej strony w pobliżu środka przez rzekę.

Zaczynamy więc nasz spacer od Woodward-Avenue w miejscu przecięcia jej przez inne ulice. Tu wznosi się wcale piękny City-Hall (*renaissance*), w pobliżu posąg wojenny, a dookoła pałace, zajęte przeważnie przez handle i w ogóle bussinessy. Równolegle z rzeką biegnie Jefferson Avenue, na której w cieniu alei przechadzamy się w gorący dzień, zachwycając się gustownemi willami po obu stronach. Nad samą wodą nie ma niestety zwyczajem amerykańskim nic widzenia godnego, — są tu bowiem koleje, magazyny, cuchnące składy ryb i brudna uliczka Atwater street.

Lecz oto przewodnicy moi zbaczają na północ, na niepokaźną, ale kilka mil długą St. Aubin Avenue. Co się tyczy nazwy samej, to trzeba wiedzieć, że Detroit założone niegdyś przez Francuzów, ma mnóstwo ulic z francuskiemi nazwami, — ale to jest wszystko, co pozostało po wychodźcach z nad Sekwany, — oni sami zniknęli prawie bez śladu w tem potężnem, ruchliwem anglosaskiem morzu.

http://rcin.org.pl

St. Aubin Avenue, po której obecnie kroczymy, staje się coraz to spokojniejsze, — małe niepokaźne domki wznoszą się po obu stronach. Pocóż więc przewodnicy moi wiodą mnie tutaj porzuciwszy przepych Woodward-Avenue?

Jeden rzut oka na napisy na sklepach i domach poucza mnie o celu przechadzki w tę odległą część miasta. Tutaj mieszkają prawie sami Polacy; z 35.000 polskich mieszkańców Detroit znaczniejsza część osiedliła się tutaj, — podczas gdy mniejsza część obrała sobie zachodni obszar miasta na mieszkanie. Wstępujemy do pięknego kościoła św. Wojciecha, gdzie nas przyjmuje szanowny proboszcz ks. Chodniewicz, oprowadzając po domu bożym i zapraszając potem na plebanią.

W sąsiedztwie wznosi się potężny czteropiętrowy gmach polskiego seminaryum. Zacny ks. rektor Dąbrowski, który z największem poświęceniem i wytrwałością doprowadził tę ważną instytucyę do skutku, zbierając centami fundusz na to potrzebny, oprowadza nas po całym gmachu i opowiada dzieje i walki zakładu. Zakład ten zawiera nietylko seminaryum rzymsko-katolickie, ale także szkołę przygotowawczą o pięcioletnim kursie, coś w rodzaju naszego gimnazyum.

Instytucya ta nie ma żadnych funduszów, i utrzymuje się tylko zbieranym groszem, — bo jedynie Związek narodowy stowarzyszeń polskich postanowił ją popierać, i uchwalił podatek dobrowolny na ten cel w sumie 1 dolara od każdego członka rocznie. — Dotychczas wpłynęło z tego przeszło 700 dolarów. Ten brak funduszów stoi na przeszkodzie rozwojowi seminaryum; profesorów jest mało, i są przeciążeni pracą, bo każdy musi zastępować kilka katedr.

Tuż obok znajduje się także klasztor Sióstr Felicyanek. Sędziwa matka Monika przyjmuje serdecznie gościa z dalekich stron winem z własnej piwnicy i pięknymi owocami z własnego ogrodu, — poczem następuje zwiedzanie zakładu. W oddziale sierót uczą się właśnie dziewczątka robót kobiecych i śpiewają polskie pieśni.

Siostry Felicyanki zaopatrują wszystkie szkółki parafialne polskie w Ameryce w nauczycielki, — obecnie wyjechało około 300 Sióstr na swoje posady. Każda pobiera z parafii, w której uczy, 18 dolarów miesięcznie, i ta skromna pensya nietylko że wystarcza im na życie, lecz nawet daje sposobność do oszczędności, której

http://rcin.org.pl

się używa na utrzymanie klasztoru. Matka Monika stara się o to, ażeby Siostry miały odpowiednią kwalifikacyę, na dowód tego przedłożyła mi cztery znakomite świadectwa Sióstr, które w tutejszym wyższym miejskim zakładzie naukowym zdały z bardzo dobrym postępem egzamina.

Idziemy teraz do drugiej parafii św. Józafata odległej ztąd o milę.

Po drodze zwracam uwagę na rozpoczętą budowę wielkiego kościoła w gotyckim stylu, obok którego stoi gotowa już szkoła polska służąca na razie za kapliczkę i mieszkanie proboszcza. Od swych przewodników dowiaduję się ciekawych rzeczy, w które Europejczykowi trudno uwierzyć. Wszak to, co widzę jest „wolnym polskim kościołem w Ameryce“, — schizma w najdziwniejszej swej postaci. Ks. Kolasiński nie mogąc otrzymać tu parafii, postanowił sobie założyć własną, — wypowiedział więc posłuszeństwo biskupowi i Rzymowi, zgromadził sobie parafian, zbiera pieniądze, buduje kościół i mimo ekskomuniki sprawuje wszelkie funkcye kapłańskie. Ustawy państwowe pozwalają mu na to, a poczciwy ludek, nie mający pojęcia jakiej to doniosłości jest ten krok ks. K., kupi się koło niego gromadnie, — sądząc, że to tylko zwykły i usprawiedliwiony zatarg kapłana, broniącego polskiego ludu przeciwko biskupowi „ajryszowi“ (*irish*).

Parafia św. Jozafata, którą zarządza ks. Raczywolski, równocześnie nauczyciel tutejszego seminaryum, liczy około 800 rodzin. Kościółek nie wielki, ale ładny i dobrze zbudowany.

Zwiedziłem także kolonię polską po zachodniej stronie miasta, i znalazłem tu jeden z najpiękniejszych kościołów polskich w Ameryce, mianowicie kościół św. Kazimierza. Patrząc się na tę pyszną budowę o dwóch wysokich kopułach, — o kosztownych oknach z malowidłami, a tak obszerną, że samych miejsc do siedzenia jest przeszło $1^1/_2$ tysiąca, prawie wierzyć się nie chce, że to wszystko zbudowane za centy i dolary najbiedniejszych ludzi, bo wyrobników pracujących w pocie czoła za skromną zapłatę. Ks. Gutowski proboszcz tejże parafii objaśnił mi wiele ciekawych szczegółów co do swych parafian i w ogóle naszych wychodźców. Znaczną część pomiędzy nimi stanowią kaszubi, którzy atoli są przeważnie zgermanizowani, tak że sami uważają się za Niemców, i żyją pomiędzy Polakami tylko dla tego, aby należeć do rzymsko-katolickiej parafii.

http://rcin.org.pl

Stosunki zarobku i dobrobytu pomiędzy naszymi wychodźcami są takie same jak w Buffalo. Można tu jednak napotkać i prawdziwą zamożność, — poznałem ludzi z gminu, którzy się tu dorobili majątku do 50.000 dolarów. Są tu także dwa polskie browary.

Prawdziwą perłą Detroit i ulubionem miejscem wycieczki jest Belle Island, wyspa położona na wschodzie już niedaleko od miejsca, gdzie rzeka rozszerzając się, tworzy jezioro St.-Claire. Przebywszy całą zieloną Jefferson Avenue, przekraczamy na wielkim żelaznym moście południowe ramię rzeki i wchodzimy na wyspę. Otacza nas śliczny stary las, złożony z orzechów i dębów, wśród którego rozkoszne murawy zapraszają do spoczynku, a cieniste aleje do przechadzki. Gdzie tylko polanka dopuszcza promienie słoneczne, lśnią różnobarwne kobierce kwiatowe, lub wznoszą się pawilony dla spoczynku i rozrywki. W zwierzyńcu, oddzielonym siatką drucianą, biegają jelenie i daniele, w klatkach, poustawianych tu i owdzie, wiodą egzotyczne zwierzęta swój kontemplacyjny żywot, — setki dzieciaków, szukających ochrony przed grasującą tu „chorobą letnią“, która dziesiątkuje młodą generacyę, hałasują po trawie.

Ten las uroczy i ta wyspa, ciągną się przez kilka kilometrów, a dalej za rzeką rozprzestrzenia się kraj, podobny do parku, — gdyż jeziorka, stare drzewa, zielone murawy składają się na harmonijny obraz. Jesteśmy w obszarze wielkich jezior, zbudowanym z prastarych osadów paleozoicznych, na których leżą wielkie masy nasypów lodnikowych.

Tu i owdzie leży potężny głaz błędny, lub wznosi się w kształcie grobli wielka morena przypominająca olbrzymie lodniki, które pokrywały niegdyś północną Amerykę.

Gdzieniedzie wśród tego parku przyrodniczego widać schludny domek, koło tego zabudowania gospodarskie, ogród i kawałek uprawnego pola. To farma, — a są i polskie farmy, i trzeba widzieć, jak nasze Maćki tu gospodarują. Spoglądając na ten dobrobyt, na schludne jasne pokoiki, na ścianach których obok obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej wiszą wizerunki Kościuszki i Pułaskiego; — spoglądając na ten obiad złożony z mięsiwa, masła, chleba, jaj, owoców, do którego nas uprzejmy gospodarz zaprasza, wierzyć się nie chce, że to ten sam chłopak, który w kraju,

http://rcin.org.pl

wśród nawozu i bydła, nad jeziorem z gnojówki przymiera z głodu, lub zapycha się kartoflami.

A trzeba słyszeć, jaki z niego polityk! Jak on piorunuje na republikanów, jeżeli jest demokratą i na odwrót, — jakie on ma pojęcie o ważności swego głosu, który chce oddać swemu kandydatowi.

Często jest tu tyle farm polskich obok siebie, że tworzą polską wieś i osobną polską parafię. Taką jest n. p. parafia w Hilliads, w której proboszczu ks. Wałajtisie, Litwinie, poznałem młodego, zacnego i wykształconego człowieka, przynoszącego zaszczyt polskiemu seminaryum w Detroit, którego jest wychowankiem.

Lecz przy najlepszych chęciach nie mogę dalej pisać, mimo że mam cały zapas etnograficznych i przyrodniczych dat, któreby Cię mogły interesować szanowny czytelniku.

Jakżeż tu pisać, gdy wszystko tylko mówi o cholerze. Więc i ja pochłaniam podmorskie depesze, oczekując z drżeniem wiadomości z kraju.

Na razie wszystkie mosty za mną spalone. W Hamburgu cholera, moje ulubione statki linii hamburgsko-amerykańskiej nawet nie płyną obecnie do Hamburga, w Nowym Jorku oczekują cholery lada dzień, już kilka wypadków było. Którędyż ja nieszczęsny powrócę? Na Chiny i Suez nie ma co jechać, bo i tam cholera, więc pozostaje jedna droga na biegun północny, — lecz po drodze do Lwowa byłyby Niemcy lub Rossya.

Ale do powrotu jeszcze daleko, — na razie więc uciekam w głąb Ameryki na Zachód.

---

http://rcin.org.pl

VI.

CHICAGO

5 września 1892.

Jestem nareszcie we środku Ameryki, — w jednem z najpotężniejszych miast całej kuli ziemskiej. O moje stopy uderzają fale zielonego Michiganu, a moje zmysły nie mogą się przyzwyczaić do tego gwaru, ruchu, dymu, kurzawy, które mię zewsząd otaczają. Nie potrzeba być wielkim ekonomistą, — aby przewidzieć, że Chicago będzie wkrótce największem miastem i stolicą całego Nowego Świata. Jego wzrost jest fenomenalny, — zeszłego roku podczas mej bytności otrzymałem urzędowy wykaz z r. 1890, podług którego ludność Chicaga wynosiła 1,100 000 mieszkańców, z końcem roku zeszłego postąpiła ona na 1,200.000, — a obecnie mówią najpoważniejsi i najbardziej kompetentni ludzie o $1^1/_2$ milionie.

Europejczyk gubi się literalnie w tym olbrzymie, bo chociaż widział u siebie jeszcze większe miasta, co się tyczy ludności, to nie widział jednakże tych bajecznych rozmiarów amerykańskiej stolicy prerjów i wielkich jezior. Długość Chicago z północy na południe wynosi $24^1/_2$ mil (mila angielska = 1856 *m*), zważ dobrze łaskawy czytelniku, że to jest przestrzeń ze Lwowa poza Mikołajów, — szerokość z zachodu na wschód $14^1/_2$ mili, — do tego wyobraź sobie tysiące fabryk, napełniających całe miasto dymem i pyłem węglowym, — tysiące kolei i tramwajów elektrycznych, sznurowych i konnych, kamienice o 20 piętrach, — krocie ludzi pędzących w swych interesach, — zgiełk, krzyk, wrzawę, — a z tego chaosu wyłoni Ci się jakie takie pojęcie o Chicago.

Gdzież tu zacząć opis tego olbrzyma? Gdybym chciał jak anatom rozbierać część za częścią i układać z tego całość lub

http://rcin.org.pl

też na podstawie dat statystycznych wyliczać ulice i gmachy, — to posnęlibyśmy oboje, ja pisząc, a ty czytając łaskawy czytelniku. Pozwól mi więc, abym swym zwyczajem wprowadził nieco życia do tego opisu, — będziesz mi towarzyszył na każdym kroku, przeżyjesz ze mną dzień po dniu, podzielisz się wrażeniami i z tych drobnych szczegółów otrzymasz lepszy obraz całości, aniżeli z uczonego opisu.

Lecz o słaba ludzka przyrodo! Jakżeż tu pisać, — gdy mi ręka drży, — gdy serce niespokojnie kołace! Wszakżeż przed kilku dniami t. j. 2 b. m. przeczytałem w tutejszych dziennikach podmorskie depesze o hiobowej treści: „We Lwowie stolicy Galicyi, straszna cholera, mnóstwo umiera, jeszcze więcej choruje“.

A więc we Lwowie panuje ta nieszczęsna plaga ludzkości, we Lwowie, gdzie zostawiłem tyle drogich memu sercu osób, których los niepokoi mnie każdej chwili. Niech nikt nie sądzi, że potęgą swego ducha jest w stanie wznieść się ponad padół codziennego życia, — człowiek przedewszystkiem jest człowiekiem i powinien nim być. Powinien jak słusznie powiada Prometeusz Göthego cierpieć i płakać, cieszyć się i używać, gdyż inaczej nie będzie człowiekiem, tylko potworem.

Więc nie bierz mi za złe łaskawa czytelniczko, że z powodu niepokoju jaki mnie ogarnia nie znajdziesz w obecnem mem liście tego, co uważasz za niepoślednią zaletę mego pióra, mianowicie humoru, — gdyż sytuacya zanadto poważna.

* * *

Poranne słońce oświeca rozległe stepy, na które spoglądam z okien wozu kolejowego. Stepy?... może niestosowny wyraz. To co widzę było stepem przed kilku dziesiątkami lat, ale nim nie jest więcej, — bo z pojęciem stepu łączy się samotna bezludna przyroda, zdala od gwaru światowego. A tu dookoła dymią się niezliczone fabryki, które łączą się tu i owdzie w miasteczka, — pędzą z turkotem pociągi po licznych drogach żelaznych, zmierzających wszystkie ku jednemu miejscu, — ku temu światowładnemu zakątkowi na południowo-zachodniem wybrzeżu Michiganu.

Co chwila zdaje się nam, że już dojeżdżamy do Chicago, — bo od czasu do czasu otacza nas cały las kominów, — całe morze dymu i kurzawy, — lecz za chwilę ukaże się znów prerya okuta w żelazne tory kolejowe. Ileż tu tych torów jest! — to jakiś nie-

http://rcin.org.pl

rozwikłany węzeł gordyjski, niemogę pojąć jakim cudem pociąg swą drogę znajdzie. Lecz cóż to za przepych?

Z mgły i dymu wynurza się jak gdyby jakieś miasto zaczarowane, lśniące w promiemieniach porannego słońca. Wszakżeż znam Chicago, i wiem dokładnie, że to miasto nie imponuje bynajmniej z żadnej strony wjazdowej przepychem architektury lub pięknością budynków. Lecz w jednej chwili znajduję klucz do rozwiązania zagadki. Przecież kolej „Michigan central“ prowadzi po pod sam Jacksonpark, a więc pod plac wystawy. To co podziwiam jest ta nadzwyczajna „The Columbian World Exposition“ a raczej jak tu nazywają „Fair“, światowa wystawa, która za kilka miesięcy doczeka się otwarcia, jeżeli tylko cholera nie przeszkodzi. Cóż to za okazałość, cóż to za przepych, jak to wszystko lśni w promieniach słońca; zdaje się że bogata Ameryka wysypała tu wszystkie swoje kruszce szlachetne, swoje drogie kamienie i to w architektonicznie szlachetny sposób, aby tylko olśnić przybysza z za oceanu. Tu i owdzie gmachy jeszcze nie skończone, więc tysiące ludzi uwijają się jak mrówki a raczej komary wysoko w powietrzu, setki pociągów pędzą po improwizowanych torach, setki maszyn pomagają robotnikom w pracy.

Liczne nawoływania dochodzące mych uszu dowodzą mi, że bardzo znaczna część robotników jest polskiej narodowości. I rzeczywiście, Chicago jest drugiem polskiem miastem na kuli ziemskiej, bo liczy z pewnością około a może i przeszło 100.000 polskich mieszkańców. Jestto stolica amerykańskiej Polonii, główna siedziba inteligencyi pomiędzy naszymi wychodźcami. Już w pierwszej chwili mego przybycia do miasta mógłem się o tem naocznie przekonać, — bo kiedy pociąg przepędziwszy od placu wystawy kilka mil nad jeziorem, zatrzymał się wreszcie na dworcu kolei Michigan Central, znalazłem się od razu w licznem gronie najwybitniojszych tutejszych osobistości polskiej kolonii, — które mi zgotowały serdeczne i prawdziwie rozczulające przyjęcie.

Więc przedewszystkiem redaktorowie i współpracownicy wszystkich tutejszych pism polskich (z wyjątkiem 2 socyalistycznych) pod wodzą p. W. Smulskiego, wydawcy i właściciela *Gazety Katolickiej* i nestora tutejszego dziennikarstwa, — cały rząd Związku narodowego *in corpore*, pod wodzą prezesa, p. Sotałeckiego, członkowie Zjednoczenia rzymsko-katolickiego (rząd tegoż ma swoją siedzibę gdzieindziej), i mnóstwo najwybitniejszych osobistości.

http://rcin.org.pl

Okazały orszak, składający się z 10 powozów, zwracał na siebie uwagę przechodniów, — sądzono, że to zapewne demonstracya, na rzecz której tutejszej partyi politycznej, — gdyż walka wyborcza w całej pełni. Pojechaliśmy od razu do najgłówniejszej kolonii polskiej w zachodnio-północnej części miasta, tak zwanego: Stanisławowa (od kościoła św. Stanisława), w okolicy Milwaukee Avenue i Noble Street, — gdzie zacny p. Smulski ofiarował mi w swej willi gościnę. Cały dom zapełnił się w okamgnieniu przedstawicielami tutejszej inteligencyi polskiej, która pospieszyła tłumnie, aby uściskać dłoń gościa z za Oceanu, i dowiedzieć się od niego o nowinach z kraju. Zaszczycił mnie swą wizytą ks. Wincenty Barzyński, Zmartwychwstaniec i proboszcz od św. Stanisława największej parafii polskiej na całej kuli ziemskiej, jak sądzę, gdyż liczącej około 40.000 parafian.

Wesoło więc i gwarno upłynął nam dzień, bo dopiero około 4 godziny po południu wstaliśmy od puharów, ażeby się przejechać po sąsiednich częściach miasta.

Część polska — jest, jak wszędzie w Ameryce — drewniana i uboga, lecz nie dziw, bo nasi rodacy są tu zakrótko jeszcze, aby już mogli byli dorobić się marmurowych pałaców, — kiedyś przyjdzie niewątpliwie i do tego, — na razie trzeba podziwiać tych ludzi, którzy pracując przeważnie jako wyrobnicy, potrafią tyle złożyć, że wznoszą wspaniałe kościoły i szkoły, a sobie budują drewniane domki. Wszędzie, gdzie spojrzysz, polskie napisy, — polskie apteki i sklepy, mnóstwo polskiej dziatwy uwija się po ulicach.

Jedziemy do sąsiedniego parku Humboldta, rozległego i ślicznego, jak wszystkie parki chicagoskie. Tutaj ma stanąć pomnik Kościuszki, na który obecnie zbierają składki. — Magistrat przyobiecał, że wtenczas zmieni nazwę parku na „park Kościuszki“ — więc Niemcy postanowili czemprędzej wznieść tu pomnik Humboldta, aby uprzedzić Polaków, — i ciekawa jest rzecz kto się prędzej z zebraniem potrzebnych funduszów uwinie. Konkurs na pomnik Kościuszki będzie niezadługo ogłoszony w kraju.

Następnego dnia t. j. w piątek, pierwszą swą wizytę złożyłem majorowi (prezydentowi) miasta Chicago, p Washburnowi, w czem pośredniczył mi pan Piotr Kiołbasa, skarbnik miejski, bardzo wybitna i poważana osobistość w tutejszej Polonii, a mianowicie w partyi konserwatywnej. Jak sam opowiada, przybył do Ameryki

http://rcin.org.pl

jako biedny chłopak 16-letni z Górnego Szląska, umiejąc zaledwie czytać i pisać. Zaczął jako robotnik polowy w Texas, później wstąpił do armii i dosłużył się stopnia kapitana, a przed półtora rokiem został wybrany skarbnikiem miasta Chicago. Nie sądź łaskawy czytelniku, że to, co ci obecnie opowiem, jest amerykańskim humbugiem, owszem dosłowną prawdę.

Trzeba wiedzieć, że wybory majora, skarbnika i sekretarza miasta odbywają się co dwa lata, — reszta urzędów magistrackich jest zawisła od tych dygnitarzy, i może także ciągle się zmieniać. Otóż przy ostatnich wyborach p. Piotr Kiełbasa otrzymał o 8 tysięcy głosów więcej aniżeli angielscy i niemieccy kontrkandydaci, — ale cóż po wyborze, kiedy skarbnik musi mieć kaucyi 15,000.000 mówię piętnaście milionów dollarów. Nie humbug to łaskawy czytelniku, ale najprawdziwsza prawda, — te 15 milionów zebrał p. Kiołbasa w kilku dniach, sami Polacy dali dwa miliony, a trzeba wiedzieć, że niżej 25.000 dollarów nieprzyjmowano wcale, jakkolwiek mnóstwo chłopków naszych ofiarowało się z sumą po kilka tysięcy każdy.

Urząd ten, jakkolwiek nie jest połączony ze stałą płacą, przynosi 30 tysięcy dollarów rocznie, to znaczy za dwa lata na naszą walutę 150.000 zł., wprawdzie jest w zwyczaju, że bezpośrednio po pierwszem dwuleciu nie wybiera się nikogo na ten sam urząd, ale ja sądzę, że takie dwa lata wystarczą, ażeby sobie zasłużyć na spokojną emeryturę.

W p. Kiołbasie poznałem tęgiego człowieka i dobrego Polaka. Jego uprzejmej grzeczności zawdzięczam gruntowne poznanie miasta, urządzeń miejskich, wystawy światowej i t. p. Wprowadził mnie do majora p. Washburna, który jest młodym i bardzo uprzejmym człowiekiem. Oprowadzał mnie potem po biurach magistrackich i objaśniał urządzenia. City Hall czyli ratusz chicagoski jest najpoważniejszym a może pod względem architektury najładniejszym budynkiem miasta. Piękny, choć może nieco za ciężki włoski renaissance z marmuru i granitu jest ciemny we środku, tak, że wszędzie za dnia świecą się lampy elektryczne.Na górze na 4 piętrze jest sąd opiekuńczy i biblioteka; pod tem wszystkie inne biura.

Europejczyk, przywykły do świętości naszych biur, do klasycznej powagi i nieprzystępności naszych urzędników miejskich, gorszy się tą nonszalancyą, która tu panuje. Wchodzi się wszędzie

http://rcin.org.pl

bez zapukania, z kapeluszem na głowie, buszuje się po księgach i papierach, klepie po ramieniu urzędników, i jestem pewny, że najpoważniejszy nasz funkcyonaryusz nie byłby w stanie tutaj imponować. Lecz cóż robić, u tych dzikich Amerykanów nie ma nic świętego, — a złoty kołnierz albo nawet i 6-ta klasa dyjet i rangi nie imponuje im wcale, gdyż nawet z 5-tej nie wiele sobie robią, bo tu co drugi człowiek jest generałem, a złote splatane szlify nosi każdy muzykant. Nie masz to jak u nas! Kiedy człowiek na Boże Ciało wyjdzie w gali, to przynajmniej świat wie czem jestem, paupry z całego miasta biegną za mną, a wszystko z podziwem patrzy i szepce: taki młody człowiek w tak wysokiej randze! co też to za straszliwy „Zahlungsbogen“ musi być przywiązany do tych trzech gwiazdek na złotym kołnierzu! Tu tymczasem człowiek znika zupełnie, jedynie tylko dzienniki angielskie piszą mi sążniste panegiriki pod tytułem „A celebrated polish traveler“, ale to nie sztuka, gdyż ja reporterom wszystko to sam podyktowałem.

Oglądnąwszy jeszcze w podziemiach ratusza sygnały ogniowe, wskazujące natychmiast miejsce pożaru, udaliśmy się przedewszystkiem z mym szanownym przewodnikiem p. Kiołbasą do sąsiedniego hotelu na wyborny lunch, a potem na spacer na zwiedzanie miasta.

Już miałem sposobność opisywania Chicago. Jestto, jak w regule wszystkie amerykańskie stolice, brudne i jednostajne miasto. Architektonicznie pięknych domów bardzo mało, przynajmniej we środku, bo dalej ku przedmieściom można zobaczyć niejedną willę, niejeden pałacyk, któryby i w Europie zasługiwał na uwagę. Tu zaś w pobliżu ratusza spaceruje człowiek w cieniu olbrzymich kilkunastopiętrowych gmachów przeważnie w stylu koszarowym, które zdają się przygniatać przechodnia swoją wielkością. State, Wabash, Randolf, oto nazwy głównych i najruchliwszych ulic. Na pierwszej z tychże spotkać można przeważnie płeć piękną, — gdyż tu znajdują się pierwszorzędne handle damskie.

Ztąd zbaczamy na Michigan-Avenue, ulicę spokojną, o pięknych domach w sąsiedztwie jeziora. Po drodze zwiedzamy „Auditoryum“, kosztowny hotel z marmuru i granitu, zawierający największą salę w Chicago, w której się może pomieścić 8.000 osób. Za niewielką opłatę wyciąga nas elewator na wieżę, ze szczytu której bardzo ciekawy widok na jezioro i miasto. Nie mówię „na

http://rcin.org.pl

miasto i okolicę", — gdyż Chicago jest tak wielkie, że okolicy niedojrzeć, tylko domy, fabryki i kominy w nieskończoność, — do tego brunatny dym, w którym wszystko tonie jak we mgle, tak, że tylko od czasu do czasu za powiewem wiatru odsłania się ta lub owa grupa gmachów, pnąca się z kurzawy ziemskiej ku szarobrunatnemu niebu, — gdyż innego Chicagowianie nigdy nie widzą. Za to widok na północ, t. j. na jezioro, przedstawia się inaczej. W ostrej linii kończy się dym, brud i kurzawa, a natomiast zjawiają się śliczne zielone nurty Michiganu, — na których bieleją niezliczone żagle. Chłodny wietrzyk z Kanady orzeźwia nas po skwarze, panującym w ulicach, — płuca z rozkoszą wciągają powietrze bez pyłu i woni fabrycznych.

Błądząc okiem wzdłuż wybrzeża ku południowi, widzi się w dali zielone parki miejskie, a przedewszystkiem Jackson-Park, wśród którego wznoszą się potężne gmachy wystawy światowej. Cierpliwości, — wkrótce je oglądniemy z bliska, gdyż uprzejmy p. skarbnik Kiołbasa, ofiaruje na to jeden dzień ze swego drogiego czasu. Pod kierownictwem więc tak wysokiego dygnitarza chicagoskiego, będziemy mogli obejrzeć nie jedno z bliska, co dla zwykłego śmiertelnika jest niedostępne.

Posiliwszy się na dole w przepysznym marmurowym barze (szykowni), szampanem z lodu (butelka kosztuje bagatelkę 5 dollarów) wracamy na Noble Street do domu koleją sznurową. Ruch wszędzie jest nadzwyczajny, i obcemu nie łatwo się zorjentować w tych tysiącznych wozach koleji elektrycznych, konnych i sznurowych. Najwięcej jest tych ostatnich; po trzy wozy razem pędzą o ile ruch na ulicach na to pozwala, znaczną szybkością. Jest tu przeszło 400 mil takich koleji miejskich, po których przejeżdża dziennie 600.000 ludzi. Prawie każda taka kolej mija kanały miejskie w taki sposób, że pędzi tunelem oświetlonym elektrycznie popod ziemię; nagórze pływają więc statki, na dole pędzą wozy.

Siedząc na takich przepełnionych wozach, można słyszeć wszystkie języki, bo Chicago jest istną wieżą Babel, w której złączyło się 27 narodowości, aby zarabiać na dolary. Nie darmo Yankesi się obawiają, że potężne to miasto straci kiedyś swój angielski charakter, bo już dziś Anglosasi są w znacznej mniejszości. Nareszcie język polski coraz to bardziej przeważa, na Milwauke-Avenue widać już nazwiska i całe napisy polskie, domki stają się coraz to biedniejsze, jesteśmy w polskiej części.

http://rcin.org.pl

OO. Zmartwychwstańcy byli tak łaskawi, że ubiegłej soboty wyprawili u siebie na moją cześć wielki bankiet, w którym wzięło udział kilkadziesiąt osób. Tu spotkałem się p. Chłapowskim, gdyż pp. Chłapowscy bawią obecnie w Chicago, z p. hr. Łubieńskiem, korespondentem warszawskiego „Słowa“ i petersburskiego „Kraju“, ks. Domagalskim, redaktorem Wiary i Ojczyzny, a mym dawnym znajomym z Brzeżan, gdzie przed laty był w gimnazyum mym nauczycielem francuskiego języka, z p. Zahajkiewiczem znanym pedagogiem ze Lwowa, który tu jest nauczycielem w polskiem kolegium, z p. Szwajkartem z Galicyi, redaktorem Dziennika chikagoskiego, i z wielu innymi, których poznanie było dla mnie wielce przyjemną rzeczą. Zastałem na bankiecie najgłówniejsze osobistości „Zjednoczenia polskiego rzymsko-katolickiego w Ameryce“ którego duszą jest właśnie uprzejmy gospodarz O. Wincenty Barzyński. Zjednoczenie to założone w r. 1874 obejmuje przeważnie towarzystwo kościelne i liczy obecnie przeszło 10.080 członków, a trzeba wiedzieć, że każdy członek przedstawia całą rodzinę. W razie śmierci męża otrzymuje wdowa 600 dollarów, w razie śmierci żony pozostały małżonek połowę tej sumy, potrzebny na to fundusz składają natychmiast wszyscy członkowie. Oprócz tego opłaca każdy 3 dollary rocznie na cele dobroczynne. Dziwnym sposobem członkowie Zjednoczenia tego noszą powszechnie w Ameryce miano „kropidlarzy“ a to dla tego, że przed założeniem „Wiary i Ojczyzny“ czasopismo „Kropidło“ było urzędowym organem Zjednoczenia. To już tak się wżyło, że oni sami siebie nazywają kropidlarzami.

Że uczta była w podniosłym nastroju, że było wiele pięknych toastów, że się przeciągnęła aż do wieczora, tego chyba nadmieniać nie potrzebuję.

Oczywista że „Związek narodowy polskich stowarzyszeń“ przedstawiający obóz liberalny, jakkolwiek na katolickim gruncie, nie pozostał w tyle za Zjednoczeniem i wyprawił mi bankiet nazajutrz t. j. w niedzielę.

Przedewszystkiem widziałem atoli kościoł św. Stanisława, gdyż to, co się tu widzi w niedzielę rano, jest dla Europejczyka niezmiernie ciekawem. Kościół jest dość obszerny, ale o nieszczególnej architekturze; — dość powiedzieć, że drewniana podłoga dzieli go na dwa piętra. Równocześnie odbywają się nabożeństwa na górze i na dole, i to w każdą niedzielę i święto trzy razy,

http://rcin.org.pl

tak że mamy 6 sum, 6 kazań etc. Na każdem nabożeństwie jest inna publiczność, wynajmująca miejsca do siedzeń w ławkach, — dochód z tego wynosi 60 000 dolarów rocznie i obraca się na utrzymanie parafij, szkół etc. Mogłem się naocznie przekonać, że parafia ta liczy blisko 40.000 dusz.

Po obiedzie u p. Satałeckiego, prezesa Związku, odbytym w towarzystwie p. cenzora Przybyszewskiego (najwyższej osobistości Związku), który przybył umyślnie z Bay City, — i w towarzystwie członków rządu, udałem się na posiedzenie delegatów wszystkich polskich Towarzystw, zastanawiających się nad obchodem 400-letniej rocznicy odkrycia Ameryki. Powitano mnie jako gościa z kraju, bardzo serdecznie, zaszczycono honorową prezydenturą, — a Towarzystwo Kościuszki mianowało mnie swym członkiem honorowym i wręczyło złotą odznakę z mem imieniem i nazwiskiem. Taka jest tęsknota i miłość kraju u tych ludzi, że już mój widok, — jako gościa przybyłego świeżo z za oceanu, wzruszył ich i wprowadził w prawdziwy entuzyazm.

Tak pięknie rozpoczęty dzień skończył się równie pięknie. Oto byłem na przedstawieniu polskiem i podziwiałem naszą Helenę Modrzejewską. Przestawienie, z którego cały dochód przeznaczono na cel dobroczynny odbyło się w gmachu kollegium polskiego. Budynek ten należący do parafii św. Stanisława znajduje się tuż obok kościoła i wpada w oczy swoją szczególniejszą architekturą. Moi łaskawi przyjaciele niech mi darują, że im tak się wywdzięczam za gościnność, ale niezgrabny jak pudło, czworograniasty gmach ten z czterema wieżyczkami po rogach, wygląda jak wielki bilard przewrócony nogami do góry.

Lecz mniejsza o architektonikę, gdy jego przeznaczenie jest szlachetne. Tu mieści się parafialna szkoła ludowa, która zaledwie może pomieścić te 4000 dzieci, cisnących się do niej, tutaj jest początek polskiego gimnazyum w Ameryce, — są już trzy klasy urządzone na sposób europejski.

Trzeba oddać sprawiedliwość OO. Zmartwychwstańcom, że starają się o dobór kwalifikowanych nauczycieli i sprowadzają ich z kraju. Sprawa wkształcenia i oświaty naszych wychodźców, rzuconych losem na drugą półkulę, jest nadzwyczajnie ważną i piekącą.

Pod tym względem są dotychczas wielkie braki, — bo cała nauka w takiej szkółce parafialnej jest po prostu przygotowaniem do pierwszej komunii. Po odbyciu tejże, dziecko wyrobnika opu-

http://rcin.org.pl

szcza szkołę i spieszy do pracy, aby zarobić kilka dolarów tygodniowo, — i aby całe życie zostać nędzarzem, wyrobnikiem. Jakże inaczej wyglądałyby stosunki, — gdyby oświata i wykształcenie było większe, niż dotychczas. Wszakżeż są tu nietylko dzielnice miejskie, ale całe hrabstwa (powiaty) na prowincyi, gdzie Polacy są w większości. Wszelkie więc urzędy i dostojeństwa a nawet senatorstwo i poselstwo do kongresu stałoby im otworem, — ale niestety, jak dotychczas nie ma na to kandydatów, — gdyż obecnie można przejechać setki mil niespotkawszy i jednego inteligentnego Polaka.

Spostrzegam jednakże, że jestem gadułą, zamiast o przedstawieniu teatralnem rozprawiam o wychowaniu publicznem. W gmachu wspomnianego kolegium znajduje się i sala teatralna, co do wielkości druga z rzędu w całem Chicago, gdyż ma 4.000 miejsc do siedzenia. Urządzenie jest nie złe, kurtyna przedstawia kopię znanego obrazu „Prześladowanie Unitów na Podlasiu“, audytoryum składa się z parteru i galeryi o siedzeniach ustawionych amfiteatralnie, — lecz akustyka pozostawia wiele do życzenia.

Otóż w tej to sali podziwiałem naszą Modrzejewską, i to nie w roli Ofelii, Maryi Stuart, lub lady Mackbeth, — ale.. zgadnijcie!... Oto w roli pani Koguciny w Chłopach arystokratach! Tożto była uczta dla oczu i uszu widzieć i słyszeć sławną artystkę, jako Kogucinę! Zdawało mi się, że niepodobna dla Modrzejewskiej zejść z koturnów i zniżyć się do takiej roli. A jednak zniżyła się, i grała jak... Modrzejewska. Trzeba było słyszeć z jaką werwą spiewała kuplety: Przez dzień cały będę piła, Harakiem się będę myła, Wiwat pani Kogucina!... Rzeczywiście oczarowała nas, więc obsypaliśmy ją kwiatami. Reszta ról spoczywała w rękach amatorów, którzy wywiązali się jak mogli najlepiej ze swego trudnego zadania.

Następnej niedzieli znów mamy przedstawienie z Modrzejewską, w sobotę zaś dają państwo Chłapowscy u siebie w hotelu Victoria bankiet i są tak łaskawi, że raczą to wprowadzić w związek z moją tu bytnością.

Jak widzicie, sługa Wasz żyłby sobie tutaj wybornie, gdyby nie niepokój, spowodowany brakiem wiadomości z kraju. W porcie nowojorskim sroży się cholera na statkach, przybyłych z Hamburga, moja ulubiona Normannia jest prawdziwem piekłem. Stoi już dziesiąty dzień w kwarantanie, — codzień umiera na niej po

http://rcin.org.pl

kilkoro ludzi, — a reszta musi siedzieć i czekać, kiedy na nich kolej przyjdzie. Mają się tam odbywać straszliwe sceny, panie odchodzą od zmysłów i dostają napadów histeryi, mężczyzni podnoszą formalny bunt, — gdyż jest to rzeczywiście okropne położenie patrzeć się na zdrowe, urocze brzegi zatoki nowojorskiej, a musieć siedzieć na zapowietrzonym okręcie, oczekując każdej chwili straszliwej śmierci.

To też i opinia publiczna zaczyna brać nieszczęśliwych podróżnych i załogę w obronę, — ganią nieludzkie zarządzenie rządu, i zdaje się, że lada dzień wysadzą wszystkich na Fire Island, lub jakiej innej odludnej wyspie, gdzie także można zaprowadzić kwarantanę, ale przynajmniej w innych, ludzkich warunkach, — gdyż tam każdy może się przechadzać milami po zdrowem wybrzeżu, i nie potrzebuje się narażać na niebezpieczeństwo zarazy.

Ofiarność publiczna jest tu bardzo wielka. Na wieść o nieszczęsnem położeniu „Normanii“ znaleźli się natychmiast ludzie, którzy oświadczyli gotowość odstąpienia swych statków do przewozu podróżnych, i zbudowania własnym kosztem baraków dla nich na którejkolwiek wyspie. Dotychczas położenie tych nieszczęśliwych jest pożałowania godne. Strzegą ich dzień i noc, bo już były próby ucieczki, a tylko w razie śmierci podpływa łódka, zabiera umarłego, aby go natychmiast spalić na Hoffmanns-Island, powtarzają się więc sceny z „Ojca zadżumionych“. Dziś dostał się do dzienników list przemycony z okrętu, szczegóły są godne dantejskiego piekła. Płynąc kilka miesięcy temu na pokładzie tego pysznego statku, nie miałem pojęcia, że miejsca, na których spędziłem tyle uroczych chwil, zamienią się wkrótce na straszliwe pandemonium.

Lecz muszę kończyć, — bo powóz już zajechał, a dzisiejszy dzień przeznaczony na wystawę kolumbijską. Po drodze wstąpię na pocztę, — a jeśli otrzymam pomyślne listy z kraju, natenczas obiecuję ładny i wesoły list.

---

http://rcin.org.pl

VII.

CHICAGO

6 września 1892.

Wczoraj rano wybrałem się w towarzystwie zacnego mego gospodarza p. Smulskiego, dalej pp. hr. Łubieńskiego i Kiołbasy na zwiedzenie wystawy.

Już w samym początku naszej jazdy przekonaliśmy się, że nie tak łatwo będzie się można dostać na miejsce przeznaczenia, jakby się to na pozór zdawało. 5 września jest bowiem t. zw. Labor day, święto robotnicze, które ustawą kongresu obchodzi się uroczyście we wszystkich Stanach, — więc dziś całe miasto należy do robotników. Od wczesnego poranku ciągną niezliczone szeregi z odznakami i chorągwiami na plac zborny na Michigan-Avenue, zkąd ma się rozpocząć pochód. Oczywista, że skutkiem tego przerywa się komunikacya od czasu do czasu na całe godziny, — więc powóz nasz wciśniony w węzeł na pozór nie do rozerwania, a składający się z wozów kolejowych, powozów, buggy's o dwóch siedzeniach, koni i ludzi, musi stać nieruchomo, na co ja się wcale nie gniewam, gdyż mam sposobność przypatrzeć się ciekawym grupom.

Ciągną więc robotnicy odświętnie ubrani z chorągwiami narodowemi i stowarzyszeń, ciągną z wozami, na których widać każde rzemiosło w allegorycznem przedstawieniu. Amerykańskie barwy: *red, white and blue* lśnią wszędzie, że aż za oczy chwyta, — na wozach, kołach, koniach i kapeluszach, toż samo i gwiazdy oznaczające ilość Stanów należących do Unii, świecą jak gwiazdy na niebie.

Tu maszeruje cech kamieniarski z wielkim wozem po środku, na którym szlifują marmury i wykonywują w ogóle roboty kamie-

http://rcin.org.pl

niarskie, za nim idą bednarze, waląc młotami w wielką beczkę, że aż dudni, budowniczy okrętów z pysznym wielkim statkiem ciągnionym przez 6 koni, maszyniści ze swojemi maszynami, — kowale, krawcy, szewcy i t. p. w niezliczonych szeregach. A wszędzie pełno amerykańskich flag i chorągiewek, czasem pokaże się sztandar krwisto-czerwony, ale policya prędko go konfiskuje, na koniach pędzą komendanci pochodu z olbrzymiemi odznakami, a biedne rumaki nikną pod płachtą trójkolorową, że wyglądają raczej, jak gdyby jakieś potwory z apokalipsy.

Obszerne ulice przepełnione ciekawymi tłumami, wszędzie gwar, wszędzie okrzyki otumaniające widza, trzeba sprytnie korzystać z przerwy w pochodzie, ażeby módz udać się kilka kroków naprzód.

Dopiero po kilku godzinach takiego przeciskania się przez tłumy zdołaliśmy wydostać się z tej ciżby, odetchnęliśmy więc swobodnie pędząc ładną ulicą Michigan-Av. ku południowi.

Jesteśmy w najpiękniejszej części miasta. Zarówno Michigan-Avenue, jak też i wszystkie równoległe ulice, jak Wabash, State, Indiana i t. p. obfitują w piękne pałace i wille. Naturalnie, że zwyczajem amerykańskim rzadko można się spotkać z gustowną architekturą, zwykle jakieś dziwolągi, — ale mimo tego całość wśród pięknej alei i zieleni klombów sprawia miłe wrażenie. Prawie każda fasada jest ozdobna, z marmuru lub granitu, podczas gdy reszta jest z cegły, nie rzadko atoli można spotkać domy w całości z kamienia.

Im dalej ku południowi, tem wyraźniej widać, że część miasta, przez którą przejeżdżamy, jest bardzo młoda. Bezpośrednio bowiem do pałaców przytyka pierwotny step lub las, — boczne ulice są dopiero wytyczone, — brukują się i zabudowywują na gwałt, obecnie wznoszą także i elewetki (koleje żelazne na słupach), tak, że na plac wystawy, odległy około 12 km. od centrum miasta, będzie się można wygodnie dostać okrętem, koleją żelazną, elewetką lub koleją sznurową.

Mijamy śliczny skwer t. zw. Drexler-Park, tak nazwany od milionera, który darował swój park na użytek publiczny. Te zielone parki i bulwary są prawdziwą ozdobą miasta Chicago; rozumie się samo przez się, że wielkość i rozległość tychże odpowiada potędze królowej Michiganu. Dość wspomnieć, że długość bulwarów, — które przeważnie są z sobą połączone i które zielenią swych sta-

http://rcin.org.pl

rych drzew, pięknymi kwiatami swych klombów, przyjemnie odbijają od zakurzonych i zczerniałych gmachów, wynosi 74 mil.

Lecz oto i Jackson-Park, a więc i wystawa. Wchodzimy bramą od 57 ulicy, i znajdujemy się od razu jak gdyby w zaczarowanym świecie. Główne budynki już ukończone, albo na ukończeniu, koło mniejszych pracują tysiące robotników, wszędzie jeszcze nieporządek, improwizowane koleje, maszyny, śmiecie, piasek i wapno, ale gdy to wszystko zniknie, a natomiast pokryje się egzotycznem kwieciem, — gdy zabłyśnie wieczorem milionem różnokolorowych ogni elektrycznych, tożto będzie przepych i wspaniały widok!

Po lewej ręce wykańczają liczne mniejsze budynki poszczególnych Stanów, te nas nie wiele interesują, natomiast po prawicy więzi nasz wzrok, wspaniały, wielki 500 stóp długi gmach „Art Galleries“. W stylu greckiej świątyni z koryncką kolumnadą, cały z kamienia, jest to jedyny gmach, który przeżyje wystawę. Szczególnie pięknie wygląda on ze strony południowej, tu bowiem znajduje się obszerne jezioro, jako początek wielkiego systemu wodnego, którym sprytni Yankesi w bardzo dowcipny sposób przystroili wystawę, i trzeba przyznać, że te stawki, rzeczki, laguny i kanały dodają całości wiele uroku i życia.

Spoglądając na ten pałac sztuk pięknych z południa, t. j. od strony jeziora, i widząc, jak szlachetna, pełna powagi fasada odbija się od kryształowych wód, zapominamy na chwilę, że jesteśmy w Ameryce, zdaje się nam, że stoimy gdzieś nad morzem egejskiem obok starożytnej świątyni, i że za chwilę wyjdzie klasyczny orszak składać w obec spienionych nurtów morskich ofiarę na cześć pięknej Afrodyty.

Po pod wielki ale nieskończony budynek państwa Illinois, które jako urządzające wystawę, odłączyło się od innych Stanów i przewyższa wszystkie rozmiarami swego pawilonu, przychodzimy do „Womans Building“ nad laguną. Więc i płeć piękna ma swój przybytek, któryby się wcale nie źle przedstawiał, gdyż jest w stylu wielkiej włoskiej willi, gdyby nie pewien szczegół, który szpeci całą budowę. Oto widocznie spostrzeżono nieco za późno, że we środku zamało światła, dobudowano więc ponad gmachem szklany dach, który psuje bardzo wrażenie piękna.

Po lagunach uwijają się już, teraz gondole i elektryczne okręciki, — i te wysepki wyglądające obecnie jeszcze pół dziko, za-

http://rcin.org.pl

mieni wkrótce skrzętna ręka ogrodników na zaczarowane ustronie, — na jakiś obrazek z tysiąca i jednej nocy.

Koroną atoli ogrodnictwa i prawdziwem królestwem flory będzie gmach, do którego się obecnie zbliżamy „Horticulture Building“. Cały ze szkła i żelaza przypomina bardzo rotundę wiedeńską, choć w mniejszych nieco rozmiarach. Tu wszystkie strefy świata złożą się na to, aby widza olśnić i oczarować.

Kilka kroków dalej wznosi się olbrzymi budynek — jak gdyby jakiś potężny dworzec kolejowy. Jakoż rzeczywiście, już allegoryczne figury u wejścia przedstawiające starożytny sposób podróży na niezgrabnym drewnianym wozie, ciągnionym przez woły, a obok tego jako przeciwieństwo kolejowy wóz salonowy Pullmana z całym swym przepychem, wskazuje na to, że mamy przed sobą „Transportation Bd.“

Mnie specyalnie, jako geologa, interesuje więcej sąsiedni pałac górnictwa (włoski renaissance) w którym Ameryka złoży swe podziemne skarby.

Sąsiedni gmach elektryczności ze swemi czterema wieżami po rogach, skąd spłynie całe morze światła na wystawę, jest prawdziwie piękny i przypomina mi bardzo niektóre rzymskie kościoły.

Stojąc pomiędzy obu tymi dopiero co wymienionymi gmachami z twarzą zwróconą ku południowi, spoglądamy na perłę całej wystawy, na „Administration Building“. Tu Amerykanie wyrzekli się zupełnie swego braku gustu, bo całość jest tak piękna, że ani jeden szczegół, ani jedna linia nie psuje pięknej harmonii całości.

Nadzwyczaj ozdobny renesans hiszpański uderza szlachetnością linii i bogactwem — jakkolwiek nie przesadzonem — fresk, rzeźb i bas-reliefs.

Na górze nad środkową częścią śliczna kolumnada dźwiga wielką kopułę zakończoną w wysokości 280 stóp nie latarnią lecz otwartą koroną. Naokoło podstawy kopuły, jakoteż po rogach pawilonów i u wejścia widać piękne grupy, przedstawiające emblematycznie sztuki i nauki. W gmachu tym pomieści się zarząd wystawy, prasa, biuro informacyjne i banki.

Wychodzimy obecnie na wolniejsze miejsce nad głównym basenem, skąd najśliczniejszy widok na całość, jakkolwiek niebrak na wystawie miejsc, z których przedstawiają się przepysznie pewne grupy gmachów. Na południu widzimy halę maszyn i budynek rolnictwa, z tych ostatni w stylu Alhambry, a za niemi cały

http://rcin.org.pl

szereg szop i stajen, w których się odbędzie wystawa zwierząt domowych. Idąc dalej nad basenem zbliżamy się do największego, bo 1687 stóp długiego gmachu „Manufactures and Liberal Arts“.

Jakkolwiek w tak olbrzymim budynku chodziło przedewszystkiem o światło, więc i całość jest jednym szeregiem wielkich okien, to trzeba przyznać, że niezaniedbano tu także ozdób architektonicznych, — bo wszystkie łuki nad oknami, wszystkie portale są wcale gustowne. Amerykanie są dumni z tego gmachu, — gdyż jest największy na całej kuli ziemskiej. Zajmuje on przeszło 30 akrów przestrzeni i jest trzy razy obszerniejszy od kościoła św. Piotra w Rzymie, nic więc dziwnego, że może pomieścić 300.000 ludzi. Z żelaza wchodzącego w skład budowy tego gmachu można by wznieść dwa mosty brooklyńskie, materyał drewniany zaś reprezentuje las z 1100 akrów.

Dziesięć tysięcy elektrycznych świateł będzie oświecać w nocy wnętrze tego olbrzyma, bo w dzień 11 akrów okien, na które potrzeba było 40 wagonów szkła, dadzą dostateczne oświetlenie. Ażeby uporać się z tem amerykańskiem wyliczeniem, dodamy, że domek ten kosztuje 1,700.000 dollarów, i idźmy dalej ku jezioru.

Najpiękniejszą ozdobą wystawy jest Michigan, to potężne słodkowodne morze, którego spienione fale opłukują jej stopy. Nie masz też przyjemniejszego spaceru, jak na wybrzeżu, mając po jednej stronie wystawę, po drugiej śliczne, zielone wody jeziora. Naturalnie, że Amerykanie nie zaniedbali wyzyskać jeziora dla celów wystawy. Więc będzie tu i „Harbor for Pleasure“, i kilka mil długi pomost, na którego końcu wznoszą gmach dla koncertów, i olbrzymi drewniany okręt, który jest dokładnym modelem największego pancernika Stanów Zjednoczonych, aby przybysz mógł mieć wyobrażenie o potędze floty wojennej Unii. Niewinny ten ostatni żarcik, nad którym obecnie dzień i noc pracują, ma kosztować 100.000 dolarów,

Przechadzając się nad jeziorem, mijamy przeszło pół kilometrową fasadę gmachu „Manufactures“, mijamy „Gouvernement-Building“, z niezgrabną kopułą, i przychodzimy do dziwnego gmachu „The fisheries“, z pawilonami i wieżyczkami w stylu barok, którego słupy przedstawiają sploty raków, ryb i rozmaitych potworów morskich. Przekraczamy dalej plac, przeznaczony na pawilony europejskich państw, i przybywszy znów pod gmach sztuk pię-

http://rcin.org.pl

knych, od którego wyszliśmy, kończymy naszą wędrówkę po Columbian Worlds Fair Ground.

Z powrotem jedziemy przez piękną Ashland-Avenue, zaglądamy po drodze do polskiej parafii Bridgeport, zamieszkanej przeważnie przez Litwinów, odwiedzamy Wojciechowo, wielką dolinę polską, z kościołem św. Wojciecha, podziwiamy potężne „Lumber-Yards“, w których zespolił się cały przemysł drzewny miasta Chicago, i przyjeżdżamy wieczorem do domu, gdzie nas czekają dzienniki z depeszami z portu Nowojorskiego.

Nieszczęśliwi podróżni „Normanii“ przechodzą koleje, jakie tylko w fantastycznych romansach spotkać można. Oto rząd przeznaczył im na siedzibę Fire-Island, dokąd udali się wczoraj wieczorem maleńkim statkiem „Cepheus“. Mieszkańcy pobliskich wiosek wystąpili z bronią w ręku, i niepozwolili wylądować, drwiąc sobie z rozkazów władzy, — podróżni są więc już 24 godzin na burzy i słocie, bez pokarmu i bez wody, zepchani jak śledzie na malutkim parowczyku, który ich nawet od deszczu nie może ochronić, i obecnie nie da się nawet przewidzieć, jak to się skończy.

Obecnie jadę na kilka dni w daleką północ nad Lake Superior, zkąd wyszlę następny list.

---

http://rcin.org.pl

VIII.

STEVENS POINT

10 września 1892.

Złapałem Cię łaskawy czytelniku na polu wiadomości geograficznych! Nie udawaj uczonego, bo jestem pewny, że nie wiesz, gdzie leży Stevens Point, lecz bądź spokojny, — gdyż ja sam — podróżnik amerykański — do niedawna tego nie wiedziałem. Otóż dowiedz się, że miejscowość ta leży daleko na północy od Chicago w stanie Wisconsin na drodze do Górnego Jeziora.

Porzuciłem na kilka dni gwar i zaduchę miejską, i bujam — jak ptak w powietrzu — w swej ukochanej zielonej przyrodzie!

A co to za przyroda zwłaszcza dla geologa! Wszakżeż tu całe góry lodnikowe! jakiż tu klasyczny teren do badania resztek, pozostałych po lodach formacyi dyluwialnej. Co krok olbrzymie głazy przyniesione tu z dalekiej północy, wertepy i jary okazujące najśliczniejsze przekroje wałów lodnikowych, — co u nas w Europie jest w miniaturze, rozwinęło się tu w olbrzymich rozmiarach.

Nie podróżuję sam, — gdyż nieoceniony skarbnik miasta Chicago p. Kiołbasa towarzyszy mi w mej wędrówce. Zostawił swoje miliony miejskie, — podpisał cały szereg czeków *in bianco*, nakazał swym podwładnym urzędnikom, aby przez czas jego nieobecności przestrzegali święcie siódmego przykazania, i puścił się ze mną pomiędzy bory, — pomiędzy kamienie — pomiędzy lud... jaki lud?... cierpliwości zaraz zobaczymy.

Przenikliwy chłód budzi mię w sypialnym wozie Pullmanowskim. Wyzieram przez okno, wszak to jesień, — i to późna nasza jesień ze mgłą, szronem i przenikającem zimnem. Gdzież się

http://rcin.org.pl

podziały gorąca chicagoskie? zostały za nami daleko na południu. Szczęście że Dublowski i Frydman we Lwowie poradzili mi sprawić sobie na podróż grubą zarzutkę, bo inaczej przemarzłbym do szpiku.

Wysiadamy na maleńkiej stacyjce Amma Junction, na której szarzeje kilka domków wśród dziewiczego lasu. Wpada mi w oczy polski napis i polskie nazwisko, — rzeczywiście to polski „salon“ czyli gospoda, której właściciel, pół farmer pół karczmarz, pracuje jak może na kawałek chleba. Więc przedewszystkiem śniadanie, bośmy głodni porządnie.

W Ameryce jest inne śniadanie, niż u nas w Europie. Tu nie kończy się na szklaneczce kawy lub herbaty, lecz wymaga się czegoś więcej pozytywnego. Zaczynamy od sporego kielicha gorzały, którą tu nazywają „twardym“, — potem jemy bifsteaki, jaja, smarzoną słoninę i szynkę ze surową cebulą, chleb z masłem, bułkę, — popijamy kawę, zakąsujemy owocami, i jakoś głód na chwilę przycichł.

Siadamy na wózek, którym powozi tęgi chłop z Lubelskiego, zarządca farmy p. skarbnika znajdującej się o 12 mil ztąd, i pędzimy dalej na północ.

Dokąd spojrzysz las, — widocznie do niedawna cały północny Wisconsin był jednym wielkim borem, — i dopiero w ostatnich dwóch dziesiątkach lat topór farmera wycina drzewa, aby uzyskać kawałek ornego pola.

Lecz jakież pióro zdołałoby opisać te cudne barwy lasu?

W nocy był mróz, więc mało który liść zachował swą pierwotną zieloność, lecz przybrał najstrojniejsze barwy, począwszy od purpurowej aż do blado-żółtej. Słyszałem i czytałem już wiele o piękności lasu amerykańskiego w jesieni, lecz to, co widziałem, przeszło wszelkie me oczekiwanie. W pośród ciemno-zielonych sosen, które sobie drwią z mrozu, wiszą jak gdyby perskie kobierce, — jak purpurowe zasłony, wznoszą się płonące krzaki, i artysta, któryby oddał to wiernie na obrazie, spotkałby się w Europie z zarzutem przesady.

Licha drożyna, na której koła brną po osie w piasku, prowadzi nas w głąb lasu. Zdawałoby się, że wjeżdżamy w dziewiczy las amerykański, że ogarnia nas coraz to dziksza puszcza, — lecz za chwilę robi się jasno, drzewa znikają: oto farma.

Pracowita ręka wykorczowała tam kilkanaście akrów, więc zamiast lasu mamy przed sobą pole kartoflowe, ogródek z warzy-

http://rcin.org.pl

wem, ściernisko po życie, a we środku parę budynków gospodarskich i porządny domek mieszkalny. Z ciekawością rozglądam się po tem gospodarstwie w dzikiej puszczy, za chwilę wychodzi sam farmer i zaczynamy rozmowę. Wszak to Polak, który przybył tu tylko z parą zdrowych rąk, i własną ciężką pracą dorobił się tego małego dobytku. Co to za dziwne to powietrze amerykańskie, jak ono zmienia ludzi! Przecież u nas tyle nieużytków, które możnaby zamienić ciężką pracą na niezłe pole, a nikomu i nie w głowie o tem. Chłopek nasz w kraju stęka i narzeka, nim jeden krzaczek wyciągnie z ziemi, a tu wali odwieczne drzewa bez szemrania, że aż przyjemnie przypatrywać się tej pracy. Zaczyna jako robotnik o dziennej zapłacie $1^1/_2$ dolara; gdy już sobie naskłada kilkadziesiąt dolarów, kupuje kawał puszczy (w regule 40 akrów), akr po kilka dolarów, — buduje domek na spłatę i pracuje dalej jako najemnik, aby umorzyć dług. Pomało powiększa się ogródek koło domku, przy którym żona jego sadzi kapustę i kartofle, a później zabiera się on sam do korczowania boru i uzyskuje grunt pod orkę. Gleba jakkolwiek piasczysta jest widocznie nie zła, szczególnie kartofle tych okolic są bardzo poszukiwane i mają lepszą cenę, niż inne.

Jedziemy dalej. Za chwilę znowu puszcza, potem znów farma i tak ciągle. Wsi w naszym pojęciu tu nie ma, gdyż domy porozrzucane, więc osady są bardzo rozległe. Całe hrabstwo (county) Portage zamieszkują przeważnie Polacy, — obok nich osiedlają się Norwegczycy, których nasi sobie chwalą jako dobrych sąsiadów.

Południe się zbliża, więc w sam czas przybywamy do farmy pana skarbnika. Naturalnie, że farma tego rodzaju jest urządzona więcej jako willegiatura letnia, aniżeli jako osada rolnicza, — więc mamy tu ładny dom mieszkalny, ogród i sad koło niego. O kilka kroków opodal rozciąga się śliczne, tajemnicze jeziorko wśród głuchej puszczy, nad którego brzegami wznoszą się stare indyjskie groby. Zarządca zapewnia mnie, że tu co nocy duchy poległych czerwonych wojowników wyprawiają harce, że pływają po jeziorze i odgrażają się białemu człowiekowi.

Błądzę więc w odwiecznym lesie nad jeziorkiem i przypatruję się wielkim żółwiom, które wypowiedziały wojnę kaczętom i małym gąskom, zasmakowawszy w ich mięsie, — usiadłszy na granitowym błędnym głazie, dumam o tej niedawnej przeszłości, — podczas której na miejscu dzisiejszej eleganckiej wili stały wigwany indyj-

http://rcin.org.pl

skie. Lecz czas pomyśleć o obiedzie, — willa o tej jesiennej porze stoi pustką, więc musimy sami zakasać rękawy, jeżeli chcemy posilić się.

Chwytam więc za siekierę, rąbię drwa i palę pod kuchnią, p. skarbnik nosi wodę i myje garnki, buszujemy po spiżarni i piwnicy, znachodzimy masę wędlin, konserwów, grzybów, jaj, wina, gorzałki etc. Zarządca dostarcza nam świeżego masła, więc smażymy, gotujemy, pieczemy jak na wesele. Posiliwszy się porządnie, idziemy geologizować, i oglądamy roboty około trzebienia lasu. Poznaję się z jednym robotnikiem, organistą z kraju; ten nie ma jeszcze kościoła, więc też poczciwina zamiast spiewać przez nos *Et cum spiritu tuo* rąbie siekierą, że aż trzaski lecą. Za to w zimie jest pedagogiem i w polskiej maleńkiej szkółce odsłania przed dziećmi sąsiednich farmerów polskich tajniki wiedzy ludzkiej.

Zaprzęgamy konie i pędzimy przez puszczę, po pod liczne polskie farmy. Wieczorem jesteśmy w znaczniejszej osadzie, jednym z polskich centrów w miejscowości „Polonia", gdzie ks. Dąbrowski, obecnie rektor seminaryum w Detroit, pobudował ładny kościółek z kamienia, plebanię, szkołę i mały klasztor dla sióstr Felicyanek, nauczycielek w szkole. Jestto już dość spora parafia, bo liczy przeszło 600 rodzin. Niestety, nie zastajemy proboszcza Grybowskiego w domu, więc sami tylko z gospodynią gospodarujemy, jak możemy.

Nazajutrz wczesnym rankiem puszczamy się dalej w drogę. Poranek cudny, jesienny, chłodny ale jasny. Ach, jak mi tęskno!... Zdaje mi się, że jestem w ojczyźnie mojej, wszakżeż widzę po drogach krzyże i boże męki, wszakżeż nieraz na starym dębie lub na potężnej sykomorze lśni obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej.... To nie kraj Yankesów, to nasz poczciwy ludek, który swą wiarę i tradycyę przeniósł za ocean.

Zwiedzamy polską kolonię i probostwo Hull i stajemy na południe w Stevens Point, stolicy hrabstwa, liczącej około 8000 mieszkańców.

Ks. proboszcz Woźny, z Galicyi, podejmuje nas serdecznie i gościnnie, nie skąpi nam objaśnień, obwozi po okolicy i mieście

Mieścina schludna, fabryczna i handlowa, gdyż tu farmerzy sprzedają swe produkty. Za buszel (około $^1/_4$ korca naszego) otrzymuje się obecnie 40 cnt., więc chłopek nasz może ze swego pola uzyskać i nieco dollarów. Ma on jeszcze i drób i barany i świnki, karmione kartoflami, ale z tego wszystkiego sprzedaje on tylko tyle,

http://rcin.org.pl

ile mu zostanie, gdyż sobie mięsa nie żałuje, więc znajdziesz każdej chwili u niego w spiżarni i w kominie słoninę, mięso baranie, schaby etc.

Stoję na rynku miasteczka i uśmiecham się. To nie jest amerykański rynek, to siano, to śmiecie i ten nawóz dookoła, te wozy stojące rządem, obok których ludzie rozmawiają i targują się w polskim języku, ta woń i ten gwar przypominają mi kraj, brak tylko żydowskich karczem, i pejsatych handlarzy.

W samem Stevens Point żyje około 2500 Polaków. Z powodu fabryk gromadzi się tu klasa robotnicza, — która zwolna przychodzi w posiadanie farm w pobliżu. Główną fabryką jest papiernia, wyrabiająca lichy gazetowy papier z drzewa osikowego. Leży ona w pobliżu miasta, wśród wielkiego lasu, nad potężną rzeką Wisconsin-River i zatrudnia, jak to widziałem na miejscu, dość znaczną liczbę Polaków.

Odkryłem w mieście nawet pismo polskie tygodniowe, o którego istnieniu nie miałem przedtem pojęcia. Nosi ono tytuł *Rolnik* i jest zastosowane do potrzeb farmerów. Jest tu także kilka polskich sklepów i dość znaczna liczba polskich „salonów". Ale jak wszędzie w Ameryce, tak i tu daje się ogromnie uczuć brak większych polskich kapitałów, brak polskich fabrykantów i przemysłowców, spółek przemysłowych, brak lepszych samodzielnych rzemieślników. Prosty wyrobnik, prosty robotnik — oto wszystko, co z kraju przychodzi, — naturalnie więc, że Yankes wyobraża sobie wszystkich Polaków tak samo, i dziwi się niezmiernie, jeżeli czasem obaczy innego.

Poziom inteligencyi jest także bardzo niski. W takich okręgach, jak właśnie Portage, — jak w północnym Michiganie i w wielu innych miejscach, mają Polacy znaczną większość, mogliby więc mieć przystęp do urzędów, do zaszczytów, a nawet do senatorstwa i kongresu — ale cóż z tego, kiedy nie umieją „ni czytaty, ni pysaty". Szkółki parafialne są tylko przygotowaniem do Komunii, — po której zarówno chłopcy jak i dziewczęta uciekają czem prędzej do fabryki, aby zarobić kilka dolarów tygodniowo. Rezultatem tego jest, że jak zaczął od siekiery i od łopaty, tak też na siekierze i łopacie skończy. A szkoda, bo to jest młody kraj, gdzie trochę nauk fachowych, jak: przemysłu, rękodzielnictwa, kupiectwa opłacałoby się sowicie. Z podniesieniem poziomu oświaty uzyskałoby się także i to, iż awanturnicy, niby-inteli-

http://rcin.org.pl

gentni, którzy uciekają z kraju przed kryminałem lub z kryminału i zakładają tu dzienniki anarchistyczne, zaszczepiając w taki sposób truciznę w poczciwą polską krew, straciliby racyę bytu i musieliby się także imać siekiery lub łopaty, albo też wędrować na gałęź.

Lecz muszę kończyć, — bo ksiądz proboszcz w przepysznym swym pałacyku, (a takiemi są wszystkie tutejsze plebanie polskie), zaprasza nas do uczty. Na stole ostrygi, kawior, steaki, sery, wino, piwo, czego tylko dusza zapragnie, — wobec tego trudno bawić się w morały, a jeszcze trudniej pisać o niskiem stanowisku Polonii w Ameryce.

---

http://rcin.org.pl

IX.

MILWAUKEE.

20 września 1892.

A więc nadeszły wreszcie upragnione listy z kraju! Przesadzone doniesienia o cholerze we Lwowie i w Krakowie w tutejszych dziennikach okazały się nieprawdziwemi, wszyscy drodzy mojemu sercu są all right, więc z całym zapałem mogę się oddać wrażeniom mej ślicznej podróży.

O polska gościnności! Dopiero w Ameryce poznałem cię w całej pełni i zachwycam się tobą tem więcej, ile że myślałem, że zimny powiew amerykańskiego praktycznego życia ujął ci nieco z pierwotnej twej siły.

Jakżeż byłem w błędzie! Ten entuzyazm, z jakim mnie rodacy wszędzie przyjmują, ta serdeczność, z którą mnie sobie wzajemnie wydzierają, napawa mnie prawdziwym zachwytem, i trudno mi rzeczywiście uwierzyć, że jestem na drugiej półkuli, nad Michiganem lub Missisipi, bo zdaje mi się, że to Gopło lub Wisła nasza.

Potrzeba zaprawdę niezwykłych sił fizycznych, aby to wszystko wytrzymać. Na szczęście jestem zdrów i silny jak niedźwiedź, a łeb mam prawdziwie polski, augustowski, więc gdy rano kurzy się z czupryny, wtenczas wsadzam głowę w Michigan, Missisipi, lub jaką inną sławną wodę, i zaczynam da capo — dzień pełen wrażeń i zachwytu.

Nie tak to łatwo przyszło mi wyrwać się z Chicago. Pozwolono mi na to tylko pod warunkiem złożenia przysięgi na wszystkie świętości, iż z powrotem zabawię tam jeszcze kilka dni.

http://rcin.org.pl

W sobotę 10 b. m. raczyli pp. Chłapowscy w przepysznym hotelu „Virginia“ dać na moją cześć bankiet, na który zaproszono 30 najwybitniejszych osobistości tutejszej Polonii. Miałem to szczęście siedzieć obok naszej wielkiej artystki, i mogę śmiało powiedzieć, że przeżyłem wtenczas jedną z najpiękniejszych uczt w mem życiu.

Jakież to były toasty, jak miły nastrój, podtrzymywany serdecznością szanownego gospodarstwa; wszyscy uczestnicy biesiady zachowają ją na zawsze w pamięci.

Po raz pierwszy dowiedziałem się, że nasza wielka artystka jest już babcią, trzeba wiedzieć, jak jej z tem do twarzy, gdy śliczny, jasnowłosy chłopczyk, mały Modrzejewski pieści się z nią, — i gdy ona chce się nastroić do tej powagi babki, co się jednakowoż serdecznie nie udaje.

W niedzielę wystąpiła ona w roli królowej Jadwigi, w sztuce „Jadwiga, królowa Lechitów“, napisanej przez pana Szczęsnego Zahajkiewicza. Rzecz, jakkolwiek nie mająca pretensyi do artyzmu, jednakowoż napisana z talentem, zresztą Modrzejewska potrafi zrobić i z Piosnki Wujaszka szekspirowską komedyę.

Amatorzy wywiązali się ze swego trudnego zadania znakomicie, a i sukces materyalny był olbrzymi, tak, że biblioteka parafialna, na której dobro przeznaczono dochód z przedstawienia, zbogaciła się o jakie tysiąc kilkaset dolarów,

W poniedziałek zwiedziłem chicagoskie polskie szkoły. Cóż tu za mnóstwo tego polskiego drobiazgu! Wszak w samej szkole św. Stanisława jest obecnie blisko 4 tysięcy dzieci!

Zwiedzaliśmy potem wspólnie z panią Modrzejewską dom sierót polskich, gdzie jej sierotki z wdzięczności za jej szlachetność, z jaką cały dochód pierwszego swego tutaj przedstawienia przeznaczyła dla nich, zgotowały serdeczną i rozrzewniającą owacyę.

Nadzwyczaj miłego wrażenia doznałem w wyższej szkole żeńskiej Sióstr Nazaretanek. Dzieweczki ubrane w bieli lub w kontusikach, powitały mnie mowami, i z odpowiedzi kandydatek nabrałem przekonania, że szkoła ta odpowiada w zupełności swemu szlachetnemu celowi. Była rzeczywiście wielka potrzeba takiej szkoły, aby dziewczętom naszym zapewnić wyższe wykształcenie i z całem uznaniem należy podnieść staranie Sióstr, a przedewszystkiem mateczki Maryi (Lubowidzkiej), która chce urządzić

http://rcin.org.pl

szkołę tę na wzór naszych wyższych żeńskich szkół, i zwróciła się nawet z tego powodu do naszej Rady szkolnej krajowej z prośbą o programy i wskazówki. Jest to rzeczą ludzkości popierać wszelkiemi siłami tego rodzaju szlachetne dążenia.

Lecz dość już o Chicago, czas nam przejść do Milwaukee.

„Gród Smietankowy“, „Niemieckie Ateny w Ameryce“, oto nazwy popularne ślicznego tego miasta nad Michiganem. Największy browar na całej kuli ziemskiej, piękne spacery i ulice, a przedewszystkiem dzielna, 35.000 głów licząca Polonia, ze stosunkowo znaczną ilością inteligencyi, trzymająca się razem, szanowana powszechnie, piastująca największą liczbę publicznych urzędów z wyboru ogólnego: oto dostateczny magnes, który mnie ciągnął do Milwaukee.

Opuściwszy więc dymy chicagoskie, pędzę na północ wśród preryi, porosłej tu i owdzie lasem, podobnym do parku. Od czasu do czasu sinieją nurty Michiganu, nad którymi wznoszą się wille nabobów chicagoskich, czernieje farma, otoczona uprawnemi polami, lub czernieje sadzą pokryty komin fabryczny. Chicagowianie twierdzą, że ich miasto będzie się powiększać w nieskończoność, że więc pochłonie we wzroście swym wszystkie sąsiednie wsie i miasteczka, że nawet kiedyś i Milwaukee będzie tylko przedmieściem chicagowskiem.

Całą piersią wciągam świeże powietrze stepowe, które mi jest tak przyjemne po kurzawie chicagoskiej, błądzę okiem po nieskończonym stepie, nareszcie odkrywam na północy chmurę dymu, z której wyłaniają się wieże, kominy, maszty i żagle.

To Gród Śmietankowy, największe miasto Wisconsinu, liczące przeszło $^1/_2$ miliona mieszkańców.

Na dworcu zastałem komitet z p. K. Neumanem na czele, bardzo zdolnym i zacnym redaktorem *Kuryera Polskiego* w Milwaukee. Powitanie było bardzo serdeczne, jak też w ogóle przez cały mój pobyt tutaj rodacy moi starali się przewyższyć jeden drugiego w gościnności. P. Ignacy Czerwiński, urzędnik sądowy z wyboru ludu, odstąpił mi swoje gustownie urządzone mieszkanie, a już w kilka chwil po mojem przybyciu pospieszyło wiele osób, ażeby uścisnąć rękę gościa z za Oceanu. Na czele wszystkich przybyli księża tutejsi (w Milwaukee jest 5 polskich parafij) i okoliczni, pod przewodnictwem ks. Gulskiego, bardzo zacnego

http://rcin.org.pl

i rozumnego kapłana, który w kapitule tutejszej piastuje godność konsultora, odpowiadającą stanowisku kanonika u nas.

Że Polonia tutejsza tak pięknie się prezentuje, że występuje zawsze w jedności i przy wyborach ważne zajmuje stanowisko, zdobywszy sobie więcej publicznych urzędów, niż w każdym innem mieście, nie wyjmując i Chicago, to ma zarówno do zawdzięczenia stosunkowo licznej swej inteligencyi, jak też i swym zacnym kapłanom, a przedewszystkiem ks. Gulskiemu, który swą wyrozumiałością i taktem umie pogodzić przeciwne sobie partye.

Dobrze mi tu więc jak w raju, bo w tak miłem towarzystwie przyjemnie zwiedzać miasto i okolice i studyować tutejsze stosunki.

Polonia zamieszkuje przeważnie południowo-zachodnią część miasta, zwłaszcza w okolicy ulicy Mitchel, zwaną „polish grand Avenue“, gdzie się znajduje najstarszy tutejszy kościół polski św. Stanisława. Ulice zamieszkane przez Polaków przedstawiają się bardzo schludnie i ładnie, domy są porządne, wygodne, ładnie urządzone, nikt by się nie spodziewał, że w pomieszkaniu dziennego wyrobnika znajdzie się i fortepian, na którym gra córka domu.

Oczywiście, że zaczynamy od zwiedzenia miasta. Położenie jest prześliczne, bez porównania piękniejsze od położenia „królowej Michiganu“. Nie płaszczyzna bowiem i moczarzyska mało co wzniesione ponad jeziorem, ale wysokie wzgórza lodnikowe stanowią teren miasta. Najpiękniejszy spacer jest w okolicy Prospect-Avenue, prześliczny skwer nad samym Michiganem ozdobiony we środku posągiem Juneau, pierwszego białego osadnika przed pięćdziesięciu laty w tem miejscu. Obok nas klomby kwieciste i zielona murawa, pod nami w dole śliczne, majestatyczne jezioro, w sąsiedztwie eleganckie wille i marmurowe pałace, których szczęśliwi mieszkańcy spoglądają z jednej strony na gustowną i prawdziwie pańską ulicę, z drugiej na niebieski Michigan.

Jedziemy dalej nad jeziorem na północ aż do Water-Works, gdzie potężne maszyny pompują wodę, w którą się zaopatruje całe miasto. Podobnie jak w Chicago, tak i tu nie używają do tego wody przybrzeżnej, tylko sprowadzają ją tunelem przeszło milę długim z odleglejszego miejsca jeziora. Na pomoście nad tunelem siedzą setki starszych i młodszych amatorów rybaków, oddających się z zapałem rybołostwu, które tu każdemu jest dozwolone.

http://rcin.org.pl

Uważałem, że najwięcej poławiają się okonie, i to w wielkiej ilości, tak że zajęcie to jest zarówno przyjemne jak i pożyteczne.

Wracając napowrót do miasta, jedziemy przez ludną Grand Avenue. Zarówno na tej, jak też na sąsiednich ulicach jest pełno pięknych sklepów, hoteli, a niektóre domy, jak n. p. wszystkie banki, mogłyby i w Europie uchodzić za piękne gmachy. Przedewszystkiem wpada w oczy na Wisconsin street, t. zw. Pabst-Building, olbrzymi klikunastopiętrowy gmach czerwony, z granitu i piaskowca, zbudowany przez Niemca, milionera Pabsta, właściciela browaru, o którym jeszcze będziemy mówić. Nie można powiedzieć, ażeby gmach ten w swym oryginalnym amerykańskim stylu był brzydki, — owszem wyróżnia się wcale korzystnie od innych tego rodzaju budynków Nowego Świata. Bo podczas kiedy dwudziestopiętrowe kamienice chicagoskie są po prostu olbrzymiemi pudełkami wznoszącemi się w obłoki, to tu przecież widać pewien zmysł piękna i harmonię linij. Środkowa część, przewyższająca skrzydła o kilka piętr, ma wystającą fasadę i kończy się u góry ostrą kopułą, otoczoną ze wszystkich stron tarczami z zegarami. Skrzydła dźwigają u góry ostrołukowe fasady, przypominające budowę staroniemieckich domów.

Zbaczamy do parku Schlitza (także Niemca, browarnika), bo z drewnianej wieży parku mamy prześliczny widok na miasto. Dużo ogrodów i drzew, domy zdają się tonąć w zieleni, — a do tego zwyczajem amerykańskim rozległość miasta jest nadzwyczajna, tak, że na tem miejscu pomieściłaby się wygodnie niejedna milionowa stolica europejska.

Jedziemy za miasto na zachód. Coraz to więcej zieleni, — coraz to więcej ogrodów i skwerów. Za godzinę przyjeżdżamy do domu inwalidów, położonego w rozkosznym parku. Starzy żołnierze wiodą tu spokojny, kontemplacyjny żywot. Spoczywając na zielonej murawie, przysłuchują się tonom muzyki, palą cygara, popijają piwo i dumają o świetnych dziejach wojny domowej, lub o walkach z Indyanami, których mordowali w imię cywilizacyi.

Nazajutrz rano pogrzeb biednego młodego wychodźcy, który spieszył za ocean, aby zdobyć sobie szczęście, a napotkał śmierć. Ze współczucia więc dla biedaka, którego kości spoczną zdala od ojczyzny w obcej ziemi, idę na pogrzeb, a przedewszystkiem na egzekwie do kościoła św. Jozafata. Dzielny to proboszcz ten ksiądz Grucza! Pobudował kościół, w parterze tegoż urządził

http://rcin.org.pl

szkołę, a obecnie się krząta nawet koło założenia wyższej szkoły, mianowicie przemysłowej, tak potrzebnej w tutejszych stosunkach.

Jedziemy za miasto na południe, gdzie Polacy zakupili sobie sto kilkadziesiąt akrów ziemi i założyli własny cmentarz. Wiele, bardzo wiele spoczywa tu naszych w lodnikowych szutrowiskach, — pierwsza generacya nie tak łatwo przywyka do zmiany klimatu i stosunków życiowych, — a z dzieci tej pierwszej generacyi umiera znaczny procent.

Kiedy się jest już na cmentarzu nowym i ubożuchnym, to najstosowniejsza pora, aby zwiedzić jako przeciwieństwo do tego cmentarz bogaczy, wspaniały i niewątpliwie najpiękniejszy, jaki, kiedykolwiek w życiu widziałem.

Jestto cmentarz t. zw. „Forest Home". Pomyślcie sobie przepyszny park ze staremi drzewami, z gęstwiną krzewów, z uroczemi wzgórzami i jeziorkami, z klombami o pstrych kwiatach, nad którymi bujają kolibry, a tu i owdzie w cieniu olbrzymiej sosny lub platana, wśród zielonej murawy lub kwiecistego wieńca ładny marmurowy, lub granitowy pomnik, a będziecie mieli pojęcie o cmentarzu Forest-Home.

Prerya za miastem jest z tego względu bardzo przyjemna, że obfituje w drzewa a nawet małe lasy, które przemieniają się zwolna w urocze parki.

Skutkiem więc tego sąsiedztwa stepów i jeziora, dalej skutkiem rozległości miasta jest powietrze w Milwaukee czyste, zdrowe i przyjemne. Po kurzawie chicagoskiej oddychałem tu więc pełną piersią, i przeżyłem kilka szczęśliwych dni w towarzystwie zacnych rodaków. Któż zdoła opisać te serdeczne pogadanki nasze, w których biedni wychodźcy wypytywali się o obecne stosunki kraju, te pełne poważnego nastroju uczty, rozpoczęte bankietem u ks. Gulskiego, te wycieczki pełne powabu w geologicznie ciekawe okolice miasta!...

Pewnego jednak poranku wymknąłem się sam niepostrzeżenie, bo po świetnej uczcie u ks. Górskiego, proboszcza przy kościele św. Stanisława, na której to miałem przyjemność poznać apostolskiego wikarego monsignora ks. Zeningera, wielkiego przyjaciela Polaków, czułem potrzebę zanurzenia głowy na jakiś czas w Michiganie i zaczerpnięcia świeżego powietrza.

Przepasałem więc młotek geologiczny i dalej na południowy Wschód nad niebieskie jezioro.

http://rcin.org.pl

Jestem już za miastem, gdzieniegdzie wznosi się tylko jakaś fabryka, lub szopa kolejowa, zresztą tylko piaski, pokryte ostrem krzewiem i wysokimi burzanami. Śliczne, nieskończone jezioro lśni w promieniach porannego słońca, jego fale uderzają z szumem i hukiem o brzeg wypłukując z niego lodonikowe szutrowisko. Wzdłuż bowiem jeziora ciągną się dyluwialne wzgórza, na których leży dalej na północy miasto, ich pionowe zerwy nad wodą okazują swą budowę geologiczną. Są to piaski, szutrowiska i glina lodnikowa, wszystko resztki po tych olbrzymich lodach, które tu niegdyś kraj pokrywały.

Więc błądzę wśród piasków i głazów a napawam się silnem powietrzem i z zachwytem spoglądam na lśniące nurty Michiganu, na których kołyszą się białe statki żaglowe. W stronie północnej wznoszą się na brzegu fabryki, wille i pałace, a ku Zachodowi rozciąga się prerya, ozdobiona tu i ówdzie grupami drzew.

Skierowuję swe kroki ku północy, i przychodzę nad cieśninę oddzielającą mnie od niewielkiej, zamieszkanej wysepki. Nie namyślając się wiele, siadam w pierwsze lepsze czółenko i przepływam na drugą stronę.

Na piaskach stoi cała grupa domków, ułożonych bez symetryi, bez ulic i placów. Gdzieniegdzie przed domkiem kilka nikłych kwiatków stara się wydobyć z piasku trochę życia i barw dla siebie; — na płotach wiszą olbrzymie siecie, snać to ludek rybacki. Kobiety i dzieci wypadają z chatek i ciekawie spoglądają na obcego przybysza, widocznie, że obcy zagląda rzadko kiedy na wysepkę. Lecz cóż to za język, który uderza o moje uszy? Niby polski, niby nie polski, wsłuchuję się lepiej, i poznaję wreszcie. „*Widzita wszak ci ledzie to belne knopy, to nasze kaszeby*“. Tak, to nasi poczciwi kaszubi, ci z Michiganu zrobili sobie Bałtyki osiedlili się na pustej wysepce, o którą się przedtem nikt nie troszczył. Obecnie niechcą miastu płacić podatków, bo twierdzą, że ta wyspa nie należy do miasta, tylko do Stanów Zjednoczonych, te ostatnie atoli tak się troszczą o posiadanie kaszubskiej wysepki, jak my np. o kraje podbiegunowe, odkryte przez wyprawę Weyprechta i Payera, więc szczęśliwi kaszubi tworzą udzielne państwo, i potrzeba tylko, aby sobie wybrali króla, a byłoby już na ziemi królestwo kaszubskie.

http://rcin.org.pl

Wszyscy bez wyjątku przywiązani są bardzo do Kościoła, należą do parafii, którą zarządza ks. Rogoziński, a jakkolwiek w Michiganie nie mają ani „flondry“ (*flunder*) ani swego ulubionego „zelanda“ (*Seehund* pies morski), to przecież mają szczupaki, karpie, okonie i tp., a to im zapewnia życie; zresztą są dookoła fabryki, w których można zarobić sobie ładny grosz.

Za mym powrotem przyjaciele moi ubawili się serdecznie em odkryciem przezemnie Kaszubii, i równocześnie oznajmili mi, że muszę wieczorem przemawiać na mityngu, gdyż nie tylko kaszubi, ale i inni Polacy chcą powitać, chcą widzieć i słyszeć gościa, przybyłego ze starego kraju. Trzeba bowiem wiedzieć, że tu w Stanach Zjednoczonych, w obec tak potężnie rozwiniętego politycznego życia, wszystko zaczyna się i kończy „meetingiem“, a mowy miewa się przy każdej sposobności.

Przyjęcie odbyło się w pięknej i olbrzymiej polskiej hali t. zw. hali Kościuszki, i było nad wszelki wyraz wspaniałe.

Zaledwie wieczorem pierwsze zabłysły światła, już przybyła przed me mieszkanie gwardya Kościuszki IV. pułku milicyi Stanu Wiskonsin, pod komendą kapitana Słupeckiego. Jestto jedyny polski oddział w Winkonsinie, który stanowi część milicyi państwowej, ma więc uniform i broń milicyi, a komendę angielską. Oprócz tego przybył korpus rycerzy św. Stanisława, którzy w swych strojnych uniformach i w swych lśniących hełmach, bardzo się pięknie przedstawiają.

W towarzystwie więc obu tych oddziałów, które przywitały gościa z dalekiego kraju honorami wojskowymi, udałem się do pięknie przystrojonej hali Kościuszki. Głowa przy głowie, czekało tu kilka tysięcy ludzi podczas gdy drugie tyle, dla braku miejsca, zalegało sąsiednie ulice.

Mowy przeplatane produkcyami spiewu Towarzystwa „Harmonii“ zajęły kilka godzin czasu.

Następnego dnia miałem ten zaszczyt być na posłuchaniu u arcybiskupa ks. Katzera. Poznałem w nim nadzwyczaj sympatycznego i wysoce uczonego człowieka, któremu katolicy w milwauckiej dyecezyi mają wiele do zawdzięczenia. Kiedy mu wyraziłem najżywszą podziękę za jego szczególniejszą życzliwość dla mych rodaków, odpowiedział ks. arcybiskup, że nasi ludzie zasługują zupełnie na to odszczególnienie, gdyż są bogobojni, porządni i pracowici. Podniósł przy tem, że wielką pod tym względem

http://rcin.org.pl

zasługę mają polscy księża w Milwaukee, którym wystawił jak najpochlebniejsze świadectwo.

Po audyencyi spędziliśmy z ks. arcybiskupem i w towarzystwie monsignora i naszych księży przy kielichu węgrzyna, przyjemną godzinkę.

Łaskawy czytelnik, przywykły do naszego europejskiego ceremoniału i etykiety, zdziwiłby się niepomału na widok tutejszej prostoty obyczajów. Do najwyższych dygnitarzy wchodzi się bez zapowiedzenia się, w zwykłym spacerowym stroju, rozmawia się poufnie jak ze swym przyjacielem. Toż samo i mieszkania są bardzo skromne, i rzeczywiście my Europejczycy wydziwić się nie możemy, że gubernatorowie, prezydenci stanów, książęta kościoła, mieszkają tak skromnie.

Monsignore Zenninger był tak grzeczny, że mnie zawiózł do nowo budującej się rezydencyi arcybiskupiej w zachodniej części miasta. Wśród ładnego parku wznosi się dość obszerna i dość wygodna willa, przeznaczona na rezydencyę, jednakowoż ja mogę śmiało powiedzieć, że nasi księża mieszkają tu, jeśli nie lepiej, to z pewnością nie gorzej.

Lecz jakżeż rozstać się z grodem Śmietankowym, nie oglądnąwszy wprzód browaru Pabsta!.... Browar Pabsta!.... wszakżeż to duma każdego Milwauczanina, wszakżeż to osobliwość „number one“. Ma to być rzeczywiście największy browar na kuli ziemskiej, bo wyrabia rocznie coś około 2 milionów hektolitrów piwa. Zajmuje 16 bloków i stanowi jak gdyby jakieś osobne miasto, gdyż 1500 ludzi pracuje tu dzień i noc. Grzeczny monsignore objął rolę przewodnika, i rzeczywiście nie łatwa to rzecz zoryentować się w tych licznych, kilkunastupiętrowych gmachach, połączonych z sobą mostami, zawieszonymi wysoko w górze nad ulicami. Będąc fachowym tylko w konsumowaniu, nie zaś w fabrykowaniu piwa, nie kuszę się bynajmniej o opis tych maszyn, tych kotłów olbrzymich, tych wielkich lodowni i nadzwyczaj sprytnie urządzonych przyrządów napełniania, korkowania flaszek i t. p., bo nie podołałbym temu zadaniu, powiem tylko tyle, że wszystko jest imponujące. Każdy gość, zwiedzający browar, otrzymuje całą kolekcyę pamiątek, a mianowicie książeczki z obrazkami browaru i innych budynków Pabsta; małe, zgrabne flakoniki z piwem, pudełka metalowe na zapałki, — a nawet — jeżeli się jest gościem znaczniejszym, srebrną łyżeczkę.

http://rcin.org.pl

Poznałem przy tej sposobności i samego p. Pabsta, szczęśliwca, który mówiąc po amerykańsku „jest wart“ 30 — 40 milionów dollarów. Dzieje jego życia są takie same, jak wszystkich zbogaconych Amerykanów: zaczął prawie niczem. Po swem przybyciu do Ameryki piastował skromny urząd kapitana maleńkiego statku na Michiganie, później ożenił się z córką browarnika i to było pierwszym krokiem do jego fortuny, gdyż zaczął się uczyć piwowarstwa. Zrazu nie szło zbyt świetnie, dowodzi tego najlepiej fakt, że obaj wspólnicy rozwozili własnoręcznie piwo zgotowane przez siebie po mieście na taczkach, z czasem jednakowoż zaczęło iść lepiej, i książęca fortuna ukoronowała wreszcie pracę. Nie potrzeba jednakże sądzić, że człowiek, który ma naszą monetą około 100 milionów majątku, jest w czemkolwiek bądź podobny do naszych europejskich magnatów. Jest on sobie skromnym, prostym a serdecznym Germanem, który uważa siebie za pierwszego robotnika w swym wielkim interesie. „Słuchaj Pabst“ powiada jeden z naszego towarzystwa do niego, „my nie chcemy twego piwa, daj nam raczej dobrego wina importowanego z Europy“. „Moi kochani“ odpowiada Pabst, o 12ej godzinie mam mityng, polityka jest rzecz święta, dlatego darujcie, że na godzinkę was opuszczę, ale idźcie tymczasem do mego hotelu, i tam wybierajcie sobie, co kuchnia i piwnica mają najlepszego“. Oczywiście, że przyjmujemy łaskawe zaproszenie z wdzięcznością, i gospodarujemy w hotelu w straszliwy sposób.

Oprócz Pabsta jest jeszcze kilku innych zamożnych Niemców browarników, jak Blatz, Schlitz i t. p. W ogóle Milwaukee jest miastem przeważnie niemieckiem, bo z pewnością połowa wszystkich mieszkańców jest niemieckiej narodowości. W publicznych miejscach słychać prawie wyłącznie język niemiecki, i jako żarcik opowiadają tu ogólnie, że do niedawna były po sklepach napisy „english spoken here“. Jest tu też stały wcale dobry teatr niemiecki z filią w Chicago.

Lecz czas mi na Południe. Więc świetnym bankietem w hotelu Pabsta żegnają mnie rodacy, jeszcze raz serdeczny uścisk rąk, ogólny okrzyk „Do widzenia się na drugi rok podczas wystawy“, i piękny Gród Śmietankowy zniknął mi w mgle wieczornej.

---

http://rcin.org.pl

X.

ST. LOUIS (MISSOURI).

23 września 1892.

Nareszcie i mnie spotkał zasłużony los wzięcia udziału w amerykańskim wypadku kolejowym. Byłoby to rzeczywiście nieprzyjemną rzeczą dla podróżnika, aby jeżdżąc tyle po Ameryce nie przeżył choć jednego z tych straszliwych wypadków, o których tyle piszą dzienniki. Na szczęście wyszedłem cało z przygody, nie doznałem chociażby najmniejszego zadraśnięcia, nie mogę więc skarżyć o odszkodowanie, co mi bardzo przykro, bo kilka tysięcy dolarów przydałoby mi się bardzo na powrót do Europy.

Otóż rzecz się tak miała:

Zatęskniwszy do upałów, do słonecznego południka, do mętnego „ojca strumieni“ wybrałem się pewnego pięknego poranku przed kilku dniami w podróż na południe koleją, „Atchison-Topoka Santa Fé Rr.“ Nieoceniony przyjaciel mój p. skarbnik Kiołbasa, który się rzeczywiście poświęca dla mnie, towarzyszy mi i tym razem jako serdeczny mentor i przyjemny cicerone.

Jedziemy więc. Sporo czasu upływa, nim Chicago zniknie, bo też rzeczywiście to miasto bez początku i końca. Więc pędzimy po pod wielkie huty żelazne, obok których piętrzą się całe stosy i góry znakomitej rudy (hematytu) przywiezionej tu z nad Górnego Jeziora, przecinamy „swamps“ (błota) mijamy wilgotny „Columbia Park,“ wszystko to jeszcze Chicago.

Nareszcie i prerya; Chicago zostało za nami w dymie i kurzawie.

http://rcin.org.pl

Okolica staje się powabniejszą, bo oprócz preryi widzimy i lesiste wzgórza zbudowane ze skał formacyi kamienno-węglowej. W odległości 29 mil od Chicago mijamy miasteczko Lemont i wyglądamy ciekawie przez okno pociągu, bo ten kościółek na wzgórzu to polski, a ci robotnicy w kamieniołomach to Polacy, którzy tu się zjednoczyli w małą parafię.

Za miastem widzimy roboty około kanału, który połączy Chicago z Missisipi. Żałuję, że dla braku czasu nie mogę się szerzej rozpisać o tem gigantycznem przedsiębiorstwie, które będzie miało nadzwyczajne znaczenie dla rozwoju miasta. Kanał będzie takich rozmiarów, że nawet większe okręty będą mogły płynąć z Chicago do Nowego Orleanu, a przytem nastąpi i gruntowne odwodnienie miasta, co ze względów zdrowotnych jest wielkiej wagi. Dotychczasowy kanał jest tak mały, że nie odpowiada ani jednemu ani drugiemu zadaniu.

Mijamy stacyę Jolliet, ładne miasteczko, w którem sto polskich rodzin krząta się około założenia własnego kościółka i parafii.

Za miastem wpada w oczy wielki gmach otoczony wysokim murem, po którym przechadza się straż, — to „Penitentiary.“

Obok Coal City widać znaczne kopalnie węgla po obu stronach toru kolejowego. Dalej wzgórza znikają, a na ich miejsce przychodzi prerya. Niezmierne łany kukurudzy rozciągają się dokoła, i tylko tu i owdzie przeziera zagroda lub domek farmera.

Robi się gorąco, więc rozparłszy się wygodnie w fotelach palimy cygara i popijamy piwo z lodu, bawiąc się gawędką i spoglądając na okolicę. Nagle gwałtowne wstrząśnienie całego pociągu, uderzamy głowami o siebie, szklanki i flaszki spadają ze stolików a kuferki z półek, ogólny krzyk, wóz się przechyla i cały pociąg staje. Wybiegamy co żywo z wozu i spostrzegamy dzieło zniszczenia. Pociąg się wykoleił, oś u maszyny pękła, a tender rozsypał się w kawałki. Na szczęście kolej ta uważała za zbyteczne budować nasyp, więc cały pociąg ugrzązł od razu w błocie, i skutkiem tego nikt nie odniósł znaczniejszego szwanku.

Trudna rada!... jesteśmy w polu w pośród nieprzejrzanych łanów kukurudzy. Połndniowe słońce pali żarem, ale nie ma innej rady, potrzeba iść piechotą do najbliższej o dwie mile odległej stacyjki Dona.

http://rcin.org.pl

O gorżka ironio ! Na drewnianej budce, zastępującej dworzec widnieje wielki anons: *The Atchison Topoka and Santa Fè Rr. is the best railroad in the world.* Tu już nawet p. skarbnik, zapalony miłośnik Ameryki, z którym zawsze się sprzeczamy o to amerykańskie *best in the world* wpadł w gniew, nawymyślał całej kompanii i zaklął się, że tą „gałgańską“ koleją więcej jeździć nie będzie, albowiem mieliśmy sposobność oglądać tę parodyę toru kolejowego o popękanych szynach i pogniłych progach.

Czekamy więc cierpliwie i z nudów chodzimy po farmach. W sąsiedztwie obok miasta Peoryi jest polska kolonia składająca się z około 100 farmerów, którym się nieźle powodzi. Głównym produktem rolnym jest kukurudza, jakkolwiek i inne zboża udają się tu wyśmienicie. Zjadamy w farmie obfity obiad i nareszcie jedziemy dalej osobnym pociągiem, wysłanym umyślnie po nas z najbliższej większej stacyi.

Pędzimy przez okolicę lesistą obok miejscowości Eureka, następnie mijamy fabryczne miasteczko Peorie, położone bardzo malowniczo nad rzeką Illinois R. Wyrabiają tu wiele wódki, dokąd spojrzeć, wszędzie gorzelnie obok tego i nieco cukrowni, gdyż na wilgotnych miejscach udaje się tu bardzo dobrze trzcina cukrowa.

Niestety, noc zapadła, więc nie mogłem widzieć dalszej okolicy, dopiero po pierwszej godzinie w nocy zaturkotał pociąg po olbrzymim moście na Missisipi i stanęliśmy w St. Louis, w głównem mieście państwa Missouri. Mimo spóźnionej pory oczekiwało nas na dworcu liczne grono Polaków z p. Rychlickim na czele, — wszyscy niespokojni o mnie — gdyż wieść o wypadku kolejowym poprzedziła nas.

Miasto St. Louis należy do najbrzydszych miast amerykańskich, jakie kiedykolwiek widziałem. Właściwie nie ma i jednej części, o której możnaby powiedzieć, że jest ładna, tylko niektóre ulice w pobliżu Forest Park są czystsze, mają kosztowne, chociaż niegustowne domy. Zresztą błoto, brud i śmiecie, jak rzadko gdzieindziej.

Do tego i ten nudny Missisipi nie przyczynia się wcale do upiększenia miasta. Brzydszej rzeki nie ma z pewnością na całej kuli ziemskiej; jestto poprostu olbrzymia leniwo płynąca kałuża, o niskich, smutnych, błotnistych brzegach, na których czyhają moskity, malarja, a dalej na południu i żółta febra.

http://rcin.org.pl

Starożytna część miasta nad rzeką o wązkich uliczkach i dość pokaźnych domach jest obecnie prawie niezamieszkaną, gdyż tu są tylko składy i handle *en gros*.

Polaków jest tu kilka a może i kilkanaście tysięcy, kupią się oni przeważnie obok ładnego, niedawno poświęconego kościoła św. Stanisława, którego wzniesienie zawdzięczyć należy zarówno ofiarności parafian, jak też i energicznemu krzątaniu się ks. Stanowskiego. Mają już dużo własnych murowanych domków, których wewnętrzne urządzenie przechodzi zupełnie nasze europejskie pojęcie o mieszkaniach wyrobników i robotników.

Zwiedzałem kilka takich pomieszkań, widziałem wszędzie przyzwoite meble, dywaniki, a nawet i fortepiany, z których córka domu wydobywała na cześć moją przecudne tony boskiej „Modlitwy dziewicy".

Lecz żart na bok. Nie ulega wątpliwości, że u nas w Europie robotnik i za sto lat nie będzie się tak miał, jak w Ameryce obecnie. Polacy stoją stosunkowo najgorzej, raz, że pobierają niższe wynagrodzenie aniżeli, inne narodowości (a to szczególnie z powodu nieznajomości języka) a powtóre, że przez zakładanie parafij, budowanie kościołów, jednoczenie się w towarzystwa, tak się dobrowolnie opodatkowują, że prawie połowę ciężko zapracowanego swego zarobku oddają.

Zwiedzamy miasto. Otwarcie powiedziawszy nie ma nic do widzenia. Ulica jedna jak druga, z publicznych gmachów może tylko Court-House, w stylu kapitolów amerykańskich, zasługuje na uwagę. Do tego to bezmyślne amerykańskie zastępowanie nazw ulic liczbami: jestto jakgdyby się wszystko złożyło na to, ażeby każdej ulicy odjąć cechę samodzielności.

Dlatego każda wycieczka nasza kończy się o ile możności najprędzej wyszukaniem jakiegoś prywatnego lokalu, gdzie przy ostrygach i importowanem winie krytykujemy miasto i jego porządki.

Za to wieczór jest cudowny. Z powodu jubileuszu kolumbijskiego kupcy tutejsi urządzili na własne koszta przepyszne oświetlenie miasta, powtarzające się co kilka dni. Szczęśliwym losem trafiłem zaraz drugiego dnia mego tamże pobytu na takie oświetlenie. Widok prawdziwie przepyszny. Te, różnokolorowe świetlane girlandy wzdłuż i na poprzek ulic, ta ognista kula ziemska obracająca się wysoko nad gmachami miasta, ten okręt

http://rcin.org.pl

Kolumba „Santa Maria“ płynący w powietrzu, model nowojorskiego posągu wolności cały w płomieniach, ogniste flagi amerykańskie i t. p. szopki, są rzeczywiście czarująco piękne.

Na drugi dzień zwiedziliśmy wystawę stanową. Oczywistą rzeczą, że przedewszystkiem interesowałem się dziełami sztuki i byłem zdziwiony, — kiedy wszedłszy do tegoż oddziału zobaczyłem na ścianach wielką liczbę obrazów. Po bliższem oglądnięciu jednak wykazało się, że to wszystko dzieła europejskich artystów, i tylko kilka miernych obrazków, przedstawiających sceny z wojny o niepodległość stanowiło i to całe zastępstwo sztuki amerykańskiej.

Koroną wystawy są koncerty kapeli Gillmora, składającej się ze stu członków, i zasługującej rzeczywiście na wszelkie uznanie, rzecz u kapeli amerykańskich bardzo rzadka. Inne części wystawy, jak maszyny, wyroby przemysłowe i t. p. przedstawiają chyba dla fachowego coś ciekawego.

Zwiedzamy oba potężne mosty nad Missisipi, wodociągi miejskie, instytucye naukowe, a przedewszystkiem wyższą szkołę OO. Jezuitów, gdzie zastałem właśnie Ojca narodowości polskiej (niestety zapomniałem nazwisko) porządkującego zbiory mineralogiczne.

Oczywistą rzeczą, że Polacy, chcąc mnie przyjąć i poznać, urządzili mityngi, bo tu w Ameryce bez mów i mityngów nic obyć się nie może. Najświetniejszym był mityng, dany przez Związkowców, na którym się zjawiły wszystkie Towarzystwa, należące do Związku, ze swymi sztandarami i odznakami. Wypowiedziano wiele pięknych mów, przedewszystkiem mowy pp.: Rychlickiego, Ossowskiego, Jakubowskiego i Tomaszewskiego, odznaczały się piękną formą i patryotyczną treścią.

Po mityngu zabawialiśmy się do późna w nocy w gościnnym domu państwa Gąsiorowskich, gdzie niejeden puhar spełniono na moje zdrowie, na zdrowie rodaków na dalekim Wschodzie. Najlepszym dowodem entuzyazmu obecnych był fakt, że postanowili dzień mego przybycia do St. Louis obchodzić odtąd uroczyście. Ze łzami w oczach uściśniono mi na pożegnanie rękę, a i ja sam, spoglądając po za siebie, kiedy pociąg z hukiem pędził po nad ojcem strumieni, oddałem się rzewnemu uczuciu, bo też te poczciwe polskie serca wszędzie są jednakowe, czy to nad Wisłą, czy też nad Missisipi.

---

http://rcin.org.pl

XI.

CHICAGO.

30. września 1892.

Chicago.... i jeszcze raz Chicago.... Tak kochany czytelniku! Nie łatwo to wyrwać się z tej potężnej stolicy zachodu, nie tak to obojętnie można powiedzieć tylu drogim przyjaciołom: „bywajcie zdrowi, — już jadę,“ więc przyczynia się jeszcze dzień i jeszcze jeden, — aby tylko można powiedzieć: Drodzy moi, ja jeszcze jutro z Wami, — o pojutrze nie myślmy.

Rzeczywiście! Pokochałem tę stolicę Polonii Amerykańskiej, drugiej po Warszawie na całej kuli ziemskiej co się tyczy liczby polskich mieszkańców, pokochałem te zacne polskie dusze, które tu poznałem, czuję się tu jak w domu, gdyż oczywistą rzeczą, że nigdzie zresztą w całej Ameryce nie ma tyle polskiej inteligencyi, co właśnie tutaj.

Trudno bez rozrzewnienia spoglądać na fakt, jak człowiek rzucony tu dzieckiem w czasach, kiedy jeszcze ani szkół polskich, ani w ogóle Polonii nie było, stara się teraz nauczyć po polsku i garnie się do rodaków, chociaż wzrósł i wychował się w obcym żywiole, trudno nie oddać hołdu, gdy się widzi jak zacni ludzie walcząc tu zrazu z niedostatkiem, niezaniedbali synowi dać takiego wychowania, że ten mimo przyjemnej, pozycyi jaką tu zajmuje, uważa za ideał swych życzeń i marzeń powrót do kraju.

Nie wymieniam nazwisk, gdyż przepominając kogoś, zrobiłbym mu krzywdę, ja chcę wypowiedzieć na tem miejscu moje najżywsze uznanie wszystkim, którzy na to zasłużyli.

A więc ostatnie dni w Chicago! Tyle jeszcze do zwiedzenia.... Wszakże przedewszystkiem północna część miasta z par-

http://rcin.org.pl

kiem Linkolna. Jest to niewątpliwie najpiękniejszy zakątek w całym Chicago. Tutaj bowiem wyjątkowo nie ma nad jeziorem ani kolei, ani magazynów i bruku, tylko śliczny skwer, eleganckie pałace, młody ale przepiękny park z posągami Garfielda. Linkolna i t. p. Co tu za powietrze, jaka woda śliczna, jaka zieleń rozkoszna! Nawet wierzyć się nie chce, że to jest to samo zadymione, brudne Chicago, zakryte opodal nieprzeniknioną kurzawą. Są tu i rozkoszne miejsca rozrywki, cieniste ogrody, gdzie siedząc w gorąco letnie nad samem jeziorem, słucha się muzyki i pije się coś chłodnego.

Pan skarbnik Kiołbasa łamie sobie głowę nad tem, ażeby broń Boże nie uszło coś mej uwagi, idziemy więc i do Stock Yards, gdzie na poczekaniu zabija się i sprawia tysiące sztuk świń i bydła rogatego, i do muzeum wojennego, gdzie znajduje się wszystko, począwszy od podkowy konia Washingtona, aż do stryczka, na którym powieszono słynnego rebellanta. Zwiedzamy więc sławne panoramy „Chicago-Fire“ i „Battle of Gettysburg.“ Lecz nie koniec na tem, bo wieczorem chodzimy do teatrów. Niestety, największy teatr „Auditorium“ jeszcze zamknięty, wszystkie zaś inne są maleńkie, nie większe od naszego lwowskiego, mimo szumnych nazw. W „Grand Opera House“ widziałem operetkę „Ali Baba,“ największą szopkę sceniczną, jaka tylko istnieje pod słońcem, w innych rozmaite komedyjki i dramaciki, wszystko nie szczególnej wartości.

Główne ulice Chicago jak State, Wabash etc. wyglądają wieczór w swej najruchliwszej części przepysznie, bo to morze świateł elektrycznych podnosi tylko dodatnie strony, a zakrywa ujemne, więc z prawdziwą rozkoszą jeździmy jednokonnym buggy z kochanym mym przyjacielem, Jasiem Smulskim, po ulicach, oglądając wszystko i wstępując od czasu do czasu dla ochłody do eleganckich, marmurowych i złoconych „salonów“.

Tożsamo i życie nocne w tej metropolii amerykańskiej jest bardzo zajmujące Więc.... lecz *stop!..* tam do licha byłbym się ładnie wygadał, spuśćmy więc na to zasłonę....

Towarzystwo im. Tomasza Zana zaprosiło mnie na przedstawienie amatorskie. Grano „Dramat Jednej nocy“, i „Consilium facultatis“. Ja zawsze utrzymuję, że tutejsi Polacy mają nadzwyczajne zdolności dramatyczne. Tacy amatorzy jak Smulski, Wojnicki i wielu innych, mogliby całkiem dobrze uchodzić za

http://rcin.org.pl

artystów z zawodu. Po teatrze odbył się bal, i muszę przyznać, że byłem zdziwiony dobrym tonem i przyzwoitem zachowaniem się uczestników. Trzeba bowiem wiedzieć, że większa połowa gości to prości robotnicy, którzy do niedawna jeszcze gwizdali, hałasowali i bili się na takich balach. Jestto wielka zasługa inteligencyi chicagowskiej, że mięszając się między lud daje mu przykład, jak się należy zachować, i wpływa wiele na ogładę półdzikich amerykańskich obyczajów.

Rząd centralny Związku narodowego pożegnał mnie uroczyście 27 września wręczając dyplom na członka honorowego wraz ze złotą odznaką. Prezes p. Satełecki raczył podnieść me nieznaczne zasługi na polu wiedzy polskiej i me usiłowania dla dobra emigracyi polskiej. Przyjąłem ten niezasłużony przezemnie zaszczyt wdzięcznem sercem, obiecując stać się godnym tegoż. Po tej uroczystości nastąpił bankiet, który w obec serdecznego nastroju uczestników przeciągnął się aż do późnego wieczora.

Tożsamo i ze strony komitetu budowy pomnika Kościuszki spotkał mnie niezwykły zaszczyt. Komitet ten ze swym zacnym prezesem p. Brodowskim i sekretarzem dr. Midowiczem na czele rozpisał — jak to już z gazet wiecie — konkurs na tenże pomnik i zaszczycił mnie pełnomocnictwem do działania w jego imieniu; nie omieszkam zarządzić natychmiast co potrzeba, skoro tylko powrócę do Lwowa.

Lecz piękne dni moje w królowej Michiganu już się mają ku końcowi. Polacy Chicagowscy postanowili pożegnać mnie uroczyście. Pożegnanie to nastąpiło 29 września i było rzeczywiście imponujące, godne polskiej stolicy w Ameryce: godne zakończenie tego przyjęcia, jakie mi Chicago zgotowało.

Że uroczystość ta przyszła do skutku, mam zawdzięczyć zacnym przyjaciołom moim, polskiej inteligencyi miasta, a przedewszystkiem ks. Wicentemu Barzyńskiemu i p. W. Smulskiemu, którzy byli inicyatorami i duszą wszystkiego.

Dnia 29 września w południe rozpoczęła się uroczystość bankietem w sali Kościuszki, do którego zasiadło stu kilkudziesięciu mężczyzn, kwiat polskiej inteligencyi chicagowskiej. Toasty rozpoczął ks. Barzyński, na co ja odpowiedziałem pijąc zdrowie polskich obywateli miasta Chicago.

Prześliczny toast miał p. Brodowski; w podniosłych słowach uczcił ideę połączenia duchowego Polonii Amerykańskiej z krajem.

http://rcin.org.pl

Hr. Łubieński wzniósł toast na cześć prasy polsko-amerykańskiej, p Drzymała pił w imieniu młodej generacyi na pomyślność idei narodowej, p. prezes Satałecki na szczęśliwe uwieńczenie naszych usiłowań, p. Zahajkiewicz wypowiedział rymowane „kochajmy się“ i t. p.

Po bankiecie wszyscy uczestnicy udali się na podwórze obszernego gmachu, gdzie sporządzono ku wiecznej pamięci tego dnia wspólną fotografią obecnych, poczem powrócono do sali, gdzie się odbyły popisy dzieci szkolnych.

Rozpoczęli chłopaki spiewem, deklamacyą, produkcyą gimnastyczną, wszystko pod kierownictwem zacnego nauczyciela p. Zahajkiewicza, który udowodnił, że nie żałuje ani pracy ani poświęcenia, aby młodą generacyę wychowywać na dzielnych obywateli Stanów Zjednoczonych i dobrych Polaków.

Po chłopakach przyszła kolej na dziewczątka. Więc najprzód starsze w bieli i szarfach narodowych spiewały polskie pieśni i deklamowały po polsku i po angielsku, potem jedna po stosownej przemowie wręczyła mi kosz kwiatów.

Koroną atoli wszystkich produkcyi były ćwiczenia gimnastyczne t. zw. „Columbian Drill“ najmłodszych dzieweczek szkolnych, które przebrane w stroje narodowe, wykonały rzeczywisty i zachwycający balet. Trudne do uwierzenia, z jaką śmiałością i precyzyą dzieciaki, zaledwo od ziemi odrosłe, wykonywały wszystkie ruchy, marsze i grupy w takt muzyki, bez żadnego kierownictwa. Zarówno ja, jak i wszyscy obecni, byliśmy zachwyceni, i oddaliśmy należny hołd siostrom Nôtre-Dame, które widocznie z poświęceniem i z dobrym skutkiem oddają się wychowaniu powierzonej sobie młodzi.

Wieczorem odbył się wielki massmeeting. Olbrzymia hala Kościuszki była przepełnioną, naliczono około 6000 osób, a wiele musiało odejść dla braku miejsca. O godzinie 8-ej wprowadził mnie komitet na salę, gdzie szpalerem ustawiły się rycerstwa, Towarzystwa kościelne ze swymi marszałkami, wszystko w pełnej gali. Wśród dźwięków muzyki i prezentowania broni udałem się na przeznaczone miejsce, i mityng się rozpoczął chórami męskimi i damskimi. Kapelmistrz, pan Kwasigroch, złożył dowód nietylko wielkiego talentu i wykształcenia muzykalnego, ale także i uczciwej pracy, pełnej poświęcenia, gdyż rzeczywiście w krótkim czasie zrobił bardzo wiele.

http://rcin.org.pl

Szereg mów rozpoczął ks. W. Barzyński w sposób bardzo poważny, na temat wiary i ojczyzny. Prawdziwie wzruszającemi były przemówienia reprezentantów młodzieży, którzy zapewniali o swych niezmiennych uczuciach dla kraju, a poczciwe serca młodzieży najlepiej charakteryzuje mały epizod, mianowicie, że pan Jóźwiakowski, deklamując bardzo piękny wiersz p. Zahajkiewicza: „Ja się szczycę, żem Polakiem“, zalał się łzami, tak, że zaledwie mógł dokończyć.

Z kolei nastąpiła musztra krakusów i rycerstwa, a wreszcie polskich kadetów. Trzeba bowiem wiedzieć, że przy parafii św. Stanisława istnieje korpus kadetów, składający się z kilkuset członków. Jest to prawdziwa przyjemność widzieć dziarskich chłopaków w ich strojnych uniformach żuawów, strzelców i t. p. jak to się dzielnie musztruje, nie ustępując w niczem staremu żołnierzowi.

Nareszcie przyszła kolej i na gościa z za Oceanu. Wprowadzono mnie więc na trybunę, w towarzystwie kleru, marszałków Towarzystw kościelnych, poprzedzających nas z buławami w ręku, dziewczątek w bieli i t. p. Chór pań zaśpiewał powitalną pieśń, i wręczył mi bukiet, więc wzruszony, przemówiłem jak umiałem i jak mogłem.

Przemawiali po mnie jeszcze najstarsi obywatele, opowiadając dzieje kolonij polskich w Ameryce, nareszcie odspiewaniem hymnu narodowego zakończyła się ta piękna uroczystość, której pamięć pozostanie długo niezatarta w sercach uczestników.

Cóż więcej powiem? Ostatniego września odprowadziło mnie liczne grono przyjaciół na dworzec „Lake Shore R. r.“ Jeszcze jeden pożegnalny puhar, jeszcze uściski ręki, jeszcze raz serdeczne zaproszenie na drugi rok, podczas wystawy, nietylko mnie, ale tych wszystkich, którzy ze mną przyjadą, — i pociąg przemocą wyrwał mnie z tego drogiego grona przyjaciół, w którem mi było tak serdecznie, tak dobrze!....

---

http://rcin.org.pl

XII.

PITTSBURG (PENSYLWANIA).

7 października 1892.

Smoky city!... „Miasto dymu“, oto popularna nazwa Pittsburga w całych Stanach Zjednoczonych, i muszę przyznać, że zasłużona. Czarny, węglowy duszący dym, to główna treść miasta. Siedzę w parterze hotelu Monongahela nad rzeką tej samej nazwy, spoglądam przez okno i widzę przed rzeką, za rzeką, na dole, na górze, wszędzie dym i dym. Nie wątpię, że jest słońce na niebie, wszak jasno i ciepło, ale słońca nie widać, bo cały firmament to jedna gęsta masa dymu.

Nie pojmuję jak tu można dłuższy czas wytrzymać — człowiek chodzi zawsze jak kominiarz, o czystym kołnierzyku nie ma mowy, choćby go zmieniać co godzina, a dość jest ręką pociągnąć po twarzy, aby wyglądać jak mulat lub tatuowany Papuańczyk.

Jeszcze nigdy w życiu nie widziałem tyle fabryk razem obok siebie, jak tu — spoglądając nocą na miasto ma się wrażenie olbrzymiego pożaru, bo wszędzie ogień odbija krwawą łuną od gęstych kłębów dymu lub pary.

Jestem w środku bogatej, szczęśliwej Pensylwanii. Tutaj przyroda szczodrą ręką wysypała swe dary: żyzne pola, soczyste łąki, piękne lasy, urocze wzgórza, pełne podziemnych skarbów, a przedewszystkiem węgla, nafty i żelaza. Nie dziw więc, że Amerykanin z gorączkowym pospiechem stara się wszystko wydobyć i zużyć — więc warczą koła, szumią parowe maszyny, żarzą się ogniska i dymią kominy.

http://rcin.org.pl

Tak!... jestem w Pensylwanii, już tylko 12 godzin drogi od wybrzeży Atlantyku. A tam za Atlantykiem w dalekim wschodzie leży *home*, *my sweet home*, do którego rwie się serce.

Kiedy okręt wojenny po długiej żegludze dookoła ziemi zwraca po raz pierwszy — dziób swój w kierunku ojczystych brzegów, natenczas stosownie do ogólnie przyjętego zwyczaju, załoga wywiesza olbrzymią flagę, spadającą ze szczytu najwyższego masztu aż do poziomu morza, i oddaje się radości, bo jakkolwiek tysiące mil oddzielają jeszcze statek od ojczyzny, to przecież odległość z każdą chwilą się zmniejsza, i można już obliczyć czas, kiedy drogie wybrzeża wynurzą się nareszcie ze szmaragdowych toni morskich.

Przypominam sobie, że w ubiegłym roku doznałem pod koniec mej pierwszej amerykańskiej podróży podobnego uczucia. — Kiedy pewnego jasnego jesiennego poranku wyjrzałem z wozu sypialnego przez okno i zobaczyłem, że pociąg pędzi po dzikiej pustyni Arizony ku wschodzącemu słońcu, natenczas rozkoszne drżenie wstrząsnęło mem sercem, w oczach zakręciły się łzy, a z piersi uleciało westchnienie: Na wschód, na wschód do Atlantyku, do Europy!... Jeszcze tysiące mil potężnego kontynentu Ameryki, tysiące mil Oceanu oddzielały mię od drogich wybrzeży, a jednak nie myślałem już o niebezpieczeństwach, które mi jeszcze groziły w długiej podróży, nie myślałem o obszarach, które miałem do przebycia, bo oddany radości, wierzyłem, że łaskawy los zaprowadzi mię szczęśliwie do domu.

Obecnie tego roku, kiedy znów pędzę ku wschodowi wzdłuż wielkich jezior, cieszę się tak samo na myśl powrotu do ojczyzny, jednakowoż do tej radości miesza się kropelka goryczy, to jest żal, że porzucam Amerykę.

Śmiejcie się ze mnie, a jednak tak jest rzeczywiście. Zeszłego roku poznałem tylko przyrodę Ameryki północnej, ona była dla mnie przedmiotom studyów, przedmiotem podziwu i zachwytu, ale nie pociągała ku sobie serca. Obecnie zaznajomiłem się i z ludźmi, a to przeważnie z naszymi rodakami, i muszę przyznać, że przywiązałem się do nich serdecznie. Pokochałem te zacne serca, te dzielne charaktery, które całą swą przyszłość upatrują we własnej sile, i czuję szacunek dla tych *self made men*, którzy rzuceni na drugą półkulę w obce otoczenie, pomiędzy obcych ludzi, nie tylko że nie upadli na duchu i wyrobili sobie własną pracą zno-

http://rcin.org.pl

śny byt, lecz także w tych przykrych warunkach nie zatracili najwyższego ideału człowieka: miłości ojczyzny.

Jestem więc w Pittsburgu. Ponieważ atoli z Chicago do Pittsburga jest około tysiąc klm. drogi, a jazda balonami nawet w Ameryce nie jest jeszcze w modzie — przeto winienem łaskawemu czytelnikowi opisać bodaj w krótkości mą podróż.

Pierwszą mą większą stacyą było Cleveland, potężne, bo przeszło $^1/_4$ milionowe miasto nad jeziorem Erie, pierwsze co do wielkości po Cincinati w stanie Ohio.

Spacerując po ulicach tego miasta, ma się wrażenie dalekiego zachodu, gdzie w dzikiej puszczy buduje się dom po domu — gdzie wszystko dopiero wytyczone i nieskończone. Nie sądziłem nigdy, aby tak wielkie i już 60 lat istniejące miasto na wschodzie mogło mieć tak dziwny wygląd. Tu bowiem wkrada się dziki bór lub dziewicza prerya pomiędzy ulice i domy, a pyszne gmachy, pełne nowoczesnego zbytku, graniczą bezpośrednio z nieokiełzaną puszczą. Nigdzie w Ameryce nie zdarzało mi się widzieć tak wybitnego zetknięcia się kultury z pierwotną przyrodą. Idziemy sobie spokojnie ulicą, gdy nagle spostrzegamy przed sobą wielki jar, ulica się urywa stromą ścianą, porosłą burzanami i chwastami, wprawdzie mieszkańcy sąsiednich domów zapewniają, że tu wkrótce ma stanąć most, lecz co nam potem; na razie chcąc się dostać na drugą stronę, musimy daleko obchodzić, bo biada nam, jeżeli idąc za przykładem zamorusanych dzieciaków, spuścimy się w jar dla skrócenia drogi! Obłoceni, pokryci kurzem, wyjdziemy z jaru więcej do jeżów niż do ludzi podobni, bo w sukniach naszych tkwią setki kolców z bodiaków i jakieś złośliwe kolczaste nasienia chwastów, które drapią niemiłosiernie.

Toż samo udając się z jednej części miasta na drugą, musimy przechodzić przez stepy i jary, musimy brnąć po kolana w piasku, bo drogi jeszcze nie gotowe. W głębokim parowie, przecinającym wschodnią część miasta, rozsiadły się olbrzymie destylarnie nafty Standart Cil Co., dalej na północy walcownie, hamarnie etc., gdyż Cleveland jest fabrycznem miastem i odznacza się przedewszystkiem przemysłem żelaznym.

Oczywista, że i Polonia Clevelandzka, której tutaj jest około 20.000, nie pozostała w tyle za innemi miastami w przyjęciu gościa ze „starego kraju“.

http://rcin.org.pl

W otoczeniu licznego towarzystwa, które pod przewodnictwem mego serdecznego znajomego z Buffalo p. Dewoyny, redaktora tutejszej *Polonii w Ameryce*, powitało mnie na dworcu, udajemy się po sutem śniadaniu w hotelu Forest-Home „na Warszawę“. Warszawa jest to główna kolonia polska w Cleveland, kupiąca się koło kościoła św. Stanisława, i wygląda bardzo przyzwoicie. Przedewszystkiem kościół w stylu gotyckim jest wcale okazały — grzeszy tylko wewnątrz przesadą malowidła. Polskie domki przeważnie drewniane, są schludne, przestronne, i świadczą o dobrobycie mieszkańców. Są jednakże i murowane, formalne pałacyki, jak np. willa p. Orlikowskiego, który mnie przyjął w gościnę i serdecznie podejmuje. Przybył on tu przed 20 laty z Prus Zachodnich jako biedny budowniczy, wytrwałą jednak pracą i przedsiębiorczym zmysłem dorobił się znacznego majątku i jest dziś wpływowym i poważanym obywatelem.

Zwiedzam więc przedewszystkiem kościół i szkołę parafialną im. św. Stanisława, przyczem składam wizytę ks. Rosińskiemu, w którym poznałem młodego, zacnego i pełnego patryotyzmu kapłana.

Potem w liczniejszem towarzystwie udaję się o 2 kilometry dalej na wschód do „Krakowa“, drugiej kolonii polskiej, choć znacznie mniejszej od Warszawy, ze skromnym drewnianym kościółkiem, którym zarządza ks. Orzechowski, żołnierz z r. 1863.

Wreszcie pojechaliśmy do „Poznania“, osady leżącej na zachodniej części miasta.

Dziwna jak tu w Ameryce wszystko prędko idzie — wszak ta kolonia polska istnieje dopiero drugi rok — a już się wznosi wielki kościół, rosną domy jak grzyby po deszczu i Polonia powiększa się niemal z każdym dniem. Jeszcze to wszystko wygląda bardzo prymitywnie, ulice przeważnie dopiero wytyczone, w piasku dyluwialnym lub błocie preryi grzęźnie się po kostki, lecz nie ma wątpliwości, że wkrótce będzie lepiej, bo dzielni obywatele, których kilku poznałem w ich własnych domach, mają dość energii, aby postarać się o rozwój i upiększenie Poznania.

W lekkich, wygodnych powozikach zwiedzamy resztę miasta. Więc przedewszystkiem najpiękniejszą ulicę „Euclid Avenue“, gdzie wznoszą się wśród kwiecistych klombów i zielonej murawy wille o kosztownych marmurowych lub granitowych fasadach, następnie

http://rcin.org.pl

park miejski z małym zwierzyńcem, w którym wcale nieźle prezentuje się fauna północno-amerykańska, wreszcie śliczny cmentarz „Lake View Cementery.“ Tu bowiem znajduje się główna osobliwość miasta, mianowicie kosztowne mauzoleum, w którem spoczywają zwłoki prezydenta Garfielda, zamordowanego, jak wiadomo, przez półgłówka Guiteau. Garfield był rodem z Ohio, i pierwotnie działał jako nauczyciel ludowy w tym stanie, rodacy więc jego wystawili mu z dobrowolnych składek grobowiec, który kosztował przeszło pół miliona zł. w. a.

Trudno jest wydać kilku słowami sąd o wartości artystycznej tego mauzoleum. Jest tu bowiem mnóstwo bardzo pięknych szczegółów, całość jest pysznie położona w najwyższem miejscu cmentarza i wygląda z daleka wcale dobrze, z bliska gorzej, więc człowiek mimowolnie czuje żal, że Yankesi wydając tyle pieniędzy, nie wybrali jakiego odpowiedniejszego stylu.

Położenie cmentarza jest bardzo malownicze. Jedziemy wzdłuż głębokich jarów, po stromych stokach i lesistych wzgórzach, w których w cieniu drzew spoczywają umarli. Z daleka już wpada nam w oczy potężna baszta ze stożkową kopułą, strzelającą na najwyższym wzgórzu, wśród bujnej zieleni sosen i dębów w powietrze. Cóż to? jakiś zamek obronny?... Nie!... nasi towarzysze wyprowadzają nas z błędu, to jest *the Garfield memorial.* Opuszczamy parowy i po obszernych schodach wchodzimy na wysokie podmurowanie, na którem wznosi się wieża, a raczej baszta opatrzona u góry 14 podłużnemi oknami wśród gotyckich łuków. Do baszty przypiera obszerny portyk w stylu łuku tryumfalnego, ozdobiony u góry i z obu boków płaskorzeźbą wcale niezłą, przedstawiającą Garfielda jako mowcę w kongresie, jako nauczyciela w szkole, jako żołnierza itp., a wreszcie i zwłoki jego na katafalku.

Wchodzimy do środka. Uderza nas bogactwo materyału, bo wszędzie śliczny granit, marmur, mozaika wenecka i malowidła na szkle. Wśród granitowych słupów korynckich wznosi się olbrzymi posąg prezydenta. Na ścianach fryzy, przedstawiające wojnę, pokój, prawodawstwo, pracę itp. Przedewszystkiem zachwycamy się kolorową marmurową mozaiką, przedstawiającą w sposób alegoryczny pogrzeb Garfielda, następnie 14 oknami, które złożone z kolorowej, szklanej weneckiej mozaiki, przedstawiają w postaciach kobiecych z odpowiednimi emblematami trzynaście stanów, należących do

http://rcin.org.pl

Unii w czasie ogłoszenia niepodległości, a do tego i Ohio, jako ojczyznę Garfielda.

Metalowa trumna, zawierająca szczątki wielkiego prezydenta, spoczywa w podziemiu, gdzie płoną elektryczne lampy. Zarówno ze szczytu 180' wysokiej wieży, jak też i ze wzgórza samego, wznoszącego się 200' nad poziomem Erie, widok przepyszny. Ztąd dopiero możemy dokładnie śledzić tę mięszaninę fabryk, preryi, lasu i pałaców, tworzącą Cleveland. W oddali ku północy sinieje potężne jezioro, a ku południowi gubi się oko w dymach fabrycznych, w czerwonych ulicach i ciemnych lasach.

Lecz czas wracać do domu; wszak dziś mass-meeting, wszak uroczyste przyjęcie, a przedewszystkiem galowy pochód z mieszkania mego do sali, w której się ma odbyć mityng. Łaskawy czytelnik będzie się zapewne interesował korowodem i mityngiem tego rodzaju, bo to rzecz u nas nieznana, więc opiszę to choć w kilku słowach.

Wesołe tony muzyki — gwar i zgiełk na placu przed mem mieszkaniem, liczne ognie i światła z pochodni i latarni dały znać, że gwardya, rycerstwo i towarzystwo już się zbierają. Za chwilę stanęło wszystko w zwartych szeregach i powitało mnie po wojskowemu wśród dźwięków muzyki na nutę narodową. Poczem ruszył okazały pochód w następującym porządku:

Na przodzie konno marszałek obchodu, za nim muzyka i sztandary polskie i amerykańskie, za muzyką „gwardya Kościuszki“ w strojnych ułańskich uniformach z roku 1831, pod komendą sążnistego i dzielnego kapitana p. Tylewicza.

Tuż za gwardyą rycerstwo, mianowicie: „Rycerze św. Kazimierza“ i „Rycerze św. Michała“, pod komendą pp. Rutkowskiego i Malinowskiego.

Metalowe hełmy, lśniące w świetle pochodni i lamp elektrycznych, olbrzymie miecze przy boku, złociste uniformy, co to za pyszny widok!...

Za rycerzami maszerują kosyniery!... Białe sukmany, czerwone rogatywki, kosy na sztorc... o nieba! nie wytrzymam dłużej. Łza spływa po licach, a usta szepcą z Lenartowiczem:

Lasy nasze lasy.
Racławickie lasy,
Pełne wczesnej woni leśnej

http://rcin.org.pl

I słonecznej krasy.
Lasy nasze lasy!...

Kosynierów prowadzi p. Lisiecki w stroju magnata polskiego, jako alegorya „z polską szlachtą polski lud", za kosynierami postępuje komitet w towarzystwie Waszego sługi, poczem jeszcze oddział wojska, towarzystwa cywilne, a w końcu naród.

Muzyka gra marsza z motywów narodowych, konie parskają, szable i kosy brzęczą, hej Boże, miły Boże, tak to było niegdyś!...

Idą, idą wciąż parami,
Po cztery, po cztery.
Madaliński z hułanami,
Za nim kosyniery!...

I myśl moja ulatuje na wschód, w nadwiślańskie okolice, idę jak senny — zapominam, że to Cleveland nad jeziorem Erie, tysiące... tysiące kilometrów od drogiego kraju!...

Co się tyczy opisu mityngu, to najlepiej będzie przytoczyć odnośny ustęp z *Polonii w Ameryce* Nr. 38, niewielkiej ale uczciwej gazety polskiej w Cleveland.

„Przed halą i na hali wojsko utworzyło szpaler, zaś kosynierzy i komitet wprowadzili dostojnego gościa na estradę. Gdy prof. Dunikowski przechodził wraz z komitetem pomiędzy żołnierzami, ci prezentowali broń, a muzyka hucznie przygrywała. Zebranie powołał do porządku prezes komitetu, p. M. P. Knioła, i przedstawił publiczności delegata z kraju. Ob. Zimermann wystąpił z pięknym wierszem powitalnym. Poczem zabrał głos prof. Dunikowski. Mowa jego trwała przeszło pół godziny i wywarła głębokie wrażenie na słuchaczach. Pióro nasze jest zbyt nieudolne, ażebyśmy się silili opisać tu, z jaką werwą, z jakim zapałem, szan. delegat poinformował obecnych o celu swej misyi. Zaznaczymy więc tylko, iż dowiedzieliśmy się, że sz. delegat przybył do nowego świata, aby poznać nasze polsko-amerykańskie stosunki, aby wydać o nas przed krajem sąd sprawiedliwy, aby się przekonać, czy nie zatraciliśmy naszych zwyczajów i obyczajów ojczystych, czy jesteśmy godnymi synami nieszczęśliwej Matki-Polski...

Następnie miały miejsce: śpiew 30 chłopców szkolnych, którzy wystąpili w stroju kosynierów, piękna mowa p. J. Małkowskiego, śpiew 30 chłopców — w ubiorach strzel ckich, szlachetna, ze

http://rcin.org.pl

serca płynąca mowa Wiel. ks. B. Rosińskiego, deklamacya chłopca szkolnego Pawła Justusa, druga mowa prof. Dunikowskiego, w której podziękował rodakom w Cleveland za ich patryotyzm — śpiew 20 dziewcząt szkolnych, po krakowsku ubranych — i odśpiewanie przez całą publiczność hymnu: „Boże coś Polskę."

Zgromadzenie było tak liczne, iż obszerna hala parafialna była zapchaną po brzegi. Nadmienić wypada, że po każdej przemowie przygrywała nasza „Orkiestra polska." Również niech nam wolno będzie wyrazić tutaj w imieniu komitetu, wyznaczonego z ramienia wszystkich towarzystw polskich w Cleveland, w celu przyjęcia delegata z kraju, najserdeczniejsze dzięki p. Konkolewskiemu za to, że jego dziatwa szkolna tak znakomicie się spisała, że jego „kosynierzy, strzelcy i krakowianki" nie pozostawiali nic zgoła do życzenia.

Po wyczerpaniu programu tego wieczora, ks. Rosiński zaprosił prof. Dunikowskiego i członków komitetu do siebie na plebanię. Proboszcz nasz znany jest jako dobry, szczery Polak i patryota. Nic więc dziwnego, że podejmował on gości nadzwyczaj uprzejmie. Wznoszono toasty na cześć delegata, pito zdrowie zacnego proboszcza. Po kilku godzinach miłej, ciekawej gawędy, goście rozstali się z przezacnym gospodarzem."

Ostatniego dnia pobytu mego w Cleveland nie próżnowałem wcale. Więc chcąc poznać jak i gdzie nasi ludzie pracują, chodziłem do fabryk stali bessemerowskiej, drutów, szyn kolejowych itd. Oj ciężka to praca, choć zarobek ładny, bo począwszy od $1^1/_2$ do 5 a nawet i 6 dolarów dziennie, stosownie do zręcznośoi robotnika i do niebezpieczeństwa pracy. Tuż koło wielkich fabryk w zachodnio-północnej części miasta jest także Polonia, ale jakaś biedna, bo mieszka w maleńkich domkach drewnianych, należących do fabryk. Snać ludzie ci nie myślą o tem, by się stale osiedlać, i tak jest rzeczywiście, są to bowiem przeważnie Galicyanie, którzy po to tylko jadą do Ameryki, ażeby uciuławszy nieco grosza, wrócić do kraju.

Dziś poniedziałek, więc zwyczajem tu przyjętym dzień, w którym odbywają się w Polonii śluby i wesela, więc prawie na każdej polskiej ulicy słychać muzykę i widać strojnych gości weselnych. Naturalnie, że skoro się tylko pokażę w pobliżu, to panna młoda z druchnami na gwałt mię zaciągają na wesele, więc muszę tańczyć z panną młodą, pić jej zdrowie i ściskać druchny,

http://rcin.org.pl

które się o to upominają, twierdząc, że im się to należy od gościa ze starego kraju

Wesoły to ludek, patrzący spokojnie w przyszłość, energiczny — choć trochę może za mało jeszcze ogładzony. Nie wiele tu dotychczas inteligencyi, więc oczywista, że nie widać jeszcze jej zbawiennego wpływu — jak to ma np. miejsce w Chicago lub Milwaukee.

Wspominałem w ostatnim liście o przyzwoitem, a nawet eleganckiem zachowaniu się ludzi z gminu na polskim balu w Chicago — tutaj jednakowoż bale odbywają się inaczej. Pewnego dnia rano przed 8 godziną siedzimy z p. Dewoyną w redakcyi *Polonii w Ameryce*, gdy nagle wpada młody człowiek, na którego twarzy widoczne są ślady nocy spędzonej na hulance.

„Panie Redaktorze“ rzecze „ja idę wprost z balu i nie mam czasu wstąpić do domu, bo mi pilno do fabryki, bądź Pan tak dobry schować mi moje rekwizyta balowe.“ Byłem pewny, że to porządek tańców, ordery kotylionowe, a może wachlarzyk, kokardka lub inna jaka pamiątka od wybranej jego serca. Nie łaskowy czytelniku, jesteśmy w błędzie, młody człowiek sięgnął do kieszeni i wydobył... żelazny kastet i ośmiostrzałowy rewolwer!

* * *

Pogodnie, ciepło, jasno, rozkosznie... *Indian Summer* w całej swej okazałości. Ja siedzę na pomoście ostatniego w pociągu wozu t. zw. *Palace car*, a puszczając ze znakomitego hawańskiego cygara niebieski dymek w powietrze, spoglądam w zachwycie dookoła! Wszak dojeżdżamy do stacyi Rochester, wszak to bogata Pensylwania! Ten potężny strumień, który u stóp naszych swe nurty toczy, to Ohio! te urocze lesiste wzgórza, które wznoszą się stromo po obu stronach nad rzeką, to pokłady węglonośne *Pittsburg ad Alleghany Series*. Jak tu pięknie i uroczo — a co za dobrobyt! Gdziekolwiek spojrzysz wznoszą się budynki górnicze — gdzie parowe maszyny wyciągają co chwila węgiel lub kruszec; w oddali stoją wieże wiertnicze, wśród których tryska obficie ropa—tuż nad rzeką rozsiadły się olbrzymie fabryki, ziejące ogniem, dymem i parą. Długie pociągi jadą zwolna wzdłuż brzegu, z każdego wozu leje się ognisty strumień jak lawa rozpalona — to żużel, którego się tu w taki sposób pozbywają.

http://rcin.org.pl

Liczne psy (wózki górnicze) pędzą co chwila z góry, z kopalni do wysokich pieców, oddając im swoją zawartość; silni, osmoleni i zaczernieni ludzie walą młotami lub uginają się pod ciężarem, ich towarzysze mając teraz chwilkę wolnego czasu, gromadzą się w kupy i coś żywo rozprawiają, zapewne o wielkim strajku w niedalekim ztąd Homestead.

Co to za pyszny kraj dla fabrykanta, dla górnika, dla geologa!... Porywa mię zazdrość, dla czego właśnie nasz kraj taki biedny!...

Pędzimy naprzód. Scenerya ciągle ta sama, zawsze lesiste wzgórza, kopalnie, fabryki — majestatyczny Ohio. Daleko na wschodzie wznosi się olbrzymi słup dymu w powietrze, zapewne pożar lasu? nie! to serce Pensylwanii.

Tu zaczyna się rzeka Ohio, powstająca z połączenia dwóch strumieni Alleghany i Monongahela River. Coraz więcej fabryk, coraz więcej dymu, wreszcie pociąg staje. To Alleghany-City, siostrzyca Pittsburga. Za chwilę przekraczamy po wielkim moście rzekę Alleghany, stoimy przed dworcem Union-Dépot, gdzie mnie witają serdecznie rodacy z drem Sadowskim na czele — jesteśmy w Pittsburgu.

Miasto Pittsburg, liczące razem z Alleghany-City blisko $^3/_4$ miliona mieszkańców, leży przeważnie w trójkącie utworzonym przez obie rzeki, a oprócz tego po lewej stronie Monongaheli. Ponieważ tylko nieznaczny kawał ziemi, mianowicie tam, gdzie się rzeki schodzą, jest płaski, bo powstały z napływów rzecznych, reszta zaś górzysta, bo oba te strumienie płyną w głębokich jarach, tak że w Pittsburgu schodzą się nietylko dwie rzeki, lecz i dwa jary, przeto wygląd miasta jest bardzo dziwny Tylko ulice biegnące wzdłuż rzek, jak Penn Avenue są długie i poziome, reszta zaś miasta zabudowała się po stokach jarów i na szczytach wzgórzy, co przedstawia bardzo ciekawy widok. Liczne inklajny *(incline car)*, czyli pochyłe koleje, umożliwiają ruch ludzi i wozów pomiędzy dołem a górą. Jazda taką karkołomną koleją jest bardzo zajmująca, jednakowoż nie dla nerwowych osób, gdyż buja się nad straszliwemi przepaściami, mając ciągle to uczucie, że lada chwila lina się urwie i cały wóz zleci po tej okropnej równi pochyłej ze znacznie większą chyżością, aniżeliby sobie podróżni tego życzyli.

Miasto jest brudne, nieładne i nie ma wiele okazałych budynków. Największym i najkosztowniejszym gmachem County Court

http://rcin.org.pl

House, cały z granitu, lecz co za styl! korytarze przypominają katakomby, bo są niskie, ciemne i składają się z płaskich, jakby zapadłych łuków, tożsamo i fasada nieszczególna, bo jest to po prostu wielka granitowa ściana, ozdobiona tu i owdzie nad oknami okrągłymi łukami.

Miałem dobrą sposobność poznania Pittsburga, gdyż doznałem tu wiele życzliwości nie tylko ze strony Polaków, a przedewszystkiem mego zacnego przewodnika dra Sadowskiego, lecz także od konsula austro-węgierskiego i redaktorów tutejszych gazet angielskich. Ich staraniom i poleceniom zawdzięczam, że mogłem zwiedzać nawet takie fabryki, do których wstęp zwykłym śmiertelnikom jest wzbroniony.

Opisywanie tych wielkich hut żelaznych i szklanych, hamerni, destylarni itp. mogłoby zapełnić całe tomy. Wszędzie znajdowałem Polaków, których tu jest kilkanaście tysięcy. Zarobek ich jest wcale ładny, bo dochodzi czasem nawet do 5 dolarów dziennie, ale praca jest bardzo ciężka i niebezpieczna — jak tego dowodzą spalone twarze i częste wypadki. Łączą się oni razem w dwie parafie, jedna św. Stanisława przy końcu Penn-Avenue, druga św. Wojciecha po lewym brzegu rzeki Monongahela. W żadnem amerykańskiem mieście nie znalazłem tak mało inteligencyi polskiej, jak tu, bo Bogiem a prawdą, oprócz księży kilka osób.

Zresztą stosunki są i pod tym względem niekorzystne — że trudno ludziom osiedlać się we własnych domkach, gdyż wrzystkie grunta należą do fabryk, lub do wielkich właścicieli, którzy nie chcą sprzedawać lotów, a wreszcie, że jest tu dużo ludności koczowniczej, która lubi zmieniać miejsce. Wobec tego wszystkiego Polonia stoi tu niżej, aniżeli w innych miastach — maleńka gazetka *Przyjaciel Ludu* zaledwie że może się utrzymać.

Lecz widzę, że już nie ma miejsca w tym liście na opis kopalń i stosunków geologicznych w Pensylwanii, uczynię to przy innej sposobności, obecnie muszę kończyć, gdyż za chwilę idę na mityng — a jutro czeka mnie cudowna podróż przez góry Apalachijskie do Baltimore.

---

http://rcin.org.pl

XIII.

BALTIMORE

11 października 1892.

Zostawiłem za sobą kurzawę i dymy Pittsburga i pędzę koleją *Baltimore and Ohio Rr.* ku południowemu wschodowi, zrazu wzdłuż rzeki Monongahela, później wzdłuż jej dopływu Youghiogheny.

Miny i fabryki nie opuszczają podróżnego ani na chwilę, a jakkolwiek nie ma już tych tysięcy kominów, co w Pittsburgu, to przecież widać na każdym kroku, że się jedzie krajem bogatym w liczne produkta górnicze, a przedewszystkiem w węgiel kamienny.

Jakoż rzeczywiście przekraczamy obecnie jedno z największych i najbogatszych zagłębi kamienno-węglowych całego świata, mianowicie „Apalachijskie pole węglowe“, ciągnące się w postaci nieregularnej elipsy od stanu Tennesee aż do północnej granicy Pensylwanii w długości 600 ang. mil. Jego największa szerokość wynosi 180 mil, a cała powierzchnia około 60.000 mil kw. Nie jest to — ściśle rzecz biorąc — jednostajne pole, lecz raczej cały szereg mniejszych i większych zagłębi, gdyż warstwy ułożone są w wielkie fałdy, tj. siodła i łęki — i tylko u spodu każdego łęku leży jeden lub kilka pokładów węglowych.

Szczęśliwy to kontynent ta północna Ameryka! Trzeba bowiem wiedzieć, że jest tu jeszcze 6 innych potężnych pól węglowych, tak, że powierzchnia węglonośna zajmuje obszar 193.000

http://rcin.org.pl

mil kwadr., podczas gdy największe pole węglowe w Europie, t. j. w Anglii i Irlandyi, zajmuje 9000 mil kw. powierzchni.

Produkcya węgla wzmaga się w Stanach Zjednoczonych nadzwyczajnie. W r. 1877 wynosiła ona 54 milionów beczek (po 1000 kg.), w r. 1881 77 mil., w roku 1884 106 mil., obecnie zaś już przeszło 200 mil. Mimo tej szalonej produkcyi, węgiel tam jest droższy aniżeli u nas, bo beczka węgla kosztuje po miastach 7—8 dolarów. Przyczyną tego jest okoliczność, że wszystkie kopalnie węgla znajdują się w rękach nielicznych właścicieli, którzy ustanawiają ceny, jakie się im żywnie podobają. Oczywista więc, że socyaliści mają tu dobry temat, którego nie pominą przy żadnej sposobności, podobnie jak i kolei żelaznych amerykańskich, bo te tak samo są w rękach nielicznych milionerów (zmarły niedawno Gould posiadał 17.000 km. kolei żelaznych) i gospodarują co się tyczy taryf w straszliwy sposób. Dla mniej zamożnego mieszkańca Stanów Zjednoczonych jest wydatek na opał najdotkliwszym; wyjątek stanowią te okolice, które posiadają gaz przyrodniczy, gdyż ten tworzy węglowi konkurencyę. Uważałem w wielu miejscowościach, że gospodyni domu gotuje obiad w kilku kwadransach na zgrabnej małej kuchence ogrzewanej gazem.

Okolica coraz to powabniejsza, gdyż zbliżamy się do gór Apalachijskich. Całe wschodnie wybrzeże północnej Ameryki przedstawia się począwszy od ujścia rzeki św. Wawrzyńca aż do granicy Florydy jako teren starożytny, pofałdowany. Pofałdowanie to odbyło się przeważnie w bardzo starej epoce geologicznej, poczem skorupa ziemska w tem miejscu popękała w rozmaitych kierunkach, a poszczególne płaty pozapadały się w głąb, jak to dzisiaj wyraźnie można śledzić na tak zw. uskokach, t. j. płaszczyznach pęknięć, wzdłuż których zapadnięcie nastąpiło. Geolodzy pensylwańscy, którzy uskoki te badali dokładnie z powodu ich ważności dla górnictwa węglowego, twierdzą, że w niektórych miejscach Pensylwanii można głębokość takiego zapadnięcia obliczyć na 30 000'.

Góry Apalachijskie, strzelające tylko w nielicznych szczytach ponad 2.000 m., są jedną częścią tego pofałdowanego terenu. Jako góry typowo-pasmowe okazują warstwy pozginane w siodła i łęki w bardzo regularnem następstwie po sobie. Zbudowane są ze skał najstarszych formacyi, zawierających resztki organiczne, a więc kambryjskiej, sylurskiej i kamienno-węglowej. Cały szereg wapieni,

http://rcin.org.pl

piaskowców, iłołupków i innych skał znachodzących się tutaj, przedstawia nam osady wielkiego morza, które niegdyś pokrywało dzisiejszy kontynent Ameryki północnej. Skutkiem olbrzymiego nagromadzenia materyału, t. j. szutru, namułu i t. p. przez ówczesne rzeki, przybrzeżne części tago morza w okolicy dzisiejszych Apalachów zamieniły się z czasem na cały szereg bagien i limanów, na których się osadzały potężne pokłady roślinne, stanowiące podstawę do utworzenia się węgla kamiennego. Ale równocześnie następuje fałdowanie się pierwotnie poziomych pokładów, więc góry Apalachijskie otrzymują główne zarysy swej dzisiejszej postaci, a węgiel dzieli się, jak to już wyżej poznaliśmy, na luźne zagłębia.

Wjeżdżając koło stacyi Rokswood w Apalachy, mimowolnie przypominam sobie nasze góry pasmowe t. j. Karpaty, i porównuję w myślach ojczyste strony z bogatem pasmem amerykańskiem. Jednakowoż jest tylko małe podobieństwo. Fałdy gór Apalachijskich są znacznie szersze, nieraz wygląda synklinala jak wyżyna, i trzeba milami całemi jechać, aby dostać się znów we wnętrze wzniesionego pasma górskiego. Również brak jednostajnych lasów szpilkowych odróżnia Apalachy całkiem wybitnie od naszych Karpat.

Okolica romantyczna, czarująca. W dolinach i na stokach aż do 1.000 m. wysokości roztacza swe wdzięki piękny, amerykański las o mięszanym drzewostanie, widać tu więc wszędzie dęby, hikory, platany, sykomory, orzechy, kasztany, drzewa tulipanowe, sosny i t. p.

Im dalej ku górze, tym mniejsza rozmaitość; przedewszystkiem kasztan szlachetny znika zupełnie. W wysokości 1.400 do 1.800 m. widzimy tu przeważnie buki amerykańskie (Fagus ferruginea), czerwone dęby (Q. rubra), klony cukrowe (Acer saccharinum), brzozę (Betula lenta), i końskie kasztany (Aesculus rubra).

Jeszcze wyżej przeważa buk i brzoza, aż wreszcie na najwyższych szczytach wznoszą się lasy szpilkowe (Picea nigra, Abies Fraseri), otoczone na swych krańcach wysokim rododendronem i karłowatą olchą (Alnus viridis).

Wjeżdżamy do stanu Maryland do miasta Cumberland. Okolica ta już mi jest znana z roku zeszłego, gdyż jechaliśmy tędy po skończeniu kongresu geologicznego w Waszyngtonie w daleki zachód. Począwszy od tego miejsca, kolej pędzi przeważnie wzdłuż uroczych brzegów Potomaku, który przecina pasma górskie na po-

http://rcin.org.pl

przek. Ponieważ atoli wody jego są spławne dopiero poniżej Waszyngtonu, przeto założono tu od Cumberland aż do Aleksandryi wielki kanał t. zw. Chesapeake-Ohio-Canal. Przechodząc na prawy brzeg Potomaku, porzuca szlak kolejowy Maryland i dostaje się do Zachodniej Wirginii.

Za stacyą North-Mountain rozpoczyna się prześliczna i bardzo ciekawa dolina, tak zw. Apalachian Valley. Jestto wielki łęk, zbudowany z wapienia syluro-kambryjskiego t. zw. Trenton-Chasy limestone. Liczne wody, płynące tą doliną, wypłukują wapień, skutkiem czego widać wszędzie jaskinie, kamienne słupy i piramidy, jak gdyby baszty i ruiny i inne tym podobne zjawiska erozyjne. Stosując się do zwyczaju, przyjętego powszechnie w Stanach Zjednoczonych, t. j. porównywania amerykańskich okolic z europejskiemi, możnaby nazwać tę dolinę „amerykańską saską Szwajcaryą“, gdyż przypomina ona faktycznie widoki z nad Łaby koło Bastei, Pirny, Königsteinu i t. p.

Jednem z najsłynniejszych zjawisk tego rodzaju jest „Natural bridge“, o którym każdy Wirgińczyk wspomina z dumą, utrzymując, że obok Niagary jest to najciekawsza i najbardziej imponująca rzecz z całej Ameryki. Jakkolwiek w twierdzeniu tem jest wiele przesady, to przecież trzeba przyznać, że ten most przyrodniczy jest godny widzenia. Jestto skała, wznosząca się w kształcie 65 m. wysokiego, a 30 m. szerokiego łuku nad potoczkiem Cedar Creek.

Obok mostu przyrodniczego spotykamy tu naturalne tunele, jary i jaskinie, tak że okolica wygląda ciekawie i romantycznie.

A przytem co za roślinność, co za urodzajna ziemia wszędzie! W cieniu wielkich sykomorów i platanów skryły się małe domki farmerów, którzy tu żyją jak w raju. Na dolinie i po stokach gór rozciągają się żyzne ogrody, łagodny klimat i dobra gleba wytwarzają tu przepyszne owoce i bujne płody rolnicze. Znakomite winogrona i melony, pyszne warzywa, piękny tytoń i kukurudza, słodkie bataty, oto produkta zachodniej Wirginii, tego kraju tak przyjemnego, a tak mało znanego w Europie. Najpiękniejszy punkt całej linii Baltimore and Ohio jest bezsprzecznie koło stacyi Harpers-Ferry.

Tu opuszczamy dolinę apalachijską a przecinamy wzdłuż Potomaku bardzo ciekawy łańcuch t. zw. Blue Ridge. Jestto rzeczywiście osobliwość zarówno geograficzna jak też i geologiczna, gdyż

http://rcin.org.pl

wązki i stromy ten łańcuch ciągnie się od Nowej Anglii, aż do Georgii, a wszędzie z temi samemi cechami, tylko że wysokość jego ciągle się ku południowi zwiększa, osiągając w górze Black Dome 6.700'.

U spodu gnajs, u góry osady syluro-kambryjskie, poprzerywane wybuchami porfirytu, bardzo podobnego do znanego w rzeźbach egipskiego „porfido antico rosso" budują ten ciekawy łańcuch.

Otóż właśnie koło stacyi Harpers-Ferry rzeka Potomac wzmocniona dopływem Shenandoa przecina Blue Ridge na poprzek. Te więc pionowe ściany nad rzeką, ten śmiały grzebień górski, te wartkie strumienie i urocze doliny łączą się razem w przepyszny krajobraz tak, że zarząd kolei w Baltimore and Ohio w swych reklamach uznał za stosowne miejsce to nazwać *the most beautiful spot in the world.*

Nie mniej zajmujące są i historyczne wspomnienia wojennych wypadków w tym czarownym zakątku. Wszakże tu w tym miejscu podniósł rokosz John Brown przeciwko potędze Albionu i zginął w bohaterskiej walce. Wszakże tu w sąsiedztwie, w miejscowości Winchester odbyła się potyczka w roku 1864 wsławiona znanym poematem Buchenana Reeda p t. „Sheridan's Ride". Generał Grant, uznając ważność strategiczną opisanej przez nas doliny, wysłał gen. Sheridana ze znaczniejszym oddziałem kawaleryi w celu jej zajęcia. Walka była straszliwa i skończyła się ogromną klęską skonfederowanych, których Sheridan pędził 10 mil przed sobą.

Niedaleko ztąd leżą pobojowiska Monocacy i Antieton, Balls Bluff i t. d. Cała ta okolica Wirginii, Marylandu i sąsiedniej części Pensylwanii była zalana wojskami armii północnej i skonfederowanych. Tędy wpadł bowiem generał Lee, zajmując Pensylwanią, tędy go ścigano, zadając mu jedną dotkliwą klęskę po drugiej, z których najstraszliwsza była w rozstrzygającej bitwie pod „Gettysburg", miejscowością niedaleko ztąd położononą.

Z żalem opuszczamy ten piękny i pod względem historycznym ciekawy zakątek i jedziemy dalej na wschód spostrzegając wkrótce, że góry Apalachijskie już się skończyły. Pędzimy po przedgórzu t. zw. Piedmont-Plateau, zbudowanem ze skał krystalicznych, a stanowiącem przejście od Apalachów do niżu.

Okolica lesista i mało zaludniona.

http://rcin.org.pl

Okazałe hikory, wznoszące się do 10 m. wysokości, zwracają uwagę podróżnego, toż samo i glediczie jak też i drzewa tulipanowe osiągają tu wielkie rozmiary. Pomiędzy drzewami ścielą się krzaki jak Crataegus, Rhus, Evonymus, Hamomelis i wiele innych. Urodzajną ziemię pokrywa wieczna zieleń roślin: Andromeda, Kalmia, Vaccinium, Rhododendron. Wdzieczne girlandy z Vitis, z jadowitego Sumach lub też z Ampelopis owijają pnie i gałęzie.

Kryształowo czyste, rwące rzeki płyną w wartkich szypotach w głębokich wyżłobionych jarach, tu i owdzie wznosi się omszona skała gnajsu, kwarcytu lub łupku łyszczykowego. Warstwy są pościskane, stromo ustawione i poprzerywane lawami diabazu.

Nagle zjeżdżamy po dość stromej pochyłości w dół na nowy obszar geologiczny, tak zw. Coastal Plain. Olbrzymi ten obszar przyatlantycki. ciągnący się wzdłuż całych Stanów Zjednoczonych, jest niżem, zbudowanym ze szutrowisk starożytnych, obecnie już nie istniejących rzek. Granica pomiędzy nim a wyżyną Piedmontu jest bardzo ścisłą i wpada juz zwykłemu turyście w oczy. Nasz Potomak, dotychczas górski strumień, którego kryształowe wody pędziły we wartkich szypotach wśród skał, staje się mętną głęboką rzeką zdolną do żeglugi. Toż samo ma miejsce ze wszystkiemi rzekami Stanów Zjednoczonych na południe od Nowego Jorku, granica Piedmontu jest równocześnie granicą ich spławności.

Z ciekawością wyglądam przez okno, wszak przedemną lśni w promieniach zachodzącego słońca stolica Stanów Zjednoczonych, piękny Waszyngton.

Jak w Wiedniu wieża kościoła św. Szczepana, tak tu „pomnik Waszyngtona“ wita podróżnego zdaleka. Jestto obelisk z białego marmuru 555' wysoki, przezwany przez humorystycznych Yankiesów „National Chimney“ narodowym kominem.

A więc już i Waszyngton, to urocze miasto, gdzie zeszłego roku spędziłem tak mile przeszło tydzień na kongresie geologicznym. Co za szkoda, że nie mam czasu obecnie zatrzymać się dłużej, jak tylko tyle, ile potrzeba do złożenia kilku urzędowych wizyt. Ja bardzo lubię Waszyngton, gdyż mojem zdaniem jestto najpiękniejsze i najmilsze miasto w całych Stanach Zjednoczonych. Ulice wszystkie asfaltowane, równe i czyste jak posadzka, domy — to same urocze wille — otoczone rozkosznymi ogródkami, mnóstwo skwerów, parków, wszędzie, gdziekolwiek spojrzyć zieleń

http://rcin.org.pl

i kwiaty. Wzdłuż ulic przed domami klomby, na nich egzotyczne rośliny, wszędzie już czuć gorący powiew południa, białokwieciste jukki, florydańskie magnolie i cedry spotkać można na każdym kroku. Wszędzie cicho, spokojnie i schludnie, nie ma nigdzie tego gwaru, zgiełku i brudu wielkich miast amerykańskich. Bogate muzea, uniwersytety, wielkie biblioteki, instytut Smithsoniański, zakład geologiczny i geograficzny, rzeczywiście to za wielka pokusa, aby nie powiedzieć sobie: tu zostanę na zawsze.

A ponadtem wszystkiem króluje wspaniały kapitol, otoczony pysznym parkiem i ogrodem botanicznym. Cóż to za śliczna zieleń! urocze palmy, wiecznie zielone dęby, drzewa tulipanowe, cedry, magnolie o woskowych liściach, na stawkach lotos i olbrzymia Victoria regia!...

Nad bujnem kwieciem fruwają kolibry, błyskając jak ogniki błędne żarem swych rubinowych i szmaragdowych barw metalicznych, w liściach drzew skrzeczą liczne cykady, których głosy łączą się w jeden nadzwyczaj miły i harmonijny chór, nad nami lśni szafir pogodnych niebios, a swobodne powietrze amerykańskie owiewa nasze skronie.

* * *

Pędzimy dalej ku wschodowi jednym z najszybszych amerykańskich pociągów, przebywających 50 mil angielskich (około 80 klm.) drogi w jednej godzinie. Przekonałem się, że owe sławne 60-milowe pociągi amerykańskie nie istnieją wcale w rzeczywistości, gdyż ani ja sam takim nie jeździłem, ani żaden z Amerykanów, którzy to utrzymywali, chwaląc się, że ich pociągi są *the fastest in the world*, nie mógł mi tego udowodnić na podstawie rozkładów jazdy. Chyżość zaś 80 klm. na godzinę, nie jest niczem tak nadzwyczajnem i może chyba nam Galicyanom zaimponować, gdyż jak wiadomo, pociągi pospieszne Wrocław - Berlin, Berlin-Hamburg, Berlin-Kolonia i t. p. pędzą taką samą chyżością, albo mało co mniejszą. Toż samo twierdzenie imponujące Europejczykom, że w amerykańskich pociągach jest tylko pierwsza klasa, nie całkiem odpowiada rzeczywistości. Prawda, że się kupuje bilet I. klasy, w której siedzenia wybite są pluszem, ale w przedziałach jej nie wolno palić, więc jest jeszcze w każdym pociągu i *smoking car*, t. j. wóz do palenia, do którego konduktor pakuje murzynów i inną tego rodzaju hołotę. Tacy podróżni, którzy cały

http://rcin.org.pl

czas przepędzają w wozie do palenia płacą niższą cenę. Jednakowoż już po krótkim pobycie w pierwszej klasie, przekonamy się, że dłuższy pobyt jest tu niemożliwy. Przedewszystkiem zawadza nam przepełnienie, powtóre mięszane towarzystwo, po trzecie niewygoda i nieprzyjemność chodzenia z każdem cygarem do „smoking caru“ pomiędzy niemile woniejących murzynów i innych spluwających na wszystkie strony gentlemenów. Z prawdziwą więc przyjemnością dopłacamy kilka dolarów i idziemy do *palace car*, wozu pałacowego (w Ameryce jest wszystko w superlatiwie). Tu dostajemy osobny fotel, mamy miejsce do spaceru, mamy umywalnię, elegancki przedział do palenia, a co najprzyjemniejsze — pomost z tyłu wozu, zkąd wygodny widok na okolicę, gdyż zwykle pałacowy wóz jest ostatni. Tutaj możemy i jeść, gdyż jeżeli się nam nie chce iść do wozu restauracyjnego, to usłużny murzyn musi przed naszym fotelem ustawić stoliczek i podać wszystko, czego dusza zapragnie. Na noc „palace car“ zamieniamy na wóz sypialny *(sleeping car)* i za całą dobę takiej przyjemnej jazdy dopłacamy tylko około 5 dolarów. Mojem więc zdaniem są tu, ściśle rzecz biorąc, trzy klasy.

Zajęty takiemi studyami porównawczemi kolei amerykańskich z naszemi spostrzegam dopiero w ostatniej chwili, że już jestem na dworcu w Baltimore. Deputacya Polaków baltimorskich powitała mię z całą serdecznością, — na czele wszystkich zacny staruszek, ks. Rodowicz, proboszcz przy kościele św. Stanisława Kostki, w rzewnej, patryotycznej przemowie dał wyraz radości polskich obywateli z powodu przyjazdu gościa z dalekiej ojczyzny, przywożącego im pozdrowienia od braci i ofiarował mi swój gościnny dom do dyspozycyi. Toż samo i proboszcz drugiej polskiej parafii, znajomy mój z Detroit ks. dr. Barabasz, człowiek głębokiej wiedzy, wielkiego patryotyzmu, zacny i nadzwyczaj sympatyczny kapłan, należał także do deputacyi, która mię powitała. Tożsamo i p. G. Welzant, właściciel wielkiej polskiej gazety w Baltimore p. t. *Polonia*, który już przed kilku miesiącami pospieszył był do N. Yorku, aby mię imieniem Baltimorczanów zaprosić w odwiedziny, dalej p. Toczkowski, prezes Tow. im. H. Dąbrowskiego, p. Nowakowski, kapitan rycerzy św. Wojciecha, p. Sibicki, kapitan rycerzy św. Władysława, p. dr. Chudzyński, p. Kołakowski itd. czekali z niecierpliwością na dworcu, aby uścisnąć dłoń rodaka, który przyjechał w celu ich poznania i zawiązania z nimi węzłów duchowych.

http://rcin.org.pl

Rycerstwo wystąpiło w strojnych uniformach, jako reprezentacya polskiej militarnej potęgi w Baltimore, więc strojno i zbrojno wśród ulewnego deszczu pojechaliśmy w polską część, w okolicę Bond i Bank Street.

Po wspólnej wieczerzy u ks. proboszcza Rodowicza, znaczna część obywateli chciała ze mną gawędzić jeszcze przez parę godzin, więc udałem się do lokalu *Polonii*, do p. Welzanta. Ten ostatni dorobił się tu własną pracą ładnego majątku, bo zacząwszy z niczem, posiada już kilka domów na Bond Street, dobrze rentującą się restauracyę i salon (szynk), i jest wydawcą oraz właścicielem *Polonii*. Wielka ta tygodniowa gazeta, będąca organem demokratycznym, rozwinęła się bardzo w przeciągu 2 lat swego istnienia, co jest przedewszystkiem zasługą zdolnego redaktora dr. Czupki. Zarówno dla wykazania jak powietrze amerykańskie działa na ludzi, jak też dla zaspokojenia ciekawości tych, którzy znają dr. Czupkę ze Lwowa, winienien oddać świadectwo prawdzie i zaznaczyć, że dr. Czupka jest tu poważanym obywatelem, bo nawet członkiem honorowym klubu demokratycznego polskiego, a jako dziennikarz amerykański jest prawdziwą osobliwością, bo należy do „temperenców“ i nie pije ani kropli gorących napojów.

Stanowisko takie redaktora polskiej gazety nie zawsze jest świetne, bo z wyjątkiem kilku polskich gazet chicagoskich, *Kuryera polskiego* w Milwaukee, *Polaka w Ameryce* w Buffalo i *Polonii*, których redaktorowie zarabiają po 70, 100 a nawet i więcej dolarów miesięcznie, to wszystkie inne pisma polskie, zwłaszcza mniejsze płacą swych redaktorów bardzo licho. Spotykałem wcale dzielnych ludzi, którzy za „naczelne kierownictwo redakcyi“ brali po 12, 10 a nawet po 8 dollarów tygodniowo, to znaczy mniej, aniżeli prosty robotnik pracujący z łopatą przy budowie dróg O taką więc posadę ubiega się tylko inteligentny nowo przybyły, t. zw. *greenhorn*, bo skoro tylko poduczy się dobrze angielskiego języka, znajduje natychmiast korzystniejsze zajęcie. W małych pisemkach najwięcej są poszukiwani zecerzy mogący być równocześnie redaktorami; jestto nadzwyczajne uproszczenie wydawnictwa, gdyż taki redaktor nie potrzebuje nawet pisać swych artykułów, tylko je składa wprost z pamięci.

Lecz widzę, że to skojarzenie pojęć zaprowadziłoby mię za daleko. Siedząc w lokalu *Polonii* opowiadać o prasie polsko amerykańskiej, byłby to temat niewyczerpany, przekraczający bardzo

http://rcin.org.pl

szczupłe ramy fejletonu, więc trzeba powrócić do opisu wrażeń w Baltimore.

Po nocnym spoczynku, który z powodu towarzyskiego zebrasię i pogawędki w redakcyi (*nota bene* graniczącej z salonem) wypadł nieszczególnie, zaczynam zwiedzać miasto i okolicę, a przedewszystkiem to, co ma związek z życiem i pracą naszych wychodźców.

Baltimore jest wcale pięknem miastem, liczącem około pół miliona mieszkańców. Już samo położenie na wzgórzach zbudowanych z prastarych law t. zw. plutonicznych, nad pyszną zatoką „Chesapeake Bay“, która prawie w samym środku miasta tworzy znakomitą przystań, podoba się niezmiernie przybyszowi, do tego przyczynia się także znaczna ilość pięknych gmachów. Baltimorczycy zwą gród swój „miastem posągów“, gdyż tych ostatnich jest tu bardzo wiele, czy atoli wszystkie są piękne, to inne pytanie.

Najbardziej okazały jest pomnik Waszyngtona w północnej części miasta, na wzgórzu. Na piedestalu granitowym stoi słup dorycki z białego marmuru, a na nim dopiero kolosalna statua „ojca narodu“. Że całość jest imponująca, o tem nikt nie będzie wątpić, skoro się dowie o wymiarach posągu: piedestal jest 10, słup 54, statua 4·6 m. wysoka.

Inne pomniki są wcale nieładne, jak też w ogóle w Stanach Zjednoczonych bardzo rzadko gdzie można się spotkać z prawdziwie pięknem dziełem sztuki plastycznej. Ja, znając naszych polskich artystów rzeźbiarzy, nie wątpię, że pomnik Kościuszki, który Polacy chcą postawić w Chicago i na który już rozpisano konkurs, będzie najpiękniejszym pomnikiem w Stanach Zjednoczonych.

O wiele stosowniejszą byłaby dla Baltimore nazwa „miasta ostryg“. Rzeczywiście, przechodzi wszelkie pojęcie, ilu tu tych ostryg skonsumują i ile rozeszlą na cały świat, gdyż tu jest główny targ na ten specyał smakoszów. Podając fakt, że kilka milionów buszli przechodzi rocznie przez Baltimore, boję się rzeczywiście, aby łaskawy czytelnik nie pomówił mnię o amerykańską przesadę. A jednak tak jest rzeczywiście. Dość spojrzeć na drogi w okolicy miasta, a nawet na niektóre ulice w samem mieście, aby się przekonać, że to prawda: wszystko jest brukowane skorupami z ostryg. Mojem zdaniem ostrygi tutejsze nie są tak dobre jak nasze, chociaż Amerykanie twierdzą wręcz przeciwnie, że to

http://rcin.org.pl

są *the best in the world*. Najwięcej cenią t. zw. *blue points*, lecz i w tych nie mogłem odnaleść tego delikatnego smaku naszych ostendzkich. Wprawdzie mój szanowny cicerone p. Welzant zaklinał się, iż musi doprowadzić do tego, abym na śniadanie jadał 5 tuzinów, ale to mu się nie udało, bo więcej niż 6—8 sztuk nie mogłem nigdy przełknąć. Przedewszystkiem raziła mnię zawsze ta nadzwyczajna wielkość tych ostryg, bo rozgryzając ostrygę wielkości pięści musi się zawsze połknąć dużo namułu zawartego w przewodzie pokarmowym ostrygi.

Amerykanie jedzą ostrygi przyrządzone na wszystkie możliwe sposoby, pieczone, smażone, gotowane w wodzie lub w mleku, surowe. Najmniej apetyczny sposób jest podanie ostryg bez skorupy na olbrzymiem półmisku. Wtenczas każdy nabiera pełny talerz, soli i pieprzy, polewa *Cat-supem* (ostrym sosem z pomidorów), kraje i robiąc z tego mieszaninę, spożywa łyżką. Oczywista, że ostryga nie jest tu delikatesą, dostępną tylko dla zamożnych, gdyż kupując od rybaka wprost można dostać cały litr za kilka centów.

Połowem ostryg zajmuje się w okolicy Baltimore cała flotyla i mnóstwo ludzi, gdyż w zatoce Chesapeake jest bardzo wiele obfitych ławic ostrygowych. W ostatnich czasach zaprowadzono racyonalną gospodarkę w połowie ostryg, a nawet sztuczną kulturę, chcąc zapobiedz wyniszczeniu tychże.

Jest tu więc policya wodna, która ciągle krąży w małych parowcach po zatoce i pilnuje aby nie łowiono w zakazanych miejscach. Atoli często podczas burzy i mgły przekraczają rybacy ustawę, gdyż wiedzą, że policyi nie zechce się wypływać w niepogodę na morze, a nawet są tacy, którzy łowią tylko na zakazanych miejscach, wyrobił się tu więc rodzaj korsarzy ostrygowych.

Praca koło łowienia ostryg jest bardzo uciążliwa, połów odbywa się przeważnie w zimnych miesiącach, więc nie dziw, że ludzie odmrażają sobie ręce i nogi. Polacy nie mają zamiłowania do zajęcia tego rodzaju, natomiast pracują chętnie w fabrykach konserwów ostryg. Fabryk takich jest tu bardzo wiele, tam ostrygi się otwiera, soli i pakuje je do puszek. Nawet dziewczęta i małe dzieci pracują na chleb w taki sposób, zapłata zawisła od ilości sprawionych ostryg; zwinna robotnica może zarobić dziennie 2 dolary.

Skoro pociepleje, czeka naszego robotnika inne zajęcie, mianowicie praca w polu. Od czasu do czasu przyjeżdżają okoliczni

http://rcin.org.pl

farmerzy i zabierają ze sobą *all hands*, jakie tylko są do dyspozycyi. Przedewszystkiem odbywa się zbiór truskawek, które tu sadzą we wielkiej ilości, następnie innych owoców, a w jesieni liści tytoniowych. Na sam koniec, już w dość późnej jesieni pozostaje zbiór pomidorów.

Trzeba wiedzieć, że pomidorów w Ameryce jest niesłychana ilość, bez tego nie mógłby się obejść Yankes i jednego dnia. Spożywają je na surowo ze solą i pieprzem zarówno przed lunchem jak też i przed obiadem, każde jedzenie zaczyna się od tego, że murzyn stawia przed nami talerz z pokrajanymi pomidorami. Toż samo i do każdego mięsiwa dają surowe pomidory, widziałem nawet często panie, jedzące je na podwieczorek z cukrem. Oprócz tego jadają naturalnie i przyprawione, n. p. nadziewane mięsem i pieczone, dalej zupy, sosy a w końcu w postaci tak zwanego *Cat sup*. Na każdym stole stoi obok octu i oliwy, musztardy i t. d. także flaszka z czerwonym gęstym płynem, jest to właśnie ostry sos pomidorowy czyli *Cat sup*, który dają do rosołu, do mięsiwa, do jarzyn, ostryg i t. p.

Nie będzie więc nas dziwić, gdy zobaczymy tu okiem nieprzejrzane łany zasadzone pomidorami. Aby je całą zimę zachować w świeżym stanie, pakuje się do słonej wody, w puszkach hermetycznie zamkniętych, i właśnie ta praca obok zwykłej zbiórki stanowi zajęcie Polaków w Baltimore, zanim chłodne powietrze nie spowoduje otwarcia ostrygarni.

Dla silnych ludzi jest tu także dość zajęcia w przystani, gdzie co chwila przypływają okręty, przy których wyładowywaniu ma się wcale piękny zarobek. Jednakowoż ludzie pracujący w porcie nie należą do najlepszych. Nieregularny choć znaczny zarobek, ciągłe stykanie się z majtkami przyzwyczajają człowieka do pijatyki i hulaszczego życia. Następujący obrazek najlepiej charakteryzuje lud tego rodzaju.

Pewnego dnia przechadzamy się wczesnym porankiem w porcie oczekując przybycia naszego statku. W grupie ludzi stojących przed salonem słyszymy polską mowę, więc zbliżamy się do nich i zaczynamy pogadankę.

„Jak się macie krajanie! Co tu porabiacie?“

„Oj źle panoczku się mamy, czekamy już drugi dzień na robotę i nie możemy się jej doczekać!“

http://rcin.org.pl

Pan Welzant znający stosunki tamtejsze tylko się uśmiechnął i rzecze:

„To pewnie jesteście jeszcze bez śniadania i możebyście się napili czego?“

„Oj tak, tak panoczku, żeby łaskaw nas poczęstować, bardzo bylibyśmy wdzięczni!“

All right! Zafundowaliśmy im jeden, drugi i trzeci kieliszek, więc kontenci pozapalali cygara i czekają dalej. Nagle słyszymy przeraźliwy świst powtarzający się raz po raz. — moi towarzysze tłómaczą mi, że to sygnał *want of hands*, potrzeba ludzi. Więc ze wszystkich stron spieszą robotnicy w kierunku sygnału, tylko moi Polacy, którzy z takiem utęsknieniem czekają na robotę, ani myślą się ruszyć, lecz palą spokojnie dalej cygara.

„Na miły Bóg, ludzie“, rzekę, „dla czego nie spieszycie do roboty?“

Ogólne milczenie, tylko jeden z nich ziewnął, strzepnął popiół z cygara, poskrobał się za ucho i zwrócił się ku mnie z temi słowy:

„*Well*... nie spieszno nam, może się potem trafi co lepszego“...

Szybkonogie rumaki p. Welzanta pędzą z nami przez miasta, które zwyczajem amerykańskim zabudowało się w kratki. Najpiękniejszą część chowamy sobie na później, zaczynamy od przedmieści i okolicy. Wszędzie jest dość schludnie, co już stanowi komplement dla większego miasta w Stanach Zjednoczonych, domki są adne, wygodne, czyste. Wzdłuż ostrygarni jedziemy za miasto w stronę południową.

Spacer przepyszny, okolica bardzo przyjemna. Droga równiutka jak stół, wybrukowana skorupami ostrygowemi prowadzi pomiędzy uprawne pola, zielone łąki i pyszne lasy. Wstępujemy na polski cmentarz położony bardzo malowniczo w gęstym lesie, płoszymy po polach liczne kuropatwy, cieszymy się ciepłem jesiennem słońcem i pełną piersią wciągamy świeże, silne powietrze, przychodzące z wiatrem od morza.

Coraz to głębszy bór, nareszcie przychodzą i wody. Te zielone wody tworzące tu i ówdzie tajemnicze jeziorka w głębi lasów te rozkoszne murawy, cieniste gęstwiny leśne, wszystko to łączy się w nadzwyczaj miły obraz. Są tu więc ulubione miejsca wycieczkowe Baltimorczyków, dlatego spotykamy często hotele, a obok

http://rcin.org.pl

nich naturalnie łódki, huśtawki i t. p. przyrządy do gier towarzyskich i do gimnastyki, jak też w ogóle wszystko, czego tylko wycieczkowcom potrzeba. Takich jeziorek i rzek o romantycznych widokach jest w okolicy Baltimore bardzo wiele, do tego i zatoka Chesapeake ma tu liczne małe odnogi, które jak labirynt wchodzą w głąb kraju.

Następnego dnia zwiedzam miasto samo. Najpiękniejsza ulica, ciągnąca się blisko 3 km. ze wschodu na zachód jest Baltimore Street. Piękne jej domy przedstawiałyby się wcale nie źle, gdyby nie te druty nad ulicą, których Amerykanie nie nauczą się nigdy umieszczać pod ziemią.

Zwiedzamy śliczny gmach *city-hall* w stylu kapitolów amerykańskich, giełdę, *county court house*, wreszcie katedrę rzymsko-kat. w stylu bazyliki. Baltimore jest siedzibą arcybiskupią i niejako stolicą katolicką Ameryki, tu się bowiem odbył sobór regulujący stosunki kościoła katolickiego w Stanach Zjednoczonych i tutaj jest kilkanaście katolickich kościołów. Żałowałem bardzo, żem nie zastał kardynała Gibbonsa w domu, gdyż wyjechał był na uroczystości kolumbijskie do Chicago; ma to być człowiek godzien ze wszech miar tego szacunku i uwielbienia, które go otacza.

Przez północne przedmieście dostajemy się do Druid-Hill-Parku, obejmującego przeszło 300 akrów powierzchni. Na piękność tego parku złożyły się tylko dary przyrody, gdyż sztuka uczyniła tu nie wiele, i nie potrzebowała rzeczywiście wiele czynić. Śliczny wzgórzysty teren, na którym zielone murawy następują po ciemnych lasach, świecące jeziorka, ładne grupy prastarych drzew, to wszystko razem tworzy urocze miejsce spacerowe, którego można pozazdrościć Baltimorczykom. Bardzo ciekawy zwierzyniec z fauną amerykańską, akwaryum, piękne kawiarnie i t. p. urozmaicają pobyt tamże.

Atoli najpiękniejszą i najciekawszą była wycieczka urządzona dla mnie w głąb zatoki Chesapeake. Już wczesnym porankiem udałem się w towarzystwie komitetu z p. Welzantem na czele do przystani, gdzie nas oczekiwał osobny, na ten cel wynajęty mały parowczyk.

Pogoda prześliczna. W porannem słońcu lśni cała przystań jak gdyby roztopiony kruszec, liczne statki uwijają się na wszystkie strony jak ptaki morskie, z porannej mgły wyzierają urocze wzgó-

http://rcin.org.pl

rza baltimorskie. Z uczuciem więc nieopisanej błogości siedzimy na przodzie naszej parowej muchy i spoglądamy na pyszny obraz dookoła.

Ta część przystani baltimorskiej, wchodzącej w sam środek miasta, jest dość płytka (4·5 m.), tak, że tylko mniejsze statki mogą tędy pływać. Są to przeważnie okręty towarowe, więc zawijają do portu i opuszczają go ładowne w zboże, pomidory i tytoń, gdyż Baltimore stanowi główny środek handlu tytoniu w Stanach Zjednoczonych.

Zbliżamy się do fortu Mac Henri, strzegącego wejścia do przystani i moi towarzysze postanawiają zwiedzić go. Napróżno tłómaczę im — jako stary żołnierz — że zwiedzanie fortu bez pozwolenia najwyższej władzy wojskowej jest wręcz niemożliwe, — ani słyszeć o tem nie chcą. „Jakto?“ pytają, „wolni obywatele wolnego państwa nie mieliby prawa zwiedzenia rzeczy, na którą dali pieniądze?“... Trudna perswazya, więc „kapitan“ naszej muchy, wyszukuje jakąś czarną okopconą płachtę, która niegdyś była flagą Stanów Zjednoczonych i zawieszając na maszcie, salutuje flagę fortecy. Za chwilę lądujemy i zbliżamy się do redut. Na nasze powitanie wyszedł żołnierz z karabinem na plecach, a przekonawszy się, że nie mamy pozwolenia, kazał się nam natychmiast wraz z naszym parowcem wynosić. Nie pomogły protesty wolnych obywateli, podnieśliśmy więc kotwicę i popłynęliśmy na południe.

Kilka mil dalej na południe od tego miejsca wznosi się w samym środku zatoki, potężny jeszcze nieskończony fort, który dla nas już i z tego względu jest bardzo ciekawy, bo budowę jego rozpoczął Kościuszko. Poznawszy bowiem strategiczną ważność tego miejsca, zaczął tu sypać sztuczną wysepkę i budować redutę z ziemi. Oczywista, że w obec dzisiejszych armat, potrzeba było zamienić ziemię na kamień, więc w ostatnich czasach wzięto się energicznie do przebudowania. Tu już ja sam byłem ciekaw obejrzeć tak pamiątkowy dla nas fort, więc postanowiliśmy wylądować za wszelką cenę. Próba udała się nadspodziewanie dobrze. Komendant dowiedziawszy się, że na pokładzie statku znajduje się rodak Kościuszki, przybyły z Europy dla zwiedzenia Stanów Zjednoczonych przyjął nas bardzo grzecznie i pozwolił oglądać wszystko.

Fort jest bardzo ciekawy. Zbudowany z olbrzymich ciosów granitowych, tworzących nadzwyczaj grube mury, najeżony arma-

http://rcin.org.pl

tami najcięższego kalibru, otoczony zewsząd zieloną wodą zatoki, kryje w swem wnętrzu miluchną oazę, bo wielki sad brzoskwiniowy. Spacerując po zielonej murawie w cieniu drzew prawie nie chce się wierzyć, że tuż po za niemi kryją się straszliwe, śmierć i zniszczenie niosące przyrządy.

Płyniemy dalej. Słońce już wysoko wzbiło się na niebo, więc urządzamy na pokładzie lunch. Niewątpliwie, że pan Welzant wziął ze swego salonu, co było najlepszego, gdyż chwalimy śniadanie, a potem pozapalawszy hawana, które tu są bardzo pospolite, choć nieco drogie, płyniemy dalej w najlepszym humorze aż do miejsca, gdzie właściwy port się kończy.

Wiadomo powszechnie, jak ważną jest przystań baltimorska. Ze wszystkich portów europejskich zawijają tu okręty zarówno towarowe jakoteż i pasażerskie, a przedewszystkiem statki z wychodźcami. Tylko wielkie pospieszne parowce nie mogą korzystać z tego portu, gdyż dla nich jest za płytki.

Płyniemy aż do miejsca, gdzie się zaczyna wielka zatoka Chesapeake, dzieląca stan Maryland na dwie części. Tu zwiedzamy na wschodniem wybrzeżu ogromną hutę żelazną, w której pracują i Polacy, poczem przeprawiamy się na drugie wybrzeże zatoki do gmachu kwarantanny, którym także zarządza Polak.

Przeprawa nasza do tego gmachu była bardzo ciekawa. Opuściwszy parowiec raz na zawsze w pierwszem lepszem miejscu, znaleźliśmy się w labiryncie na pozór bez wyjścia. Olbrzymie rośliny wodne i burzany tworzące gąszcze nie do przebycia, otoczyły nas zewsząd, a zakrywając widok nie dozwalały nam zoryentować się.

Dokądkolwiek tylko przedarliśmy się, natrafiliśmy na wodę, i byliśmy już pewni, że odprawiwszy lekkomyślnie parowiec, stanęliśmy na jakiejś odludnej wyspie, na której będziemy musieli wieść przez jakiś czas żywot Robinsona Krusoe, kiedy przypadkiem odkryliśmy połączenie z lądem, i wkrótce po ciężkiej przeprawie przez sitowie i mokry nadmorski las dostaliśmy się do gmachu kwarantanny.

Z powodu cholery w Europie i w porcie Nowojorskim pobudowano tu obok głównego murowanego gmachu, przeznaczonego na szpital, mnóstwo baraków dla zdrowych, na szczęście stały one pustką, i daj Boże, aby pierwej zgniły, zanim nieszczęśliwi będą

http://rcin.org.pl

musieli w nich kilka tygodni mieszkać patrząc na umierających towarzyszów.

Przyjęci gościnnie przez zarząd szpitala powróciliśmy wreszcie wieczorem koleją elektryczną, łączącą pobliską wioskę z Baltimore, do domu, mając jeszcze sposobność zakończyć oglądaniem potężnego mostu prowadzącego przez górną część przystani, wrażenia tego pięknego dnia.

W Baltiimore mijał mi czas szybko i przyjemnie. Każdy z Polaków chciał mnie mieć u siebie choć przez kilka godzin. Rezultatem tego było, że zacny mój gospodarz, ks. proboszcz Rodowicz musiał się fatygować do sąsiadów, chcąc pogawędzić ze swym gościem, bo w domu rzadko go kiedy widywał.

Przedostatniego dnia mego pobytu urządzono w hali St. Patriks Church przy ulicy Nelson wielki *mass-meeting*, w celu dania sposobności szerszej publiczności powitania i usłyszenia mnie.

Sala była przepełniona, rycerstwo wystąpiło w uniformach, a na estradzie zajął miejsce komitet, składający się z ks. Rodowicza, ks. dr. Barabasza, ks. Skrętnego, dr. Chudzyńskiego i pp. Welzanta, Dziennika i Kołakowskiego.

O godzinie 8 wieczorem rozpoczął ks. dr. Barabasz posiedzenie, przedstawiając zgromadzonej publiczności gościa z za Oceanu i witając go serdecznie imieniem polskich obywateli miasta Baltimore.

Zaszczycony wyborem na przewodniczącego określiłem w krótkich słowach cel mego przybycia, t. j. zbadania sprawy naszej emigracyi, poznania Polonii w Ameryce i nawiązania z nią stosunków duchowych, któreby ją łączyły z krajem.

Po tej mowie chór złożony z panów i pań odśpiewał pod batutą ks. dr. Barabasza śliczną patryotyczną pieśń jego utworu „O biedna Polsko“. Rzęsiste oklaski były nagrodą nadzwyczaj pięknego i umiejętnego wykonania.

Z kolei przemawiał ks. Rodowicz na temat zgody i jedności, poczem śpiewała dziatwa szkolna, nareszcie wygłosił dr. Chudzyński bardzo piękną patryotyczną mowę. Szanowny ten lekarz jest bardzo ciekawą osobistością. Urodził się w Królestwie, na medycynę chodził w Petersburgu, praktykował we Francyi, poczem był lekarrem nadwornym i przybocznym beja tunetańskiego, wreszcie sprzykrzywszy sobie Afrykę, przybył do Ameryki i tutaj w Baltimore ma bardzo rozległą praktykę.

http://rcin.org.pl

Ks. Skrętny odczytał bardzo piękny wiersz dra Czupki „Witaj nam“, napisany umyślnie na tę uroczystość, poczem wspólny śpiew narodowych pieśni zakończył ten piękny obchód.

W godzinę później udaliśmy się na polski bal, urządzony przez Tow. Najświętszej Trójcy. Polonia bawiła się ochoczo z zachowaniem wszelkich form amerykańskiego dobrego tonu. Nieprzywykłego do stosunków amerykańskich razi z początku nieco ta okoliczność, że panny są bardzo śmiałe, a nasze Poleczki amerykanizują się w tym względzie bardzo prędko. Więc wybierają sobie danserów, wodzą na balu rej i zachowują się w ogóle tak, jak u nas mężczyźni. Nie razi też nikogo, że dziewczyna pierwsza chłopcu się oświadczy. — „Słuchaj Dżon“ (tu już nie ma Jaśków), rzecze panna do swego kawalera, „ja ciebie lajkuję *(I like you)*, ożeń się ze mną“. — Jeżeli tenże odpowie: „*All' right*“, to sprawa skończona, jeżeli atoli zacznie zdanie od „*Well*“, to przyjdzie z pewnością „ożeniłbym... ale“. W ogóle jest tu młodzież męzka niesłychanie ostrożna z wynurzaniem swych uczuć, gdyż ustawy wszystkich Stanów biorą bardzo płeć piękną w obronę i posuwają rygor w obec mężczyzn aż do śmieszności. Panna potrzebuje tylko podać do sądu, że kawaler jej się był oświadczył, a teraz ją zaniedbuje, to zaraz faceta pakują do kozy i trzymają tak długo, dopóki się z nią nie ożeni lub nie zapłaci odszkodowania za zranione serce. W całej Ameryce północnej śpiewa Polonia humorystyczną piosnkę kompozycyi dra Czupki, w której są znakomicie oddane dziwaczne zwyczaje amerykańskie. Zwrotka tycząca się stosunków, o których teraz mówiliśmy, brzmi:

Pożartuj z panną raz
I w biały jasny dzień,
To choćby piorun trzasł,
Już się z nią bratku żeń.
Bo sprawiedliwy sąd,
Nie pyta ktoś i zkąd,
Czyś rad jej czy nie rad,
Żeń się z poza krat,
Bo to Ameryka
To śliczny wolny kraj. etc.

Zauważyłem także na tutejszych polskich balach, że tu powoli zaczynają zapominać polskich tańców; gdy muzyka zagra mazura, natenczas przedzielają salę linewką na dwie połowy i gdy

http://rcin.org.pl

na jednej połowie tańczy się mazura, to na drugiej skaczą jakiegoś improwizowanego tańca wirowego.

Ostatniego wieczora mego pobytu w Baltimore uczcili mnie rodacy pożegnalnym bankietem w hotelu Carollton, więc uścisnąwszy wszystkim serdecznie rękę i przyjąwszy z podziękowaniem zaproszenie odwiedzin Baltimore na przyszły rok, popędziłem następnego poranku ku północnemu wschodowi do milionowego miasta Kwakrów.

---

http://rcin.org.pl

XV.

FILADELFIA

16 października 1892.

Kto nie był w październiku lub listopadzie w północnych Stanach Zjednoczonych, ten nie może mieć pojęcia o piękności jesieni amerykańskiej, zwanej indyjskiem latem. Pędząc w cudowny poranek do Filadelfii nie mogę oczu oderwać od widoku, który się przedemną roztacza. Gęsty dziewiczy bór towarzyszy nam po obu stronach toru kolejowego, lecz cóż to za śliczne barwy tego boru! Gdyby który z naszych malarzy chwycił na płótno ten jesienny krajobraz, na który obecnie spoglądam, to niewątpliwie krytyka europejska pomówiłaby go o przesadę. Wszak barwy, które podziwiam, nie są właściwie barwami liści, lecz kwiatów, wszak ta pstra ściana, która się obok mnie wznosi, podobna jest raczej do kobierca o nadzwyczaj żywym deseniu, aniżeli do lasu.

A przecież to tylko las... a przecież to tylko liście, lecz w swym stroju jesiennym. Najcudniejszy szkarłat przechodzi w tęczy przez żółte, zielone aż do liliowych kolorów. Tu stoi dąb cały w purpurze, odbijając dziwnie od ciemno-zielonego tła uroczej grupy sosen, obok niego szamowo-żółte hikory, liliowo-popielate platany, ówdzie zdaje się cały krzew płonąć jasnym ogniem, tam wznoszą się jakieś drzewa w brunatnym stroju, jak gdyby w habicie mnichów.

Czarodziejski urok rozlany jest na całą przyrodę. Spoglądając na te odwieczne, dziewicze lasy, na tajemnicze jeziorka w ich wnętrzu, na te kryształowe rzeki, spieszące do morza, mimowolnie zapominam o teraźniejszości i oddaję się marzeniom. Niegdyś

http://rcin.org.pl

wyglądało tu inaczej... nie było ani kolei, ani fabryk, ani farmerów. Tak... ja widzę oczyma duszy jak tu było niegdyś, i świat marzeń przenoszę w rzeczywistość. Ten silny mężczyzna o twarzy ogorzałej od słońca, deszczów i wiatru stojący w zamyśleniu nad jeziorkiem i oparty o swą długą strzelbę, to zapewne *Pathfinder* czyli *Hawk-Eye*, ten młody wysoki człowiek, to *Eau-douce*, a tam w oddali ta grupa ludzi tropiących wzdłuż strumienia, to zapewne Indyanie. Rzeczywiście... na ich czele spieszy stary *Big-Serpent* i *Unkas* *), ten ostatni potomek wymierającego szczepu!..

Lecz dziś inaczej. Blada twarz zawładnęła potężnym kontynentem, a pierwotni panowie tej ziemi pospędzani w dalekim zachodzie w kupki, strzeżone przez wojsko, giną zwolna i niezbyt daleko do czasu, kiedy ostatni z żyjącego jeszcze niecałego ćwierć miliona pójdzie do Wielkiego Ducha polować z ojcami na niebieskich puszczach!...

Gwałtowny turkot pociągu wyrywa mię z mych marzeń. Pędzimy po wielkim moście nad odnogą morską, do której tu wpada rzeka Susquehanna. Jest to najbardziej na północ wysunięta część zatoki Chesapeake, wyglądająca bardzo malowniczo. Niktby się nie spodziewał tutaj w bliskości Atlantyku i wielkich miast takich prawdziwie dziewiczych borów. A właśnie po obu brzegach zatoki rozciąga się okiem nieprzejrzana puszcza leśna, lśniąca obecnie blaskiem swych kolorów, od której pięknie odbijają białe żagle statków rybackich. Wąziutka drożyna, prowadząca nad samą wodą, zdaje się zapraszać do przechadzki.

Za kilka chwil wyłania się z dymu całe morze gmachów, jesteśmy więc w Filadelfii, gdzie nas na dworcu oczekuje polski komitet z ks. Małuseckim na czele.

Do polskiej części daleko, bo przeszło godzinę jazdy, mamy więc dobrą sposobność rozglądać się po mieście. Pierwsze, co nam wpada w oczy, to wielki ratusz (City-Hall), naśladujący budowę kapitolu w Waszyngtonie, potem mennica, *the Independence Hall* i kilka innych, wcale okazałych budynków. W ogóle ulice *Chestnut* i *Broad-Street,* któremi obecnie jedziemy, robią na nas bardzo dobre wrażenie, gdyż zachwycamy się pięknymi i kosztownymi domami, które tu następują jeden po drugim. Chestnut jest główną arteryą miasta, gdyż w niej koncentruje się ruch handlowy.

---

*) Postacie z romansów Coopera.

http://rcin.org.pl

Ale zaledwie wjechaliśmy w sąsiednie ulice, już to dobre pierwsze wrażenie słabnąć poczyna, a w dalszej podróży przekonamy się do syta, że milionowa Filadelfia jest sobie serdecznie nudnem miastem. Ulice długie w nieskończoność, a wszystkie tak do siebie podobne, że nawet miejscowy może się oryentować tylko zapomocą nazw i numerów. Domki przeważnie małe, jednopiątrowe, służą za mieszkanie tylko jednej rodzinie. Można więc sobie wyobrazić, ile obszaru zajmuje miasto liczące przeszło milion mieszkańców, z których co kilka osób osobny posiada domek.

Ta jednostajność z powodu licznych małych domów, może obcemu się nie podobać, ale dla miejscowych jest ona prawdziwem błogosławieństwem. Szczęśliwi ci ludzie nie mają pojęcia o naszej europejskiej, a zwłaszcza lwowskiej nędzy pomieszkaniowej, nie chcą wierzyć, gdy się im opowiada o naszych lwowskich czynszach, uważają za przesadę, gdy ich zapewniam, że tu urzędnik przeszło trzecią część swej gaży musi płacić za kilka nędznych, obdrapanych, cuchnących klatek, przezwanych szumnie pokojami, że wyrobnik mieszka po zapowietrzonych norach, że całe rodziny mieszczą się w jednej izdebce i t. p.

Tutaj rozwiązano kwestyę tanich mieszkań w bardzo prosty sposób; oto każdy, nawet biedny wyrobnik ma swój domek. Nie pojmuję, dla czego Europa nie uczy się w tej mierze od Ameryki my w europejskich miastach ciśniemy się gwałtem razem, przepłacamy grunt budowlany, pchamy się do zaułków, aby oddechać zgniłem powietrzem, pić niezdrową wodę i zarażać się od sąsiadów zakaźnemi chorobami. Dla czegoż nie możemy rozszerzyć się? Wszakże jeżeli po pod nasze okna przechodzi kolej elektryczna, która za kilka centów wiezie na drugi koniec miasta, to przecież obojętnie, czy mieszkamy dwa kilometry dalej czy bliżej od żydowskiego rynku, a przecież w odległości kilku kilometrów od środka miasta, cały grunt pod budowę będzie kosztować tyle, co jeden metr we środku.

Lecz po tej europejskiej wycieczce wróćmy napowrót do Ameryki.

Prawdziwą ozdobą Filadelfii jest Fairmount, olbrzymi park z dobrą wodą, którą sprowadzają do miasta. Rozciąga się on nad rzeczką Schuylkill, wprawdzie nie ma tego pięknego położenia, co park nowojorski, ale mimo tego jest bardzo ładny i dobrze utrzymany.

http://rcin.org.pl

Z parku jedziemy na polską część przez rzekę Delaware, która o kilkadziesiąt mil ztąd wpada do zatoki tej samej nazwy. Przystań filadelfijska jest wcale nie zła, mniejsze okręty mogą przypływać wprost z morza pod same miasto, ale mimo tego ruch statków jest tu nie wielki, jak też w ogóle, co sią tyczy handlu, fabryczna Filadelfia nie może rywalizować z Baltimore.

W dziejach Stanów Zjednoczonych odgrywa Filadelfia niepoślednią rolę. W r. 1719 wyszła tu piewsza amerykańska gazeta *The Weekly Mercury*, w r. 1728 druga p. tyt. *Gazette*. Benjamin Franklin, redaktor tejże ostatniej umieścił w niej w r. 1747 sławny swój artykuł *Plain Truth* (prosta prawda), który stanowił początek ruchu rewolucyjnego. Tu odbył się pierwszy kongres w r. 1774, tutaj mianowano Waszyngtona jenerałem i głównodowodzącym armii Stanów Zjednoczonych, tu wreszcie podpisano i ogłoszono deklaracyę niepodległości w dniach 4go i 8go lipca 1776 r.

Jednakowoż mieszkańcy miasta nie są zbyt sympatyczni. Są to przeważnie kwakrzy (założycielem miasta był kwakr Wiliam Penn w r. 1682), baptyści, metodyści i inni sekciarze, a wszyscy razem wzięci nieznośni świętoszki. Wszyscy są na pozór „temperency“, a w rzeczywistości więcej piją, aniżeli każdy inny śmiertelnik. Opowiadano mi o zabawnym ich sposobie udawania wstrzemięzliwego. Przychodzi taki temperenc do apteki i z pokorną miną żąda wody sodowej. Aptekarz patrzy się z uwagą na niego, i stosownie do jakiegoś niewinnego znaku ręką, lub okiem wie, że gentleman chce wódki, rumu, araku i t. p., czem mu też natychmiast służy, gdyż w aptekach tutejszych jest więcej kordyałów tego rodzaju, aniżeli chininy lub herbaty ślazowej.

W taki sposób rozglądając się po Filadelfii i rozprawiając o niej zajechaliśmy na *Vienna Street* po przed piękny kościółek św. Wawrzyńca. Dom parafialny, prawdziwy pałacyk, otworzył swe gościnne podwoje, i uprzejmy gospodarz przyjął mnie serdecznie, po staropolsku. Natychmiast zebrało się liczne grono obywateli, którzy mnie informowali o stosunkach tamtejszych Polaków.

Trafiłem na zły czas, bo na zaburzenia w drugiej polskiej parafii św. Stanisława. Arcybiskup usunął bowiem dla jakichś powodów dotychczasowego rektora ks. B. (w Ameryce właściwie nie ma proboszczów w naszem pojęciu z beneficium, są to bowiem tylko misye, więc takiego zarządzcę czyli rektora może bi-

http://rcin.org.pl

skup każdej chwili usunąć), a zamianował na jego miejsce ks. Kopytkiewicza. Parafianie oparli się temu w gwałtowny sposób, z rewolwerami w ręku odpędzili ks. Kopytkiewicza od ołtarza, żądając powrotu ks. B. Nic nie pomagały perswazye, zaburzenia trwały dalej, aż wreszcie arcybiskup Ryan, Irlandczyk, ogłosił list pasterski, którego początek przytaczam w dosłownem tłumaczeniu, gdyż zawiera on świadectwo księcia Kościoła, wydane Polakom amerykańskim z powodu ich ofiarności i przywiązania do Kościoła katolickiego. Tenor jego jest następujący:

Do Polaków-katolików parafii św. Stanisława w Philadelphi, Pa.

Moje drogie dzieci w Chrystusie!

„Byłoby to dla mnie prawdziwą rozkoszą, gdybym mógł przemówić do was waszym ojczystym językiem i stanąć między wami i przemówić do was jako ojciec do swych dzieci, których niezgoda na dwa podzieliła obozy.

Odpowiedź mieszkańców nieszczęśliwej Polski dla strasznych najeźdzców i prześladowców religii i narodowości, odpowiedź, zapisana krwią polskich patryotów, którzy ginęli na polach walki lub pod brutalnym knutem, lub wreszcie między śniegami dreszczem przejmującej Syberyi, jest dobrze znana i wzbudza zazdrość u wszystkich ludów jakiegokolwiek szczepu i wyznania, u których pierwsze miejsce zajmuje religia, cnota, miłość ojczyzny.

Wy również, moje drogie dzieci, godne waszych ojców, którzy nigdy nie bratali się z podłymi wrogami waszej Ojczyzny, ojców, którzy strzegli jako skarbu religii swych przodków, którzy odczuwali w sercach swych zdradliwe zamiary nieprzyjaznych narodów — wy również jako i ojcowie wasi ze smutną pieśnią na ustach opuszczaliście wasze chaty i ziemie wasze, byle tylko szukać i znaleść swobodę na tej wolnej ziemi.

Żarliwość i gorącość katolickiej wiary w narodzie polskim uwidocznia się przez domaganie się o coraz to nowsze parafie już z samych początków; przez wspaniałe kościoły i inne liczne zakłady religijne, które wznosiliście własnemi rękami i które świeżo powstają po wszystkich miastach tej ziemi. Świadectwem waszej wspaniałomyślności są dalej wasze szczodrobliwe ofiary dla waszych dusz pasterzy, których nieraz żegnaliście z głębokim smutkiem, kiedy z wami rozstać się mieli. Rozpacz ludu w chwili

http://rcin.org.pl

pożegnania księdza jest wytłumaczona, nie powiem uzasadniona. Jest bowiem koniecznem, by parafia kochała swego kapłana, który wiernie pracował. Zaiste, byłoby to niezbitym dowodem niewdzięczności, gdyby parafia obojętnością mu się odpłacała za jego pracę. Lecz moje drogie dzieci, to uczucie przywiązania dla waszych kapłanów, nie powinno nigdy wyrugować posłuszeństwa dla waszych Biskupów, którzy są przełożonymi księży i narodów katolickich. Pismo św. bowiem mówi: „Są oni naznaczeni przez Ducha św. rządzić Kościołem Bożym.“

Jest to wszystkim wiadomem, na jakie prześladowania była wystawiona religia waszych ojców, lecz tutaj, dzięki Najwyższemu Bogu, dzieje się zupełnie inaczej. Tutaj prawo i wolność to są dwie rodzone siostrzyce. Tutaj jesteśmy wolnym narodem, bo kochamy i jesteśmy posłuszni prawom, które zabezpieczają każdego z nas w prawach i obowiązkach naszych. Jeżeli jednak chcemy być dobrymi obywatelami amerykańskiej Republiki, jest naszym obowiązkiem słuchać chętnem sercem mądrych praw prowincyi Pensylwanii i całych Stanów Zjednoczonych.

To samo powtórzyć muszę: „Jeżeli chcemy być wiernymi synami Kościoła, to słuchać musimy Synodów Kościoła, potwierdzonych przez Stolicę Apostolską. Według tych praw, każdy biskup ma władzę i prawo usunąć księdza z jednej parafii do drugiej, ile razy tylko dobro religii się tego domaga. Otwarcie mówię, że i ja miałem przyczyny, które mnie nakłoniły, bym waszego tymczasowego proboszcza, który nie był stałym i który nie był przyjęty w grono moich księży dyecezyalnych, zmienił, a na jego miejsce posłałem innego księdza, który świeżo przybył z waszej ojczyzny. Zanadto jednak wybuchowe i za żywe uczucia dla dawnego księdza znalazły wyraz w niezadowoleniu ku jego następcy. Ja wśród tego wysłuchałem kilkakrotnie z cierpliwością i z pełną rozwagą wszystkiego, z czem do mnie przyszliście, nie mogłem jednak znaleść żadnej podstawy waszego niezadowolnienia, jakieście podnosili przeciwko niemu. To świadectwo daję mu ja, jako biskup, a ono niechaj oświeca ciężki krzyż, który złośliwość i obelga włożyły na ramiona jego“.

Wreszcie nakłania arcypasterz do przyjęcia trzeciego kapłana, którego z kolei przeznaczył dla osieroconej parafii.

Między Polonią w Ameryce zdarzały się już niejednokrotnie tego rodzaju rozruchy. W Detroit np. przybrały one takie rozmiary,

http://rcin.org.pl

że aż krew płynęła, a kumoszki przemocą oderwały księdza od ołarza i wypchały z kościoła.

Ta wolność amerykańska wyradza się przy braku wyższej inteligencyi i wykształcenia w swawolę. O wyrobieniu zaś licznej inteligencyi polskiej w Ameryce, dopóty nie będzie mowy, dopóki będzie trwał dotychczasowy system wychowywania dzieci. Polska szkółka ludowa jest po prostu przygotowaniem do pierwszej komunii, poczem 12-letnie dziecko idzie na zarobek do fabryki i zostaje całe życie na tym najniższym poziomie społeczeństwa amerykańskiego, na którym stali jego rodzice. Urządzenie wyższych szkół dla polskich dzieci w Ameryce jest rzeczą wielkiej wagi.

Prosty zaś ludek nasz, widząc, że ani państwo, ani milionerzy nie dają niczego na kościół, że tylko za jego dolarki wznoszą się domy boże i szkoły i utrzymuje się ksiądz, — pozwala sobie za wiele i trzeba wielkiego taktu, aby sobie z nim dać radę.

Sam byłem świadkiem kilku ciekawych scen.

Przychodzi chłopek do księdza i domaga się czegoś, czego ksiądz mu nie chciał uczynić. Wpada chłopek w pasyę i woła: „ksiądz musisz mi to uczynić, bo ja tak każę — ja księdzu płacę, więc ksiądz jesteś moim parobkiem“.

Ksiądz zamiast go wyrzucić za drzwi, rzecze łagodnie: „Widzisz mój kochany, ja ci zaraz udowodnię, żeś ty skończony osioł. W starym kraju płaciłeś podatki, z tych podatków utrzymuje się wojsko, urzędnicy i t. p., a przecież nigdy ci nie wpadło na myśl powiedzieć twemu staroście lub twemu kapitanowi, że on jest twym parobkiem, bo ty płacisz na jego utrzymanie. Otóż tak samo jest tutaj, ty płacisz podatek na kościół, tylko nie z musu jak w starym kraju, lecz dobrowolnie“.

Chłopek pomyślał — przyznał słuszność, pocałował na przeprosiny księdza w rękę i wszystko było *all'right*

Innego razu byłem obecny, jak kumoszki uczyły młodego, świeżo przybyłego księdza, liturgii. — „Po tej pieśni powinna była nastąpić ta modlitwa, a nie owa, ślub, który dzisiaj dał, jest nieważny, bo powinien był stułą ręce związać, a nie tylko postawić na rękach“ i t. p.

Zadanie więc polskiego księdza w Ameryce jest nie łatwe, ale piękne, chodzi bowiem o utrzymanie wiary i narodowości naszego ludu na drugiej półkuli. Oczywista, że każdy polski katolicki kapłan działa lub powinien działać z powołania a nie dla zysków

http://rcin.org.pl

materyalnych, więc nie byłoby na miejscu mówić tu o dochodach polskich księży w Ameryce północnej i podnosić, że są polskie parafie, mające dochody naszych arcybiskupstw i biskupstw, że pensya namiestnika u nas odpowiada dochodowi proboszcza średniej parafii, że ksiądz mający dochód w wysokości pensyi naszego urzędnika VIej rangi liczy się do nędzarzy itp.

Dzień przed mym wyjazdem przeznaczono na publiczne zebranie, które odbyło się w hali na Girard Av. Na sali stanęła pod bronią gwardya Pułaskiego w pysznych uniformach, obok niej szkolne dzieci, chłopaki i dziewczęta, wszystko ubrane po krakowsku. Po śpiewie i deklamacyach nastąpiły przemowy, przedewszystkiem ks. Klavitra z Hazleton, a potem właściwa powitalna mowa p. Andrzejkowicza, zamożnego i poważanego obywatela, fabrykanta farb. Mowa ta była piękna i tak dobrze charakteryzuje uczucia i dążności postępowych Polaków w Ameryce, że niewątpliwie zajmie i szanownych czytelników.

„Szanowny mężu a wielce nam miły gościu z ojczystej ziemi!

Przybywasz do nas z za Oceanu, aby nam po bratersku ścisnąć dłoń i spoić ogniem miłości ojczyzny łańcuch, który z ojców ziemią nas łączyć nie przestaje. Przybywasz do grodu, który jak Mekka wyznawcom Mahometa winien być świętym dla każdego Amerykanina. Bo tu wolności kolebka, tu po raz pierwszy w dziejach ludzkiego rodu ogłoszone były prawdziwie wolność i równość, tu w Hali Niepodległości zabrzmiał ów dzwon, aby głosić wolność ziemi, tu nieśmiertelny Jefferson, przyjaciel naszego Kościuszki, pisał oswiadczenie Niepodległości, tu w bitwie pod Germantown nasz Pułaski na czele zbiegów z angielskiej armii łamał angielskie szeregi, tu spoczął wielki Franklin, tu urodziła się amerykańska rzeczpospolita.

Pod wpływem tylu drogich dla ludzkości pamiątek my Polacy, tułacze, wieleśmy się nauczyli, o ojczyźnie nie zapominając. Ztąd 12 lat temu powstała pomiędzy nami myśl połączenia w jedno ciało tak wielkiej liczby polskich towarzystw, rozrzuconych po całym obszarze Zjednoczonych Stanów, aby wspólnie pracować nad zachowaniem pośród nas narodowości, aby nadewszystko ratować dla Polski te krocie tysięcy naszych wychodźców, codziennie przybywających do tego kraju. Myśl ta w czyn wcielona zrodziła Związek narodowy polski, oparty na zasadzie iście rodzinnej, to jest

http://rcin.org.pl

federacyjnej, co znaczy, że nasza konstytucya zawarowała samorząd gmin w sprawach miejscowych a obowiązała je do wspólnych działań w sprawach tyczących się Polski.

Jakież Związek zrodził owoce?

Naprzód obowiązkowe obchody uroczystości narodowych, powtóre skarb narodowy, po trzecie czytelnie miejscowe, po czwarte prasę polską.

Każdemu z nas jest wiadomem, o ile obchody narodowych uroczystości przyczyniły się do obznajomienia nas wszystkich z historyą głównych wypadków w Polsce porozbiorowej, do obudzenia w nas patryotyzmu. Któryż z nas bowiem wychowany w moskiewskiej lub pruskiej szkole, cokolwiek wiedział o Kościuszce, o Konstytucyi 3go maja, o powstaniu listopadowem i t. d.

Co do skarbu narodowego, zapisany on będzie w księdze zasług jako grosz wdowi. Bo komuż łzą nie zajdzie oko, kiedy jest świadkiem, jak polski robotnik ciężko zapracowany grosz składa w ofierze na ołtarzu ojczyzny. Zaiste ten grosz może tyle zaważy na szali przeznaczeń, co krocie tysięcy danych przez bogaczy.

Czytelnie są dowodem, że lud nasz przejęty żądzą wiadomości i oświaty a prasa nasza, składająca się dziś z kilkudziesięciu dzienników, wiele czyni dla oświecenia ludu, jako też dla utrzymania narodowości.

Słowem, nie jesteśmy dla Polski straceni, tylko lud polski przychodzi w Ameryce do poczucia swojej godności, a z tem poczuciem budzi się w nim patryotyzm, on się czuje wolnym, a polska narodowość w nim się odradza.

Fakt rozbiorów naszej ojczyzny, nikczemne traktaty, które nas dzieliły, zostały zmazane przez lud polski w Ameryce. Litwini, Rusini, Wielkopolanie, Mazury, Krakowianie, a nawet Szlązacy poczuli się braćmi i dziećmi jednej matki Polski. Ztąd duch nasz leci do ojczystej ziemi, odczuwa jej cierpienia, dzieli jej bole, a nienawiść ciemiężców u nas rośnie, potężnieje i bucha ogniem wulkanów.

Nie, nie jesteśmy straceni!

Zresztą nie jest koniecznem, aby przez wychodźtwo słabły narody. W istocie rosną one w moralną siłę, bo wymiana pojęć, krzyżowanie się różnoplemiennych żywiołów wzmaga rodzime ziemie.

http://rcin.org.pl

Patrzcie na małą Anglię, co po wszystkich ziemi krańcach zakłada osady, sama rosnąc w potęgę. Patrzcie na Irlandyę, która swemu wychodźtwu do Ameryki będzie winna swoją niepodległość. O! gdyby polskie duchowieństwo tak poparło nasze usiłowania, jak to czyni irlandzkie, popierając Irlandzką Ligę, czegoż-by się nie udało zdziałać dla Polski?... Tu z serca dziękuję Wiel. ks. Klawitrowi, że pochwalił nasze towarzystwo narodowe. W tem witam jutrzenkę nowej ery, która nam przyniesie zbawienne skutki.

A teraz Szanowny Mężu, żegnamy Cię z prośbą, abyś zaręczył Braciom naszym w Polsce, że nie jesteśmy dla niej straceni, że ogień święty w nas nie zgasł, tylkośmy granicę jej rozszerzyli aż do Oceanu Spokojnego, bo gdziekolwiek są Polacy, tam jest Polska i Polską być nie przestanie".

Po p. Andrzejkowiczu przemawiał sędziwy prof. Baeck, który przytoczył między innemi fakt, iż tu w Filadelfii znalazł testament Kościuszki. Cenny ten dokument znajduje się obecnie w zbiorach Związku Narodowego w Chicago.

Zapał w audytoryum rósł z każdą chwilą. Gdy się dowiedziano z mej mowy, iż już nazajutrz opuszczam Filadelfię, powstała formalna burza, wołano zewsząd „nie puścić!" Zamknięto drzwi od hali na klucz i ja musiałem złożyć uroczystą przysięgę, że albo jeszcze tego roku skoczę z Nowego Yorku do Fladelfii chociażby na dwa dni, albo — gdyby mi czas nie pozwolił — na drugi rok podczas wystawy Kolumbijskiej zawitam w odwiedziny do Polonii tutejszej wraz z całem towarzystwem, które się wybiera ze mną w podróż do Ameryki.

Po posiedzeniu rozmawiałem jeszcze długo z rodakami, a przedewszystkiem z p. Andrzejkowiczem, jednym z założycieli Związku Narodowego polskiego w Stanach Zjednoczonych. Jako członek honorowy Związku winieniem łaskawych czytelników objaśnić nieco o istocie i celach jego. Najlepiej będzie, jeżeli przytoczę dosłownie kilka paragrafów z ustawy czyli — jak tu nazywają — konstytucyi Związku.

Art. II. Celem Związku jest starać się o rozwój moralny i materyalny żywiołu polskiego w Stanach Zjednoczonych, a to przez zakładanie odpowiednich instytucyj na zasadach Kościoła katolickiego. Do rzędu takich instytucyj należą: domy polskie, szkoły, zakłady dobroczynności i przemysłu polskiego.

http://rcin.org.pl

Dalszym celem Związku jest opieka nad wychodźtwem polskiem i obchody pamiątkowych rocznic.

Art. III. 1. Ponieważ wiara rzymsko-kat. jest panującą w narodzie polskim, przeto uważamy za swój obowiązek przy niej obstawać, w niej żyć i we wszystkiem być jej podległymi.

3. Ponieważ naród polski ma w sobie pewną liczbę Polaków innych wyznań, przeto idąc w ślady konstytucyi 3 maja 1791 r. zapewniamy im poszanowanie ich wyznań i przypuszczamy ich jako Polaków obywateli do pracy w rzeczach politycznych około dobra narodu polskiego.

6. Żaden członek Związku Nar. polskiego nie może należeć do jakichkolwiek anarchistycznych, socyalistycznych, nihilistycznych lub jakichkolwiek stowarzyszeń tajnych, a przez Kościół rzymsko-kat. potępionych.

Do Związku przystępywać mogą całe stowarzyszenia na zasadzie federacyjnej, lub też pojedyncze osoby. W razie śmierci członka wypłaca Związek pozostałej wdowie 500 dolarów, w razie śmierci żony otrzymuje małżonek połowę tej sumy, wyjątek stanowią członkowie, którzy przystąpili do Związku po 50. roku życia.

Zarząd Związku składa się z cenzora i zastępcy jego, jako najwyższych dygnitarzy, którym podlega „rząd centralny“, ciałem zaś ustawodawczem Związku jest „sejm związkowy“, który się zbiera z delegatów poszczególnych towarzystw nieregularnie w miarę uchwały każdoczesnej sesyi.

Obecnie należy do Związku przeszło 5000 rodzin, a organem jego jest *Zgoda*, tygodnik zostający pod redakcyą p. Nickiego, bardzo wykształconego i zacnego człowieka. Cenzorem Związku jest p. Przybyszewski, kasyer powiatowy z Bay City; poznałem go jako prawego i rozumnego obywatela. Toż samo cały rząd centralny, na którego czele stoją pp. Satalecki jako prezes, Słonimski jako wiceprezes, zrobił na mnie bardzo dobre wrażenie, bo mając przyjemność stykać się często z członkami jego, przekonałem się, że to są sami zacni patryoci. Związek posiada w Chicago ładną czytelnię i zbiór autografów jakoteż innych cennych pamiątek odnoszących się do dziejów Polski ostatniego wieku, — wszystko to przeważnie szlachetny dar powszechnie szanowanego weterana p. Kałusowskiego z Waszyngtonu.

http://rcin.org.pl

Pod opieką Związku zostaje także „skarb narodowy polski“ w Milwaukee, wynoszący obecnie już kilka tysięcy dolarów a przeznaczony na cele narodowe.

Drugie jeszcze liczniejsze stowarzyszenie polskie w Stanach Zjednoczonych nosi nazwę „Zjednoczenie rzymsko-katolickie“ i liczy obecnie przeszło 10.000 rodzin. Ustawa czyli tak zwana konstytucya Zjednoczenia jest prawie we wszystkich zasadniczych punktach podobna do ustawy Związku, gdyż i tu miłość ojczyzny i przywiązanie do wiary stanowią główne podstawy działalności członków. Cała różnica polega na tem, że Zjednoczenie nie przyjmuje do swego grona Polaków innego wyznania jak tylko rzymsko-katolickiego, i że w sprawach sumienia postępuje ze swemi członkami bardzo ostro, nakazując im regularnie się spowiadać, chodzić do kościoła i t. p.

Obcy nie może się nadziwić, dla czego oba te stowarzyszenia tak wrogo w obec siebie występują. W Zjednoczeniu wodzą rej księża, w Związku ludzie świeccy, i jak sądzę *inde irae*. Nietaktowność nielicznych osobników tak z jednej jak z drugiej strony dolewa tylko oliwy do ognia; ci księża, którzy rzucają na wszystkich związkowców anathema, przezywając ich masonami, anarchistami, wrogami Kościoła, tak samo są w błędzie, jak ci związkowcy, którzy w każdym księdzu polskim w Ameryce, widzą człowieka bez patryotyzmu i poświęcenia, mającego jedynie na celu napchanie kieszeni dolarami.

To rozdwojenie jest nadzwyczaj szkodliwe dla sprawy polskiej, miejmy jednak nadzieję, że z czasem znajdzie się sposób do zbudowania mostu od jednej do drugiej partyi. Co do mnie, ja czuję się bardzo szczęśliwym, że podczas mej bytności w Ameryce byłem aniołem pokoju, — obie partye przyjmowały mię zarówno serdecznie, a często nawet wspólnie, chcąc w mej osobie uczcić daleką ojczyznę, którą obie zarówno kochają i za którą obie zarówno tęsknią...

Organem Zjednoczenia był dawniej osławiony ze swego tonu dziennik *Kropidło*, od tego czasu wszyscy członkowie Zjednoczenia noszą nazwę „Kropidlarzy“.

Mój przyjaciel p. skarbnik Kiołbasa z Chicago, który jest dożywotnim honorowym członkiem Zjednoczenia, dostał od strony przeciwnej tytuł „biskupa kropidlarskiego“. Przy swym wrodzonym, zdrowym humorze, pan skarbnik, nietylko, że sobie nic z tego nie

http://rcin.org.pl

robi, lecz owszem, często sam tego tytułu używa, i nieraz jako biskup kropidlarski dawał mi dyspensę od postu w piątek.

Organami oficyalnymi Zjednoczenia są obecnie *Wiara i Ojczyzna*, tygodnik, i *Dziennik Chicagoski*, czasopismo codzienne, redagowane przez bardzo wykształconych i inteligentnych obywateli pp. Szwajkarta i Nagla. Ten ostatni jest członkiem Związku, a więc przeciwnego obozu, co jest najlepszym dowodem, że różnice pomiędzy partyami nie są tak zasadnicze.

Aż do mojego przyjazdu do Chicago był redaktorem obu tych czasopism ks. K. Domagalski, znany i u nas w licznych kołach kapłan, były mój profesor francuskiego języka w gimnazyum Brzeżańskiem, człowiek wielkiego wykształcenia i niezwykłej wymowy, ale nadzwyczaj ostrego pióra. Obecnie otrzymał on świetne probostwo w Winonie (w Minnesocie), z którego dochodów mógłby wygodnie utrzymać dwa gr. kat. biskupstwa w Galicyi.

Na jego powitanie umieścili parafianie winońscy w poczciwej naiwności w swym organie *Wiarusie* wierszyk, z którego pozwalam sobie kilka zwrotek ku uciesze łaskawych czytelników przytoczyć:

Dziś w lepszej czując się doli,
Dziękujem Bogu i wierzym,
Że z Jego jest u nas woli
Ksiądz Domagalski pasterzem.

Na zawsze musi w Winonie
Proboszczem naszym pozostać,
Jak piękny głos na ambonie,
Jak kształtna Jego postać.

Już cała gmina Go lubi,
Nie skąpią centa ni chleba,
Winszują sobie Kaszubi:
„To ksądz, jaciego nąm trzeba“.

Witajże nam bohaterze,
Witajże ludu patronie,
Co miażdżysz głowę niewierze,
Wojując w prawdy obronie.

Ty piórem Ewangelisty,
W imieniu Pana Jezusa

http://rcin.org.pl

Zgromiłeś socyalisty,
Wsławiłeś oręż *Wiarusa*.

Nie szkodzi zemsty potęga,
Bez władzy smok Buffaloski *)
Jak węża jad nie dosięga,
Najczystszych stóp Matki Boskiej.

Zasługi pan Bóg policzył,
Ukorzył zazdrość człowieczą,
Parafii dobrej użyczył,
Lud dobry oddał pod pieczą.

Wołajmy wtórząc muzyce,
Jak gdyby w czas karnawalski,
Niech żyje nam w Ameryce
Najlepszy ksiądz Domagalski!

Członkowie obu towarzystw noszą swe osobne odznaki. Odznaką Związku jest tarcza metalowa z emaliowanymi herbami Polski, Litwy i Rusi, nad tarczą dwie połączone dłonie. Odznaką Zjednoczenia jest krzyż z Matką Częstochowską we środku i polskimi herbami po bokach.

W ogóle tu każde towarzystwo ma swoje odznaki w kształcie orderów, wstęg, szarf i t. p., tak, że nasz chłopek w paradzie wygląda co najmniej jak jaki generał lub minister europejski.

Trzeciem, większem stowarzyszeniem jest „Unia“, założona przez ks. Pitasa w Buffalo, zdaje mi się jednak, że oprócz parafian tego kapłana, nikt więcej do niej nie należy.

Lecz rozgadałem się na dobre, a tu czas jechać do Nowego Jorku, gdyż za kilka dni już nadpłynie statek, który ma mię zawieść przez Atlantyk — do kochanej, starej Europy.

---

*) W Buffalo przebywa wszechwładny ksiądz Pitas, mający swoją własną gazetę p. n. *Polak w Ameryce*. Otóż redaktor jej p. Ślisz, ścierający się często na ostro piórem z ks. D., jest owym „smokiem buffaloskim“.

http://rcin.org.pl

XV.

NOWY JORK

16 października 1892.

Jestem więc znów nad Hudsonem w tej potężnej milionowej metropolii wschodniego wybrzeża północnej Ameryki. Miasto zmieniło się do niepoznania, całe we flagach, festonach i girlandach, wszędzie transparenty, obrazy i figury alegoryczne.

Wszystko to z powodu uroczystości kolumbijskich, które tu trwają kilka dni; wczoraj była korona wszystkiego, mianowicie olbrzymi pochód przez Broadway, Madison i Washington square, trwający blisko cały dzień. Bardzo jestem szczęśliwy, że mnie wczoraj nie było w Nowym Jorku, gdyż musiałbym był wziąć udział w tej paradzie a ja wolę opowiadanie i opisy. Wprawdzie Amerykanie nie mogą pojąć mej lekkomyślności, jak można było spóźnić się o jeden dzień i wyrzec się sposobności widzenia tego, co było „*the most imposing, greatest and most beautiful in the world*“, ale ja z opisów widzę, że to była tylko wielka, kosztowna amerykańska szopka bez smaku i gustu, nie mogąca wcale iść w porównanie z naszymi europejskimi uroczystościami tego rodzaju, jak np. słynnym pochodem artystów we Wiedniu przed kilku laty podczas cesarskiego jubileuszu.

Poznawszy całą Amerykę widzę obecnie, że Nowy Jork nie jest typowem miastem amerykańskiem, bo tu, jak zresztą w każdem większem mieście portowem uwidocznia się wpływ całego świata. Więc obok czysto amerykańskich „salonów“ mamy tu kawiarnie wiedeńskie, restauracye włoskie i francuskie, piwiarnie

http://rcin.org.pl

niemieckie, obok hoteli systemu amerykańskiego także i hotele według „planu europejskiego“.

Jedna cecha jest wybitnie amerykańska: oto brud i śmiecie po ulicach zwłaszcza w dolnej części miasta, tak, że chcąc tych uniknąć, trzeba się niewydalać po za najbliższą okolicę górnej V. Avenue.

A jednak dla obcego jest tu tyle ciekawego do widzenia, że można zaryzykować chodzenie po śmieciach i puścić się na zwiedzanie tych ulic i uliczek, ułożonych w regularne kratki.

Najciekawsze ulice nowojorskie są niewątpliwie Broadway i V. Avenue, pierwszy z powodu swego ruchu handlowego, ostatnia dla swych kosztownych pałaców tutejszych Nabobów. Jakkolwiek nawet w tych ulicach nie wiele znajdzie budynków, któreby mogły równać się z europejskimi monumentalnymi gmachami, to przecież całość robi niezłe wrażenie.

Za to mamy tu „osobliwości“, którychby napróżno szukał kto w Europie, tak, że Yankes ma słuszność nazywając to „*unique in the world*“. Tutaj należą przedewszystkiem nadzwyczajne gmachy gazet nowojorskich w dolnej części Broadwayu, a między nimi króluje gmach dziennika *The World*. Wygląda on zupełnie jak jakaś olbrzymia klatka, ozdobiona u góry kopułą.

Wchodzimy wraz z wielu innymi do środka, gdyż zwiedzających jest tu każdego dnia takie mnóstwo, że są osobni urzędnicy i osobna służba dla gości. Wręczają nam bezpłatnie bilet, czekamy więc u liftu aż na nas kolej przyjdzie, poczem jedziemy w górę, w nieskończoność, aż na sam szczyt kopuły. Kto nie cierpi zawrotu głowy, ten może się zachwycać cudownym i rozległym widokiem. Otacza nas widnokrąg o promieniu 45 mil, a u stóp naszych leży jak gdyby olbrzymia plastyczna mapa.

Więc oko biegnie na północ w nieskończoność po dachach N. Jorku, który się rozsiadł na wązkiej ale długiej wyspie Manhattan, wbiegającej na kształt języka pomiędzy rzekę Hudson a cieśninę East River. Za Hudsonem tuż naprzeciw nas czerwone miasta *Jersey City* i *Hoboken*, — a za niemi w górze rozpoczynają się zielone urocze *Highlands*. Tuż u stóp naszych po wschodniej stronie leży potężny *Brooklyn-Bridge* nad *East-River*, lecz wierzyć się nie chce, aby to, co widzimy, było rzeczywiście tym sławnym mostem nad wielką cieśniną morską, gdyż zdaje się nam, że widzimy tylko maleńki potoczek z kładką, po której łażą mrówki.

http://rcin.org.pl

A na południu znow inny widok: śliczny niebieski port nowojorski. Tutaj wznosi się kolosalny posąg wolności, którego szczyt strzelający do 305' wysokości, przecież jeszcze o kilkadziesiąt stóp niżej aniżeli galeryjka, na której stoimy, tutaj śmieją się zielone wybrzeża *Staten* i *Coney Island*, tutaj wynurzają się z wody małe wysepki *Governors-*, *Hoffmans-*, *Ellis-Island*, i tutaj wreszcie pływają jak łabędzie i kaczki tysiączne parostatki, żaglowce i łodzie. A tam w oddali za sinym przylądkiem *Sandy-Hook* rozciąga się nieskończony Atlantyk, którego falom wkrótce powierzymy nasze losy...

Trudno rzeczywiście oderwać oczy od tego czarownego widoku. Jest to mięszanina lazuru wody, zieleni drzew, czerwieni domów i lśniących w promieniach słonecznych barw metalicznych. A ponad wszystkiem rozściela się jakaś dziwna brunatno-czerwona mgła, która nie zakrywa przedmiotów, lecz dodaje im niezwykłego uroku.

Nasyciwszy się widokiem zjeżdżamy z piętra na piętro w dół, oglądając urządzenie gmachu. Sama kopuła ma 5 piętr, z których najwyższe stanowi spostrzegalnię astronomiczną. Schodzimy na czwarte piętro i mimowolnie cofamy się w tył, gdyż na drzwiach jest napis *Obituary Departament*. Nie trwoż się łaskawa czytelniczko, jeżeli sądzisz, że za przekroczeniem progu znajdziesz się pomiędzy umarłymi, to jesteś w błędzie, gdyż ten departament przeznaczony jest tylko dla tych, którzy umrzeć mają. Tu bowiem przygotowują bez przestanku nekrologi i klisze wszystkich potentatów i wielkich ludzi całego świata, i jak tylko podmorska depesza zawiadomi o śmierci jakiegoś niezwykłego człowieka, to w godzinę później już roznoszą chłopaki nadzwyczajne dodatki do *Worlda* z życiorysem i z portretem zmarłego. Trzecie piętro obejmuje biura redaktorów wydania niedzielnego, drugie biura samego właściciela p. Pulitzera, który się tu milionowej dorobił fortuny, — pierwsze pokoje reporterów lokalnych.

Następuje kilkupiętrowy t. zw. *Deck-House*, przechód od budynku właściwego do kopuły, w którym umieszczono rysowników i fabrykę kliszów.

Teraz dopiero wchodzimy do głównego gmachu, obejmującego 12 piętr. Na najwyższym znajdujemy stacyę telegraficzną, na jedenastem biura redaktorów i współpracowników wydania wieczornego, na dziesiątym zaś publiczną restauracyę. Od 9go do 1go

http://rcin.org.pl

włącznie przeznaczono wszystko na drukarnię, mezzanin zajął superintendent, kasyer i buchalterya, w parterze są składy papieru i lokalności chłopców, którzy roznoszą gazety, a wreszcie w piwnicy wszelkie możliwe maszyny parowe i elektryczne.

Na pożegnanie otrzymuje każdy książeczkę z datami statystycznemi, tyczącemi się gmachu i wydawnictwa *Worlda*. Niektóre są bardzo ciekawe, dla tego pozwolę sobie je przytoczyć w tłumaczeniu.

A. Cuda gmachu Pulitzera.

Gmach jest 375½' wysoki, składa się z 22 piętr, jest więc najwyższym gmachem przemysłowym całego świata. Zawiera tyle cegieł, że możnaby z tego zbudować 259 zwykłych wil nowojorskich. Waży 68 milionów funtów i ma skielet żelazny tak silny, że gmach cały stałby, chociażby ściany runęły. Z żelaza tego możnaby zbudować 29 mil kolei żelaznej. Drutów elektrycznych jest w gmachu na długość 48 mil. Fundamenta są zapuszczone na 35' pod powierzchnię ziemi, średnica najgrubszego muru wynosi 12'. Jest 8 elewatorów, a 9ty elewator do kopuły jest najwyższy *business elevator* całego świata. W gmachu jest przeszło 1000 okien i 500 drzwi.

B. Cuda gazety *The World*.

Przeciętny dzienny zupełnie rozkupiony nakład w pierwszych 5 miesiącach 1892 r. wynosił 370.277 egzemplarzy. Do tego potrzeba było 32 beczek czcionek.

200 zecerów składają na godzinę cztery stronice.

Niedzielne wydanie wynosi 4½ miliona egzemplarzy!

Departament sztuki może sporządzić tygodniowo 500 klisz.

Obraz i kliszę już gotową do druku robi się w przeciągu 35 minut.

Na składzie jest przeszło 10.000 rozmaitych fotografii okolic, ludzi i gmachów.

Rocznie sporządza się przeszło 131.000 płyt stereotypowych, do czego potrzeba 6 milionów funtów metalu, a samo jedno wydanie niedzielne wymaga 660 do 750 płyt.

Prasa może drukować 312.000 ośmiostronicowych gazet w godzinie, czyli 5.000 na minutę.

http://rcin.org.pl

Do tego trzeba wiedzieć, że niedzielny numer jest równocześnie ubezpieczeniem od wypadku; kto ma w kieszeni niedzielną gazetę, ten jest ubezpieczony na 500 dolarów w razie śmiertelnego wypadku, ewentualnie na mniejszą sumę lub rentę tygodniową podczas choroby w razie uszkodzenia nie kończącego się śmiercią.

Gdybym chciał traktować w podobny sposób jak gmach *Worlda* wszystkie osobliwości Nowego Jorku, które zajmują przybysza ze starego świata, to nie krótkie fejletony, ale całe tomy musiałbym pisać. Łaskawy czytelnik zrozumie teraz, że jadąc na wystawę do Chicago warto się kilka dni zatrzymać w *empiry City*, bo majac dobrego przewodnika, nie zazna się z pewnością nudów. Jako szczególniej godne widzenia polecam: Posąg wolności Bartholdiego, most brooklyński, Broadway, V. Avenue, prześliczny park t. zw. centralny, *Madison-Square-Garden* (olbrzymi gmach ze salą balową, mogącą pomieścić przeszło 10.000 ludzi z teatrami etc.), gmachy gazet i wreszcie wycieczkę Hudsonem w górę w Hihglands.

Polskie towarzystwa nowojorskie wybrały komitet, ażeby mnie przyjąć, a względnie i pożegnać, gdyż tu kończy się moja podróż po Ameryce. Prezes komitetu, szanowny dr. Lewandowski, poświęcał się rzeczywiście dla mnie, aby mi dać sposobność poznania stosunków tutejszej Polonii, jak też aby mi uprzyjemnić każdą chwilę pobytu.

W ostatnich czasach miał szanowny doktor przykre zajście, założył bowiem niedaleko ztąd kolonię polską rolniczą pod nazwą „Nowa Częstochowa". W skutek intryg całe przedsiębiorstwo upadło, a do tego jeszcze najserdeczniejsi dra L. czernią go po gazetach, przypisując mu nieszlachetne postępywanie w tym interesie, podczas gdy jest fakt, że dr. Lewandowski dawniej miał majątek, a obecnie go nie ma, albowiem wszystko poszło na Nową Częstochowę.

W ogóle stosunki tutejszej Polonii są bardzo przykre, niepodobne bynajmniej do stosunków w innych osadach polskich. Tyle koteryi, tyle wzajemnej nienawiści, nawet w obrębie jednej i tej samej partyi politycznej, nie ma zresztą nigdzie.

Inteligencyi polskiej jest tu bardzo wiele, ale niestety połowa tejże mogłaby się uczyć patryotyzmu od pierwszego lepszego chłopka pracującego z łopatą w ręku na ulicy. Znachodziłem tutaj lepsze polskie domy, gdzie dzieci ani słówka po polsku nie

http://rcin.org.pl

umiały i prawdopodobnie nigdy o Polsce nie słyszały, znachodziłem ludzi majętnych, wpływowych, dla których polski patryotyzm i sprawa zajęcia się wychodźcami polskimi mniejszą miała wartość, aniżeli cygaro hawańskie, które palili po dobrem śniadaniu, znachodziłem nawet takich, którzy wstydzili się przyznać, że są Polakami.

O ileż wyżej stoi polski prosty ludek, który płakał gdym mu wspomniał o kraju, który w swych nawet biednych małych dzienniczkach nawołuje się ciągle: „Uczmy nasze dzieci po polsku!“

Jest kilka przyczyn tych niezbyt pocieszających objawów życia tutejszej Polonii, przedewszystkiem okoliczność, że nie ma tu tak jak w innych osadach osobnej dzielnicy polskiej, któraby wpływała na rozwój ducha narodowego. Polacy mieszkają tu porozrzucani we wszystkich częściach tego olbrzymiego miasta, tak, że nawet trudno policzyć ich, — liczby, które zbierałem w tej mierze od znawców tutejszych stosunków, są zbyt niepewne, wahają się od 15 aż powyżej 40 tysięcy. Jedynie tylko brudna żydowska ulica *Bowery* i najbliższe okolice są miejscem, w którem się jednoczy większa ilość Polaków, mieszkających tu podobnie jak w starym kraju wspólnie z żydkami. W tej części znajduje się także biedny kościółek św. Stanisława i szkółka polska, do której uczęszczało tylko 70 dzieci!

Rzeczywiście, gdyby wszędzie w Ameryce byli tacy Polacy, jak ich jest większość w Nowym Jorku, to możnaby zwątpić o nich, na szczęście jeszcze tak nie jest.

Niemniejszem złem dla tutejszej polskiej kolonii jest stosunkowo znaczna ilość półinteligentnych awanturnikow, którzy tutaj ugrzęzają. Na zachód nie chce się im iść, bo tam trzeba ciężko pracować, a tu w portowem mieście, do którego prawie co dnia przyjeżdża tyle *greenhornów* łatwy zrobek, bo tego się naciągnie, owego się oszuka i utrzymanie jest gotowe. Ci bawią się w agitatorów, podjudzają partye przeciwko sobie, i chociaż są nieliczni, to na każdem zgromadzeniu więcej robią złego, aniżeli stu porządnych obywateli naprawić zdoła.

Nic więc dziwnego, że jest wielu, którzy zraziwszy się tymi stosunkami, nie chcą mieć z tutejszą Polonią nic do czynienia.

Jednego z takich obywateli miałem przyjemność tu poznać, mianowicie p. Jerzmanowskiego, dyrektora tutejszego towarzystwa gazowego, znanego i u nas w Europie ze swej ofiarności na cele

http://rcin.org.pl

humanitarne i patryotyczne. Miałem sposobność wglądać w jego księgi i przekonałem się, że dawniej wiele pieniędzy wydawał i na tutejszą Polonię, ale od niejakiego czasu usunął się zupełnie zrażony stosunkami, o których właśnie wspominałem.

Ale najgłówniejszym powodem wszelkich rozdwojeń i kłótni wśród Polonii nowojorskiej jest polityka, a względnie moneta wydawana przez obie partye polityczne na cele agitacyjne. „Stan Nowojorski rozstrzyga wybory w całych Stanach Zjednoczonych, a w Stanie nowojorskim rozstrzygają Polacy“, — oto zdanie, które czytałem w bardzo poważnych tutejszych gazetach. Byłoby to pocieszającym faktem, gdyby Polacy rzeczywiście decydowali o wyborach w Stanach Zjednoczonych, i gdyby przytem w samym Nowym Jorku okazywali więcej łączności, przynajmniej w obrębie jednej i tej samej partyi politycznej. Przeważna większość Polonii w Stanach Zjednoczonych należy do obozu demokratycznego, tylko w dziwny sposób w *empiry city* wytworzyła się większość republikańska. Niechby i tak było, gdyby tylko ci republikanie stanowili jedność! Ale w rzeczywistości nie ma i mowy o tem. Ubawiłem się nieraz serdecznie odezwami poszczególnych partyjek. Jedna odezwa zapowiada, że dziś odbędzie się wielki *massmeeting* polskiej zjednoczonej partyi republikańskiej, podpisani są pp. X. Y. Z. W godzinę później wychodzi gwałtowny protest. „Co? pp. X. Y. i Z. i ich adherenci mają stanowić zjednoczoną partyę republikańską? protestujemy, bo w naszym obozie jest prawdziwa polska zjednoczona partya republikańska, następują podpisy pp. A. B. C.

Albo też oświadczenie w gazecie: „Dowiedzieliśmy się, że p. X. był dzisiaj w *headquarters* (głównej kwaterze) republikańskiej i przedstawił się jako przewodnik i pełnomocnik polskich frakcyi republikańskich, otóż protestujemy przeciwko temu etc.“ Obcy czyta to, uśmiecha się, *merkt die Absicht und wird verstimmt.*

Skutkiem tych ciągłych mityngów wyrobiła się tu osobna klasa mowców zawodowych, którym nawet wcale dobrze płacą za każdą mowę, poznałem tego rodzaju mówcę Polaka w osobie p. K. Ten mówi biegle kilkoma językami, jest dzielnym patryotą, ale do amerykańskiej polityki nie zapala się zbyt bardzo, więc mu obojętną jest rzeczą, czy go angażują republikanie, czy też demokraci, obie mowy są znakomite. Złe języki opowiadają zabawną facecyę. Na pewien mityng republikański przybył p. K. jako zaproszony

http://rcin.org.pl

mowca w lepszym nieco humorze i pomylił się, bo palnął mowę demokratyczną nawymyślawszy republikanom porządnie. Jakie wrażenie wywarła ta mowa na słuchaczy i jakie miała skutki, o tem historya milczy.

Nie łatwo to być tutaj dobrym mowcą, bo trzeba zastosować się do audytoryum i skorzystać z chwili. Nie mogę tu pominąć świetnej mowy tego rodzaju p. skarbnika Kiołbasy z Chicago. Otrzymawszy raz depeszę z Nowego Jorku, że sprawa partyi demokratycznej w Buffalo stoi bardzo źle, i że cała nadzieja jedynie w nim polega, bo on tylko może zyskać polskie głosy, jedzie p. skarbnik najbliższym pociągiem do Buffalo i przychodzi na mityng. Polska partya republikańska w tem mieście, widząc tak groźnego wroga, wydrukowała paszkwil, w którym nawiązując do nazwiska p. skarbnika wyraziła się mniej więcej w ten sposób, że demokraci widząc swój upadek w Buffalo, chwycili się ostatecznego środka, bo nadesłali z Chicago, jako lep dla wyborców, 200 funtów kiełbasy. Paszkwil ten rozdawano na mityngu, a p. skarbnikowi wręczono przed jego przemówieniem, aby go skonfundować.

Atoli p. skarbnik najspokojniej w świecie zaczyna swą mowę. „Szanowni Rodacy! W tej chwili otrzymuję paszkwil, w którym jest mowa o przysłaniu z Chicago 200 funtów kiełbasy. Najprzód muszę skonstatować, że to pomyłka, bo nie 200 tylko 215 funtów (p. K. jest tęgim mężczyzną), a powtóre muszę się przyznać, iż widzę w tem piśmie republikanów prostą zazdrość. Oni najchętniej użyliby tej wielkiej kiełbasy dla swoich celów, ale to się im nie uda, bo nie dla psa kiełbasa“...

Olbrzymia wesołość, entuzyazm, a w rezultacie zwycięztwo demokratów.

W ogóle — o ile ja stosunki poznałem — jedyne miejsce dla Polaków w Stanach Zjednoczonych jest obecnie obóz demokratyczny. Albowiem rząd demokratyczny daje rękojmię jak największej autonomii, a zwłaszcza autonomii szkół, — gdy przeciwnie republikanie dążą do centralizacyi i do wynarodowienia wszystkich obcych żywiołów. Zapędy w tym kierunku, jak n. p. osławiony bill Benetta w stanie Wiskonsin dążący do zaprowadzenia tylko angielskich szkół, który Polacy wspólnie z Niemcami zwalili, pochodzi ze strony republikańskiej. Tego zaś rodzaju hasła jak bill Mac Kinleya jest zbyt naiwną przynętą, aby kto się dał na nią złapać, — ja wątpię nawet, czy najzagorzalsi zwolennicy

http://rcin.org.pl

tego bilu, wierzyli naprawdę w swoje twierdzenie, że przez wysokie cła ochronne dola ubogich, a zwłaszcza robotników się polepsza. Stanowisko zaś rządu republikańskiego, które tenże zajął w aferach w Buffalo, Homestead i t. d., udowodniły niezbicie, że mu chodzi raczej o interesa kliki, aniżeli o dobro ogółu. W chwili, gdy to publikujemy, już się odbyły nowe wybory, których wynikiem jest, jak wiadomo, świetne zwycięstwo demokratów.

W Nowym Jorku trafiłem szczęśliwie na sezon przedstawień naszej niezrównanej Modrzejewskiej. Skoro się tylko dowiedziałem, że państwo Chłapowscy, z którymi tyle przyjemnych chwil spędziłem w Chigaco, bawią w „empiry city", pospieszyłem natychmiast do hotelu *Clarendon* złożyć swe uszanowanie. Państwo Chłapowscy byli tak grzeczni, że na cały czas mego pobytu w N. Jorku ofiarowali mi lożę, i rzeczywiście żałuję, że dla braku czasu nie mogłem być częściej obecnym na przedstawieniach, gdyż takiej uczty duchowej nie ma się codzień.

Nasza znakomita rodaczka mająca swe własne towarzystwo, złożone ze samych bardzo dobrych angielskich artystów, wybrała na obecny sezon „Henryka VIII". Wiadomo, iż to jest jedna z najciekawszych i najtrudniejszych tragedyi Shakespeara, gdyż nie ulega kwestyi, że z tych wszystkich Ryszardów i Henryków ten Henryk VIII. był najgorszym łotrem; autor jednakże starał się ze względu na żyjącą córkę, królowę Elżbietę, czarny ten charakter w lepszem przedstawić świetle, ztąd więc pochodzą wielkie trudności sceniczne.

Byłem tem bardziej ciekaw na to przedstawienie, ile że krytyka tutejsza przyjęła pierwsze wystąpienie z prawdziwym entuzyazmem, twierdząc, że Modrzejewska (tutaj piszą Modjeska) po raz pierwszy oddała rolę królowej Katarzyny w samodzielnej kreacyi w duchu poety. Z prawdziwem więc nabożeństwem udałem się do pięknego teatru w Madison Square Garden i wraz z dystyngowaną publicznością, która wypełniła teatr po brzegi, niecierpliwie oczekiwałem podniesienia zasłony. Rzeczywiście, to co widziałem przeszło moje oczekiwania. Ta królowa Katarzyna, w kreacyi Modrzejewskiej, to nie biedna gołębica, poddająca się w pokorze nieludzkim, ale na pozór sprawiedliwym zarządzeniom męża, jak to poeta ze względu na współczesnych pozornie przedstawił, lecz przeciwnie, to charakter, jakim go sobie Shakespeare myślał a nawet naszkicował dla tych, co umieją patrzeć krytycznem okiem

http://rcin.org.pl

i czytać między wierszami. To zraniona, dumna lwica, której każdy nerw opiera się i buntuje przeciwko niesprawiedliwości wyrządzonej jej przez męża rozpustnika, to lwica, która się jeszcze zrywa w całej potędze swego majestatu, leżąc już na śmiertelnej pościeli.

To też całe audytoryum było zachwycone i obsypało naszą artystkę kwiatami i oklaskami, do tego trzeba podnieść, iż ensemble było także bardzo dobre. Artyści tej miary co Skinner, Lane, Smith, dający króla, kardynała Wolseya i Buckinghama i wielu innych, godni są, żeby wystąpić obok naszej Modrzejewskiej.

W ogóle ostatnie dni pobytu w Nowym Jorku spędziłem bardzo przyjemnie. Liczne grono Polaków starało się na każdym kroku być mi z pomocą, towarzyszyć i prowadzić mię w mych wycieczkach. Oprócz dra Lewandowskiego pp. Białd i Aronson, urzędnicy z Towarzystwa gazowego, p. Chrzanowski redaktor *Kuryera Nowojorskiego*, p. Knapczyński, młody człowiek, Galicyanin, który nie zrażając się początkowemi trudnościami na obcej ziemi dobija się wytrwałą pracą niezależnego stanowiska i wielu innych poświęcało dla mnie każdą swą wolną chwilę.

Ogół zaś Polonii nowojorskiej przyjął mię publicznym mityngiem w Nillson Hall. Oddział batalionu „polskich wolnych strzelców“ pod komendą dzielnego majora Kornobisa oddał honory wojskowe i wręczył mi swą konstytucyę. Jest to jedno z najsilniejszych polskich towarzystw z charakterem wojskowym w Ameryce, pięknie umundurowane, dobrze uzbrojone, przedstawia się imponująco. P. major Kornobis, zacny obywatel i dobry Polak, dba z poświęceniem o to, ażeby batalion miał wojskowe wykształcenie i patryotycznego ducha.

Po defiladzie strzelców nastąpiły mowy powitalne dra Lewandowskiego, ks. proboszcza Fremmla i pani Teofili Kremerowej, którą dopiero podczas teraźniejszego mego pobytu w Nowym Jorku miałem przyjemność poznać. Jestto niewątpliwie jedna z najpiękniejszych kobiet w Nowym Jorku, a z wdziękami ciała łączą się w niej i przymioty duszy. Słyszałem w całej Ameryce tylko same pochwały, oddawane jej gorącemu patryotyzmowi, jej szlachetnemu sercu odczuwającemu niedolę rodaków, jej szczodrości dla nędzy między immigrantami polskimi. Że obchód stuletniej konstytucyi 3-go Maja w roku zeszłym w Nowym Jorku tak świetnie się udał, że zwrócił uwagę całych Stanów Zjednoczonych na siebie i otworzył niejednemu Amerykaninowi oczy, pouczając go

http://rcin.org.pl

o Polsce i Polakach, to w znacznej części zasługa pani Kremerowej. Że w pamiętnym dniu tym powiewała po raz pierwszy od czasu ogłoszenia niepodległości Stanów Zjednoczonych na nowojorskim *City-Hall* inna flaga, aniżeli amerykańska, a mianowicie polska, to wyłączna zasługa p. Kremerowej.

Kilka dni później pojechała ona w deputacyi polskiej do Waszyngtonu na kongres panamerykański, i tam przemawiając imieniem polskich mieszkańców Stanów Zjednoczonych, tak zachwyciła i rozczuliła wszystkich, że arcybiskup Ireland wzruszony do głębi, powstał z siedzenia i ze łzami w oczach udzielił jej swego pasterskiego błogosławieństwa.

Otóż i na mityngu w Nillson Hall przemawiała pani K. tak pięknie, że my z naszemi mowami zostaliśmy zupełnie w cieniu.

Po mojem przemówieniu zabrał głos dr. Gruenberg, mój znajomy jeszcze z zeszłorocznego pobytu mojego w Ameryce. Jestto człowiek głębokiej nauki, szlachetny, dobry Polak, szanowany przez wszystkie frakcye. Zajmuje się w sposób gruntowny i naukowy studyum kwestyi społecznych.

Przemawiał także po angielsku pułkownik Weber, komendant domu immigracyjnego na Ellis Island, a wielki przyjaciel Polaków. Na swojem wpływowem stanowisku uczynił on nieraz wiele dobrego dla naszych wychodźców, dlatego też Polacy ogólnie go tu poważają. Że deklamacye, śpiewy i utwory muzyczne przeplatały tę piękną uroczystość, to rozumie się samo przez się.

Zgromadzenie odszczególniło mię nietylko kwiatami, jak jaką primadonnę, ale także w imieniu rodaków w Nowym Jorku złotym wieńcem wawrzynowym z flagą amerykańską i polską, nagradzając w taki sposób małe moje zasługi i pracę dla dobra wychodźtwa polskiego.

Po mityngu odbył się bal, na którym bawiliśmy się ochoczo aż do rana. Korzystając z zaproszenia pułkownika Webera, udaliśmy się pewnego popołudnia na *Ellis-Island,* gdzie się znajduje państwowy dom immigracyjny.

Podobnie jak dawniej w *Castle Garden*, tak teraz na wyspie, wysadzają wszystkich podróżnych 3 klasy, gdzie ich poddają ścisłemu egzaminowi tak co się tyczy zdrowia jak też i funduszów na dalszą podróż. Ludzi nie mających biletu kolejowego do miejsca przeznaczenia i bodaj kilku dolarów w kieszeni, zawracają

http://rcin.org.pl

najbliższym statkiem na powrót do Europy na koszt tej kompanii, która ich przywiozła.

Pułkownik oprowadzał nas po zabudowaniach wysepki, tłómacząc przeznaczenie tychże. Wszystko jest schludne, porządne, tak, że pierwsze przywitanie biednego wychodźcy na ziemi obiecanej jest wcale nie złe. W zakładzie są także urzędnicy Polacy, jednego z nich p. Niemojowskiego miałem przyjemność poznać, jako miłego i pełnego poświęcenia młodego człowieka. Podczas bowiem cholery w przystani nowojorskiej, p. N. był jeden z pierwszych, którzy się dobrowolnie zgłosili do służby w kwarantannie.

Ellis Island jest bardzo malowniczo położona w samym środku górnej zatoki nowojorskiej, tuż w sąsiedztwie maleńkiej wysepki Bedloes J., na której wznosi się pomnik wolności Właśnie kiedy bawiłem na wyspie, potężny hamburski parowiec o 2 śrubach „Augusta Wiktorya“ przepłynął tuż obok ze szumem i hukiem, zawijając do przystani. Serce zabiło mi silniej, wszak na tym statku mam się za kilka dni puścić w wielką podróż przez burzliwy Atlantyk!...

---

http://rcin.org.pl

XVI.

BROOKLYN.

19 października 1892.

Jakkolwiek pobyt mój w Ameryce liczył się już tylko na dni, a ja miałem do tego na głowie jeszcze kilka naukowych interesów, to przecież nie mogłem się oprzeć łaskawemu zaproszeniu deputacyi rodaków z Brooklyna, i obiecałem spędzić jeden dzień w ich szanownem towarzystwie.

Oznaczonego więc poranku przybyli po mnie delegaci w świątecznych strojach, i ruszyliśmy niebawem ku tej siostrzycy Nowego Jorku. Podróż nie trwa długo, gdyż potężny Brooklyn, w którym ilość mieszkańców dosięga już cyfry 900.000, jest po prostu dalszym ciągiem *empiry city* po wschodniej stronie cieśniny *East-River*, ale za to jest bardzo ciekawa, gdyż się przejeżdża przez jeden z najwspanialszych mostów całego świata.

Tuż koło poczty opuszczamy Broadway i za kilka chwil jesteśmy na moście, który już zaczyna wznosić się w górę ponad otaczające domy, zanim się jeszcze zobaczy wodę. Z każdą chwilą rośnie nasz zachwyt i podziw, już bujamy w górze, a głęboko u stóp naszych leży cieśnina morska ze swymi statkami, wysokie domy przybrzeżne maleją w obec ogromu mostu do rozmiarów dziecinnych budowli z klocków. Most wisi pomiędzy dwiema olbrzymiemi wieżami na 4 żelaznych linach o $15^{3}/_{4}$, cala średnicy, cała długość jego wynosi 2 kilom., a samo rozpięcie pomiędzy wieżami 1.595 stóp. Szerokość 85' zostawia dość miejsca zarówno dla pieszych i wozów, jak też i dla kolei sznurowej, która bez

http://rcin.org.pl

przestanku przewozi podróżnych z jednej strony na drugą. Wysokość nad najwyższym poziomem wody morskiej wynosząca 135' jest dostateczną, ażeby nawet średnim okrętom umożliwić przepływanie pod mostem.

Po wschodniej stronie mostu oczekiwała nas druga deputacya, która powitała mnie na ziemi brooklyńskiej imieniem tamtejszych polskich obywateli. Jedziemy więc przez miasto, najprzód do parafii św. Kazimierza.

Dziwna, że dwa sąsiednie miasta tak różny mają wygląd! Nowy Jork to ruch i życie, Brooklyn to cisza i spokój; tam międzynarodowy charakter miasta, tu typowy amerykański. Słusznie powiadają niektórzy dowcipnisie, że Brooklyn jest wielkiem nowojorskiem dormitoryum, jakoż rzeczywiście wiele tysięcy osób mających zajęcie w *empiry city* mieszka już to dla spokoju, już to dla większej taniości w Brooklynie.

Nie wiele tu ciekawego do widzenia. Ulice szerokie, znacznie czyściejsze aniżeli w Nowym Jorku, tworzą prostokątne kratki. Jest tu i *City Hall* z białego marmuru z jońskimi słupami, jest dość ładny gmach *Academy of Music* z cegieł, okazały *Municipal Building*, i kilka innych gmachów publicznych, ale i na tem koniec. Liczne kościoły, teatry i t. p. są przeważnie naśladowaniem nowojorskich budynków, jednakowoż w mniejszych rozmiarach.

Najpiękniejszą ozdobą Brooklynu jest prześliczny park t. zw. *Prospect Park*, obejmujący 550 akrów powierzchni, a przewyższający pod niejednym względem centralny park nowojorski.

Śliczne stare drzewa, kwieciste klomby, liczne fontanny i wielkie bo 61 akrów obejmujące jezioro składają się na bardzo przyjemną całość. Atoli największą ozdobą parku jest jego wysokie położenie. Cóż to to za przepyszny widok dokoła! Z najwyższego miejsca, wzniesionego 186' nad poziom morza, t. zw. *Lookout Carriage Concours*, widać *Highlands*, Palisady, Nowy Jork i okolicę, — *Long Island* przystań zewnętrzną i wewnętrzną, Atlantyk i t. d. Eleganckie kioski (osobne dla dam, dla starców, dla dzieci i t. p.) zapraszają do spoczynku, na kwiecistej terasie nad jeziorem grają rozmaite kapele, na łąkach pasą się owce najszlachetniejszego gatunku, wśród drzew w zwierzyńcu biegają jelenie, sarny i daniele, szare niedźwiedzie mruczą w swych klatkach, a tysiące ptactwa wodnego uganiają po jeziorze.

http://rcin.org.pl

W tych to parkach brooklyńskim i nowojorskim podróżny jeszcze nie ma sposobności irytować się tym amerykańskim brakiem gustu, i tem pastwieniem się nad kwiatami, które dalej na zachodzie, a zwłaszcza w Chicago tak bardzo razi obcego. Tam bowiem za szczyt ogrodnictwa uważają układanie z kwiatów napisów, herbów, psów, kotów, ptaków, w ogóle całej menażeryi. Wejdźmy n. p. do parku Waszyngtona w Chicago. Już same drzwi do parku najeżone są kwiatami, przedstawiającemi amerykańską flagę, ale to dopiero początek tych cudów, które nas czekają. Oto przed nami wznosi się olbrzymia kula ziemska, na której lądy i morza, a nawet równoleżniki i południki oznaczone są różnokolorowemi roślinami. Nieco dalej wielki zegar słoneczny, którego tarcza i cyfry godzinowe złożone są z kwiatów. Opodal, wśród zielonej murawy, portrety sławnych ludzi w 40-krotnem powiększeniu, olbrzymie buty, rękawiczki, karty do grania, koneweczki ogrodowe itp. wszystko misternie ułożone z kwiatów. Echeveria, Sedum, Oxalis i inne nadają się z powodu swych różnokolorowych kwiatów do tego najlepiej.

Yankies spogląda z dumą na te „arcydzieła“ sztuki ogrodniczej, a europejski przybysz nie wie rzeczywiście, czy ma się irytować, czy też śmiać do rozpuku.

Na południowym krańcu parku przychodzimy do *parade ground*, wielkiego placu, na którym waleczna milicya wykonuje czasami swe ewolucye. Zwykle atoli widać tu młodzież, a nawet i starszych ludzi, oddanych z całym zapałem ulubionemu tutaj sportowi grania *base ball* (rodzaj gry w piłkę). Z parku prowadzi śliczny bulwar 250, szeroki a 6 mil długi nad morze, gdzie podziwiamy wielkie doki. Tutaj znajduje się basen o 40 akrach powierzchni a 25, głębokości, mogący więc pomieścić do naprawy najpotężniejszy statek atlantycki.

Polonia brooklyńska, której ma być 15 do 20.000, mieszka dość porozrzucana, skupiając się jedynie koło wspomnianego kościółka. Jest ona cicha, spokojna i nie prowadzi takich bezustannych domowych wojen, co Polonia nowojorska. Wprawdzie złośliwi Nowojorczycy twierdzą, że to tylko dla tego, ponieważ w Brooklynie nie ma polskich pism, i niechno by się jakie pokazały, to i oni wzięliby się za łby, ja jednakowoż sądzę, że tu stosunki nowojorskie chyba nigdy nie zapanują. Uważałem także, że tu znacznie mniej polskich salonów (szynków), niż w Nowym Jorku, fakt na

http://rcin.org.pl

każdy sposób bardzo pocieszający. Trzeba wiedzieć, iż taki salon ma w polityce amerykańskiej niepoślednie znaczenie, a salonista jest wpływowym człowiekiem, bo u niego robi się polityka przy wódce i piwie. Jednakowoż czego za dużo, to musi szkodzić, więc i za wiele salonów, tak n. p. jak w Buffalo, w polskiej części, gdzie co drugi dom jest salonem, nie szczególnie wpływa na stosunki miejscowe. Nieszczęsny zwyczaj „tretowania się“ (częstowania się) wzajemnie wyciąga ludziom wszystkie pieniądze z kieszeni. Przychodzi obcy do salonu i wzywa wszystkich obecnych, których może po raz pierwszy widzi, aby z nim pili — odmówić nie wypada i niebezpiecznie. Piją więc, potem „tretuje“ drugi, trzeci, dziesiąty, nareszcie nie mogąc lub niechcąc więcej pić, piją literalnie naparstkami, a salonista zawsze liczy jednakową cenę.

Nasz polski chłopek, skoro tylko poczuje trochę monety w kieszeni, czuje ogromny pociąg do zawodu salonisty. Wszak to tak przyjemnie panować cały dzień za szynkwasem i dać się tretować od gości. Zostaje więc salonistą, a zwykle przytem i notaryuszem, tak jest, mówię wyraźnie notaryuszem, legalizującym podpisy, sporządzającym dokumenty prawne. Myślałem, że pęknę ze śmiechu, kiedy zobaczyłem jak sobie nasz chłopek, który zaledwie nauczył się trochę po angielsku, wywiesił nad swym salonem tablicę *Notary public*. Do tego miał zupełne prawo, bo został notaryuszem. Jeżeli który z naszych szanownych rejentów czyli komorników (że też to my w taki bezmyślny i śmieszny sposób dajemy ludziom tytuły, które się im nie należą, jak n. p. adwokatowi: mecenas, nauczycielowi: profesor i t. d.) pojedzie na wystawę do Chicago i chcąc zaimponować Amerykanom i pokazać im, co też on za figura w starym kraju pochwali się, że jest notaryuszem n. p. z Pacykowa, to niech lepiej da spokój, bo inaczej Yankies będzie miał o jego społecznem stanowisku bardzo liche wyobrażenie.

Lecz wróćmy do przyjęcia przez obywateli polskich w Brooklynie.

Zajechaliśmy wprost na plebanię przy polskim kościele św. Kazimierza. Dotychczas parafią tą zarządzał monsignore Bronikowski, lecz dla poratowania zdrowia udał się na stały pobyt do Europy. Zastałem więc jego zastępcę ks. Leona Wysieckiego, młodego, bardzo gorliwego kapłana i dobrego patryotę, który mię przyjął serdecznie po polsku. Przedewszystkiem zaproszono mię

http://rcin.org.pl

do hali szkolnej, gdzie już czekała zgromadzona dziatwa, aby przywitać i uczcić starszego brata, ze starej Polski, której biedne dzieci wygnańców jeszcze nawet nie widziały!...

Wielka sala była przepysznie przystrojona w dywany, flagi i kwiaty i sprawiała przy sztucznem oświetleniu prawdziwie czarodziejski widok. Wśród kwiatów unosiły się, jak gdyby aniołki grupy dziewczątek w barwach narodowych, trzymające polskie herby i sztandary. Chłopaki przebrani w stroje ludowe krakowskie, lub też w kontusikach z karabelkami, wyglądali dziarsko, jak... jak polskie dzieci. Rozpoczęły się przemówienia, deklamacye i spiewy dziatek, które wzruszyły wszystkich obecnych do łez. Żywy obraz przy świetle bengalskiem i śpiew „Jeszcze Polska nie zginęła“ zakończyły tę piękną uroczystość, która mi na długo zostanie w pamięci, a za którą złożyłem serdeczne podziękowanie zacnym Siostrom Nazaretankom, kierowniczkom szkoły. Całe wystąpienie dzieci było dla mnie ponownym dowodem, że wykształcone i pełne poświęcenia Siostry Nazaretanki spełniają w Ameryce znakomicie swoje zadanie wychowania dzieci. Po świetnym obiedzie u ks. Wysieckiego, który odbyłem w towarzystwie gości nowojorskich, przedstawicieli prasy, komitetu miejscowego i t. p. nastąpiło wieczorem publiczne przyjęcie w hali *Knickerbrocker* (Brooklyn założyli Holendrzy) na *Clymer Str.*

Obchód rozpoczął przemową prezes Towarzystwa Pułaskiego p. J. Rostkowski, poczem z kolei przedstawiali się prezesowie wszystkich towarzystw, wręczając mi swoje ustawy (konstytucye). Po śpiewie „Boże coś Polskę“ przemawiali ks. Wysiecki, dalej prezes Towarzystwa rzemieślników polskich p. Kwarciański, nareszcie wśród rosnącego entuzyazmu i gość ze starego kraju. Po każdej mowie śpiewało Towarzystwo śpiewaków polskich w Brooklynie tak ślicznie, że mimowoli przypomniała mi się „Lutnia“ lwowska. P. Szpręgowski, widocznie skończony artysta, śpiewał kilkakrotnie solo.

Przemawiał jeszcze prezes Towarzystwa króla Jana Sobieskiego p. Turkowski, przedstawiając mi piękny i bogaty sztandar towarzystwa; jego córeczki wręczyły mi na pamiątkę złotą odznakę członków. W bardzo udatnej przemowie podniósł dowcipnie redaktor p. Chrzanowski, że jak Kolumb Amerykę, tak ja odkryłem Polaków w Ameryce. Wreszcie zakończył p. Kamiński pro-

http://rcin.org.pl

sząc, abym pozdrowił ukochaną ojczyznę, za którą oni wszyscy tak tęsknią.

Musiałem jeszcze zostać jakiś czas po skończeniu urzędowego programu uroczystości, gdyż rzeczywiście przykro było porzucać te poczciwe serca. Na pożegnanie zaśpiewało jeszcze Towarzystwo spiewaków kilka patryotycznych utworów — i te swojskie tony na obcej ziemi wywarły niezwykłe wrażenie. W ogóle polskie towarzystwa śpiewackie rozwijają się bardzo pięknie w Stanach Zjednoczonych — we wrześniu r. z. odbył się wielki zjazd tychże w *Grand Rapids* nad Michiganem. Amerykanie przysłuchiwali się z podziwem produkcyom wokalnym naszych spiewaków, a cała prasa nie szczędziła pochwał.

Mówiąc o tylu polskich towarzystwach w Ameryce nie wypada przepomnieć i Sokołów, którzy na wzór naszych powstają i tu na drugiej półkuli. Za kilka tygodni ma powstać Sokół w Brooklynie i Nowym Jorku, w Chicago istnieje już od dawna. Sokół chicagowski udaje się za mojem pośrednictwem z prośbą do Sokoła lwowskiego a to z następującego powodu· Nie mając bowiem rutyny w takich rzeczach, proszą Chicagowianie lwowskich braci o wskazówki, co się tyczy urządzenia sali i ćwiczeń gimnastycznych, a przynajmniej o wskazanie odpowiednich książek. Otóż wywiązując się chętnie z tego polecenia pozwolę sobie zauważyc, że Sokoły w Galicyi powinni się zająć druhami amerykańskimi i wejść z nimi w duchową styczność.

Uczta po mityngu przeciągnęła się do późna w nocy, tak że dopiero nad rankiem odwiózł mię komitet do Nowego Jorku. Cały jeden powóz napełniono bukietami, które przez dzień otrzymałem, skutkiem czego moje pomieszkanie w hotelu zamieniło się na rodzaj cieplarni. Ten zapach kwiatów, to wrażenie ostatniego dnia, wreszcie i słońce wschodzące nie dało mi spać, więc odświeżywszy się zimną kąpielą opuściłem hotel i rzuciłem się w wir życia wielkomiejskiego.

Do Brooklynu musiałem wkrótce pojechać po raz wtóry, gdyż na prośbę obywatela Komorowskiego trzymałem synka jego Emila do chrztu. Przy tej sposobności pokumałem się z piękną panią Kremerową, gdyż ona była chrzestną matką. Potem udaliśmy się do majora Kornobisa, gdzie serdecznie podejmowani zarówno przez

http://rcin.org.pl

niego, jakoteż jego zacną małżonkę spędziliśmy przyjemnie kilka godzin. Powróciliśmy do domu już nie przez most, ale *Ferrą*, to jest jednym z tych ogromnych promów parowych, które jak gdyby jakieś olbrzymie gmachy opatrzone złocistemi kopułami przepływają bez przestanku zarówno przez Hudson jak też i East River umożliwiając w taki sposób połączenie pomiędzy temi sąsiedniemi miastami, liczącemi razem blisko trzy miliony mieszkańców.

* *
*

Wybiła w końcu godzina pożegnania, bo nadszedł ostatni dzień mojego pobytu w Ameryce. Wszak dziś środa, więc jutro rano o 6tej godzinie podnosi „Augusta Wiktorya“ swą kotwicę. Poczciwa Polonia postanowiła razem ze mną przebankietować ostatnią noc i odprowadzić mnie wczesnym rankiem na pokład okrętu.

Bankiet odbył się w polskiej gospodzie p. Krygiera przy tak licznym współudziale, że biesiadnicy tylko z trudnością mogli się pomieścić Jako gospodarze występowali pp. dr. Lewandowski i Kornobis, a grono pięknych pań było ozdobą towarzystwa. Polska muzyka grała od ucha, poczciwa pani Krygierowa sądząc, że już dość mam amerykańskich przysmaków, postawiła na stół same polskie, i to znakomicie przyrządzone potrawy, jak czerninę, bigos, zrazy z kaszą i t. p. P. Krygier dał, co piwnica miała najdroższego, ale cóż z tego, jakoś się nam nie kleiło, zanadto polubiliśmy się wszyscy wzajemnie, ażeby nie odczuwać chwili rozstania. Wprawdzie sypały się mowy jak z rogu obfitości, wprawdzie później stoły usunięto i zaczęto tany, ale cała uczta miała poważny nastrój i podobną była raczej do stypy. Dopiero gdy wino zaszumiało nieco w głowie, gdy każdy zrozumiał, iż ja niekoniecznie potrzebuję utonąć w Oceanie, tylko mogę znów na drugi rok tu przyjechać, rozweseliliśmy się na dobre, a kiedy nadedniem pomaszerowaliśmy z muzyką i śpiewem do przystani, to tak hałasowaliśmy po ulicach, że w starym kraju z pewnością zamiast na okręcie bylibyśmy się wszyscy znaleźli w kordegarni! Na szczęście tutaj na wolnej ziemi policya nie ma prawa wtrącania się do czyjejś zabawy, — wolny więc obywatel może sobie hałasować, ile mu się żywnie podoba.

---

http://rcin.org.pl

XVII.

NA POKŁADZIE „AUGUSTY WIKTORYI“

z końcem października 1892 r.

Olbrzymie fale rzucają potężnym statkiem, jak gdyby łupiną z orzecha... Północno-zachodni wicher wyje i jęczy wśród masztów i lin, maszyny huczą, pracując całą swą siłą, a ściany statku trzeszczą i skrzypią w swych spojeniach; pod naciskiem wrogiego żywiołu i zdaje się, że za chwilę już się rozpadną...

Po raz to czwarty już płynę przez to niezmierzone morze światowe, które mi teraz odsłania swe groźne oblicze, widzę boga burz w całym majestacie!

Tysiące kilometrów rozhukanego żywiołu oddzielają mnie już od Ameryki, więc po raz ostatni szlę w daleki zachód serdeczne pożegnalne *good bye*, i przechodzę w myśli poszczególne fazy zarówno mego pożegnania, jak też i podróży po kraju, który tak polubiłem.

* * *

Liczne towarzystwo, które mię odprowadziło, wytrwało aż do ostatniej chwili. Podziwiałem zwłaszcza panie, które po nocnej hulance i wcale przyzwoitym marszu nie okazywały i śladu zmęczenia. Na okręcie powstał niezwykły ruch, a w obec tak hałaśliwego towarzystwa, które sobie nic nie robiło z napomnień służby okrętowej nikt nie mógł myśleć o śnie. Spacerowaliśmy więc po pokładzie, grali na fortepianie w salonie, gdy w tem rozległ się

http://rcin.org.pl

uszy rozdzierający ryk maszyny okrętowej — jako pierwszy sygnał. Więc jeszcze ostatnie uściśnienie ręki, ostatnie do widzenia, gdyż już pomost zaciągnięto i podniesiono kotwicę. Obecni redaktorzy polskich dzienników pp. Chrzanowski, dr. Czupka i p. Nawrocki zażądali kategorycznie mego „śpiewu łabędziego“, pożegnania z Polonią w Stanach Zjednoczonych. Więc już w ostatniej chwili musiałem słów kilka skreślić i rzucić kartkę z pokładu na brzeg.

Naówczas słońce wbiegłszy na zarumienione niebiosa za wzgórzami brooklyńskiemi ozłociło tę scenę pożegnalną. Zagrała wesoło okrętowa muzyka, zaszumiały maszyny, warknęły śruby, więc olbrzymi statek zwolna i majestatycznie oddala się od brzegu wśród pożegnalnych okrzyków z obu stron. Za chwilę widać już tylko powiewające chustki, które lśnią jak białe punkciki na wielkiem mrowisku, wreszcie i to roztapia się w szafirawem porannem powietrzu, — opuszczamy majestatyczny Hudson.

Serce mi się ścisnęło, bo polubiłem tę wolną ziemię, że tak mi było, jak gdybym rodzinne opuszczał brzegi...

Oparty więc o poręcz wyższego pokładu spoglądam rozmarzonem okiem na te uciekające wybrzeża nowego świata, na których tyle przyjemnych przeżyłem chwil. Więc jeszcze po raz ostatni jeden rzut oka na Nowy Jork, — tak... tu jesteśmy w pobliżu Batterie Place, tutaj kończy się Broadway, te olbrzymie domy, które tu widać, to są gmachy gazet. A tam opodal wisi w powietrzu tytaniczny most nad *East River*, tuż koło nas wznosi się potężny posąg wolności. *Good bye!* ty zwiastunie nowego świata!...

Wpływamy w t. zw. *Narrows*, wązką cieśninę łączącą górny port nowojorski z dolnym. Po jednej stronie lesiste wybrzeże *Staten Island,* po drugiej zielona smuga *Long J.* przebiega przed naszemi oczyma. Wzdłuż morza rozsiadły się tu eleganckie domki i pałacyki, — tam mieszkają szczęśliwi, którzy oddychając morskiem powietrzem zachwycają się ze swych okien ślicznym widokiem na całą przystań!

Lecz „Augusta Wiktorya“ pędzi dalej. Za chwilę mijamy piaszczyste żuławy, wbiegające w morze z wielkiej wyspy pokrytej szpilkowym lasem, okręt się zatrzymuje i pilot opuszcza nas udając się na maleńką łódkę, która tu na nas czekała. Zerwaliśmy więc ostatni węzeł, który nas łączył z całym światem, bo ten przylądek przed nami, to *Sandy Hook*, to granica Atlantyku. Skie-

http://rcin.org.pl

rowujemy ku północnemu wschodowi, ku wielkiej ławicy nowofundlandzkiej, więc jeszcze przez kilka godzin towarzyszy nam żółta, niska smuga *Fire Island* ze swemi latarniami morskiemi i słupami sygnałowymi, poczem i to znika, a zostaje tylko niebo i woda bez początku, bez końca...

Teraz dopiero mam sposobność rozglądnąć się po okręcie, i o dziwo, spostrzegam, że nie ma prawie podróżnych. W międzypokładzie i drugiej kajucie nie ma absolutnie nikogo, w pierwszej kajucie jest nas 30 osób. Śmiać mi się chce; na statku, na którym jest zwykle około 2.000 podróżnych, zebrało się nas 30. Co też ta panika może! Dla tego, że na niektórych statkach hamburskich było kilka wypadków cholery, przeto teraz mało kto chce ryzykować podróży hamburskim okrętem. Przed tygodniem było jeszcze gorzej, statek „Kolumbia“ opuścił przystań nowojorską z dwoma podróżnymi na pokładzie! Można więc sobie wyobrazić, ile straty poniosło nieszczęsne Towarzystwo hamburgsko-amerykańskie. Wszak taki wielki parowiec spala w przeciągu jednej podróży przez Atlantyk 270, mówię: dwieście siedemdziesiąt wagonów węgla kamiennego (każdy wagon po 10.000 kilogr.), a do tego utrzymanie tak wielkiej załogi — trzysta kilkadziesiąt ludzi, — ileż to wszystko kosztuje! Nawet zarządzenie, że okręty te nie płyną teraz jak dawniej do *Cuxhaven*, tylko do *Southampton*, nic nie pomogło, wszystko lęka się widma cholery.

Więc my podróżni postanowiliśmy nie zważać na naszą szczupłą liczbę, lecz urządzić się jak można najprzyjemniej i najweselej. Poznaliśmy się prędko i tworzymy obecnie jak gdyby jedną rodzinę, która dla własnej przyjemności i wyłącznego użytku wynajęła sobie olbrzymi dwuśrubowy pospieszny parowiec. Co do mnie, to ja nie mogłem zrazu brać udziału w hałaśliwych zabawach towarzystwa, gdyż mój ustrój upomniał się o swe prawa. Podczas swej przeszło trzymiesięcznej podróży po Ameryce tyle pracowałem i to bez przerwy, że teraz koniecznym jest dla mnie spokój. Do tego ciągłe bankiety, nieregularny tryb życia, bezsenne noce, — w ostatnim tygodniu prawie nie spałem — wszystko to jest przyczyną, że obecnie kilkudniowy odpoczynek na morzu jest dla mnie koniecznością.

Więc leżąc na wygodnem krześle poręczowem, grzeję się do słońca, a spoglądając na coraz to niespokojniejsze fale, drzemię i dumam pół we śnie pół na jawie. Przed oczyma duszy przebie-

http://rcin.org.pl

gają wszystkie fazy tegorocznej mej podróży po Ameryce północnej. Wydelegowany z grona ludzi, którym dobro i losy wychodźtwa leżą na sercu, w celu, abym poznał stosunki naszej emigracyi w Stanach Zjednoczonych i przekonał się, czy nie dałoby się z nią nawiązać węzłów duchowych, ażeby jej przez to pomódz do utrzymania narodowości i wiary i uchronić ją przez to od zgubnych wpływów, objechałem prawie wszystkie ważniejsze centra Polonii w północnej Ameryce zarówno po miastach jak też i na prowincyi. Nowy Jork, Brooklyn, Newark, Buffalo, Detroit, Chicago, Milwaukee, St. Louis, Cleveland, Pittsburg, Baltimore i Filadelfia, oto ważniejsze miasta, w których odwiedzałem naszych braci, rzuconych losem na drugą półkulę. Podróż moja była rzeczywiście tryumfalną, wszędzie przyjmowano mnie uroczyście i z zapałem, czcząc w mej osobie daleką ojczyznę, wszędzie zapewniano, że Polacy na ziemi amerykańskiej kochają starą swą ojczyznę i że nie myślą się wynarodowić.

Przekonałem się, że w Stanach Zjednoczonych jest z pewnością około 1 i pół miliona Polaków, rozmieszczonych przeważnie tak szczęśliwie we większych grupach, że mają wszelkie warunki do utrzymania narodowości. Jest to przeważnie ludek stojący u nas na najniższym poziomie społecznym, który jednakże w Ameryce nauczył się pracować i myśleć — nauczył się patryotyzmu nabył wiele energii i zaufania we własne siły, tak, że stał się złotym materyałem, z którego przy trochę poświęceniu i pracy można wiele zrobić.

Emigracya polska jest faktem dokonanym, z którym należy się liczyć. Prawdą jest, że każdy człowiek, opuszczający raz na zawsze swoją ziemię, przedstawia pewną stratę dla kraju; dlatego słuszne i uznania godne są nowoczesne dążenia, zmierzające do podniesienia dobrobytu kraju, a tem samem do zmniejszenia emigracyi. Ale z drugiej strony, nim to nastąpi, nie można nikomu brać za złe, że nie chcąc na ojczystej ziemi ginąć z głodu, idzie szukać chleba po drugiej stronie morza światowego. Nie powstrzyma go żadna ustawa, żadna perswazya, a rezultat obecnych stosunków jest tylko ten, że człowiek pozbawiony opieki wpada w szpony spekulantów i agentów, a często ginie wprzód, nim otrzyma pracę. Proces wadowicki, podróże nasze do Ameryki zarówno północnej jak i południowej, powinnyby raz otworzyć oczy szerszemu ogółowi, że za-

http://rcin.org.pl

jęcie się losem tych, którzy nie z lekkomyślności, lecz jedynie z musu opuszczają ziemię, jest rzeczą konieczną.

Z drugiej zaś strony te półtory miliona Polaków w Stanach Zjednoczonych są faktem, który się zmienić nie da. Z wyjątkiem Galicyanów, którzy uzbierawszy grosza, wracają do kraju, reszta o powrocie nie myśli, tylko pokupowała sobie domy i grunta i w dobrobycie amerykańskim rozmnaża się w zadziwiający sposób, tak, iż nigdy w życiu nie widziałem tyle dzieci, co u Polonii amerykańskiej. Niedaleka więc chwila, kiedy z półtora miliona będą trzy miliony, liczba na wszelki sposób poważna, której lekceważyć nie należy.

Ci więc amerykańscy Polacy mają dwojakie zadanie: być przedewszystkiem tęgimi obywatelami Stanów Zjednoczonych i kochać ziemię, która im dała przytułek, a powtóre być dobrymi Polakami: więc pielęgnować język swój ojczysty i trzymać się wiary swych ojców. Oni sami tak to zadanie pojmują i niejednokrotnie mi je określili. Takie kojarzenie dwóch obywatelskich obowiązków nie jest rzeczą niezwykłą; wszakże właśnie my Polacy pod berłem austryackiem stanowimy najlepszy przykład w tej mierze, gdyż szczęśliwi jesteśmy, że możemy lojalność dla korony i rządu połączyć z rozwojem narodowym.

Otóż właśnie w tym drugim kierunku potrzebują Polacy w Ameryce naszej pomocy. Nie pieniężnej, gdyż o jałmużnę oni nas nie proszą, ani nigdy nie prosili. To są „*self made man*“, którzy własną ciężką pracą dobili się dobrobytu, którzy za te w pocie czoła zarobione dolarki budują kościoły i szkoły i mogą nawet dla nas być przykładem co się tyczy ofiarności na cele publiczne. Oni od nas, od starszej swej braci, domagają się słusznie pomocy duchowej, oni potrzebują naszej opieki dla nowych wychodźców, naszych książek dla swych czytelni ludowych, naszych sił nauczycielskich, naszych — ale tylko zacnych — kapłanów. którzyby tam szli z poświęceniem dla sprawy, dopóki w ich własnem społeczeństwie nie wyrobi się polska inteligencya na gruncie amerykańskim.

Zbytecznem — jak sądzę — byłoby rozwodzić się nad tem, jaka korzyść dla nas i dla kraju z tego, że tam gdzieś pomiędzy Atlantykiem a Oceanem Spokojnym żyje kilka milionów Polaków, którzy mówią i czują po polsku, którzy czytają polskie książki i gazety, i którzy są w duchowej łącznosci z braćmi w starym kraju.

http://rcin.org.pl

Nawet ten, który dotknięty grasującą tu i ówdzie nowomodną chorobą, nie uznaje żadnych narodowych ani w ogóle ludzkich ideałów, lecz bierze wszystko ze strony materyalnej i z kredką w ręce rachuje jaki to będzie *business*, dla którego on ma poświęcić swój zapał, pracę lub monetę, może powiedzieć sobie spokojnie, że ratowanie rodaków na obcej ziemi od zatraty narodowości nie jest i pod względem materyalnym kiepskim interesem. Wszakże kilka milionów na drugiej półkuli, mówiących i czujących po polsku, to znaczy możliwość większego zbytu naszych książek, naszych dzieł sztuki, a nawet wyrobów naszego przemysłu.

Zarzut, z którym się nieraz spotykałem, „na co nam interesować się obcą półkulą, kiedy u siebie w domu mamy tyle do czynienia?“ jest zbyt błahy i świadczy tylko o zupełnej indolencyi oponentów. Jestto bardzo wygodna maksyma: nie pracować wcale dlatego, że się ma nawał pracy przed sobą. Zaniedbywanie zaś jednej sprawy narodowej dlatego, że się ma inne, wygląda mi tak, jak gdyby budowniczy, stawiając dom, wznosił tylko ściany frontowe i boczne, a tylnej nie zaczynał, motywując, że wprzód musi się uporać z trzema innemi. Mojem zdaniem gmach narodowy powinno się wznosić spokojnie, bez hałaśliwych demonstracyi, zwolna, ale na wszystkich czterech węgłach równocześnie.

* * *

Lecz wycie wichru i huk fal, miotających statkiem jak piłką, przerywa moje dumanie. Zresztą już wypocząłem, nabrałem sił, czuję, że byłbym w stanie rozpocząć na nowo moją uciążliwą podróż; więc mogę z całym zapałem brać udział w ruchliwem i wesołem życiu okrętowem. Wprawdzie ilość podróżnych jakoś stopniała, bo połowa jęczy i stęka, zabawiając się chorobą morską; ale za to my w liczbie kilkunastu mamy tem lepszy humor i nie nudzimy się ani chwili. Więc spacer po pokładzie kołyszącego się statku z zakładami, kto przejdzie dokoła okrętu bez runięcia na ziemię, więc ciągle koncert nieszczęśliwej muzyki, która równocześnie musi grać i trzymać się poręczy, więc śpiewy i produkcye komiczne w salonie fortepianowym.

A morze takie piękne, niespokojne, majestatyczne! Wiatr dmie prosto z Grenlandyi wprawdzie chłodny, przenikliwy, ale za to, co za powietrze, bez pyłu i mikrobów!

http://rcin.org.pl

Dzień imienin cesarzowej niemieckiej Augusty Wiktoryi, patronki naszego statku, obchodziliśmy na środku Oceanu bardzo uroczyście. Parowiec ku wielkiemu zdziwieniu towarzyszących nam delfinów, przystroił się we flagi, oficerowie okrętowi wystąpili w wielkiej gali, podróżni zarówno panowie jak i panie w strojach balowych, nawet słabi zapomnieli o chorobie morskiej i z nami się złączyli. Ja poprzypinałem na piersiach wszystkie złote odznaki i medale, którymi mię obdarzyły rozmaite polskie towarzystwa w Ameryce jako swego członka honorowego, i ogromnie tem zaimponowałem, wyglądałem bowiem przynajmniej jak jaki dyplomata z ambasady, który zbiera ordery ciężką pracą na rozmaitych dyplomatycznych obiadach i balach różnych państw i państewek.

Uczta była świetna, postawiono na stoły wszystko, co okręt miał najlepszego. Patryotyczni Niemcy płacili szampana w nieskończoność, a patryotyczne Niemki były bardzo... bardzo wesołe, spokojne Amerykanki poszły za ich przykładem, więc zabawa była *the nicest in the world.*

W pobliżu Anglii wiatr ustał, morze się nieco uspokoiło, tylko czasami prześladowała nas mgła, ten najgorszy wróg marynarzy. Noce ciemne ale ciepłe zapraszają do spaceru po pokładzie. Dziwnie ten nasz statek wygląda! Tych kilka osób pochowało się po kajutach, więc na pokładzie nie ma nikogo. Zdaje się, że to okręt latającego Holenderczyka, kierowany przez duchy, pędzący wiecznie bez spoczynku po bezdniach oceanu.

Samotny siedzę w sterowej części statku i dumam spoglądając na czarne fale, na których tu i ówdzie błyśnie fosforyczna iskierka. Jutro zobaczymy już Anglię, jeszcze ostatnie pożegnanie szlę ku zachodowi — *good bye!...*

Nagle... robi się jasno. W fosforycznym blasku występuje z toni morskich boska okazała niewiasta... symbol młodej, potężnej Ameryki. Perły i drogie kamienie w jej włosach, złoto na szyi, płaszcz gronostajowy na ramionach, w prawicy znak wolności: sztandar z gwiazdami, tak stoi ta postać przedemną, oślniewając swym majestatem. Zdaje mi się, że czuję zapach kwiecia Florydy, że me skronie owiewa tchnienie z Gór Skalistych, że słyszę szum potężnej Niagary...

Więc z zachwytem spoglądam na czarowne zjawisko i z rozkoszą słucham głosu tak srebrnego i słodkiego, jak szmer Michiganu...

http://rcin.org.pl

„Chodź do mnie dziecię starego świata, chodź do mnie!... Pod tym sztandarem wolność prawdziwa, pod mojem berłem równość i szacunek dla pracy, na moich obszarach pole dla energii i samodzielności. Swobodne powietrze preryi będzie owiewać twe skronie, moje góry otworzą przed tobą swe skarby, chodź do mnie, do mnie“!...

Olśniony, rozmarzony, wyciągam jak senny swe ręce, gdy w tem... z przeciwnej strony w dalekim wschodzie zabłyska ogień, raz po raz pada złocisty olbrzymi snop światła na czarne fale Oceanu. To latarnia morska na wyspach *Scilly*, to Europa... tam ojczyzna moja.

Więc przychodzę do siebie i spokojnie lecz stanowczo odrzekę: „Nie pójdę czarodziejko, nie pójdę.., Ja dążę na wschód ku temu światłu, bo tam droga ojczyzna moja! Tam mię czeka obowiązek, czeka mię praca, tam są serca, które dla mnie biją, tam są groby, na których ja płaczę. Nie pójdę królowo, nie pójdę! Lecz wspomnienie czarownych chwil spędzonych na twej ziemi, które jak anielska muzyka dźwięczą mi do tej chwili w duszy, będą osłodą w przykrych dniach życia mojego!... A jeżeli znużony ziemską pielgrzymką skołataną swą głowę złożę, niech niebiańskie te marzenia, które prześniłem, patrząc na polskie orły, sztandary i legiony, słysząc polską komendę — ukołyszą mnie do snu wiecznego, a może kiedyś nad mym grobem przemknie swobodny wiatr z dalekiego zachodu przybyły, roznosząc dźwięczne tony Zygmunta głoszącego wszej ziemi — zmartwychwstanie“.

KONIEC.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

ИЗВѢСТІЕ

о почтовыхъ отправленіяхъ, отправленныхъ изъ

въ

ВАРШАВСКОЙ ГУБЕРНІИ.

Порядковые №№		Что именно посылается.	Кому адресованы почтовыя отправленія (льготныя еще за какимъ №). Куда и откуда слѣдуютъ переходящіе постъ-пакеты. Общее число посылокъ, слѣдующихъ при каждомъ посылочномъ постъ-пакетѣ.	Объявленная цѣнность.		Слѣдуетъ внесенныхъ сборовъ.		
По извѣстію.	По под. кн. № 1 и получ. кн. № 7					Какихъ именно.	Количество.	
1.	2.	3.	4.	5. Рубли.	5. К.	6.	7. Рубли.	7. К.

http://rcin.org.pl

Inst. Zool. PAN
Biblioteka
K.617.

1.	2.	3.	4.	5.	6.	7.
				Руб. K.		Руб. K.

http://rcin.org.pl